

Wojciech Bauer

WIEŻA ŻYCIA
wydanie II

Legenda mówi, że Iserowie przebyli ocean na skrzydlatych wierzchowcach bogini Mau, wskazując drogę korabiom Wielkiej Floty valów. I choć później, gdy czas Świętej Wędrówki dobiegł końca, a ich rumaki utraciły zdolność latania przez przekleństwo Zranna, pozostali wyśmienitymi jeźdźcami, najlepszymi w Loinie.

W tych legendach było wiele zarozumialstwa i poczucia wyższości nad pozostałymi plemionami valów, lecz Iserowie mieli ważne powody, by czuć się wyniesieni nad inne szczepy. Od wielu ellarów ich jazda skutecznie przeciwstawiała się watahom ghotów, nasyłanym ustawicznie przez Durlock. Życie w warunkach nieustannej wojny uczyniło z nich wspaniałych żołnierzy, w obronie posiadłości valów widzieli swe dziejowe posłannictwo. Pod osłoną tarcz walczących Iserów kwitły wszystkie krainy Przedgórza, od północy chronione przez nieprzebyte Góry Smocze. Wdzięczności Iserowie nie doświadczyli żadnej. Nie tylko nie udzielano im wsparcia, lecz wykorzystując zaangażowanie większości wojska w obronie Gardła między Górami Smoczymi a Morzem Serta, najbliższy sąsiad Iserii, Sorvia, podstępny ata-

kiem zajęła Las Orła, od praellarów należący do dziedzictwa książąt Iserii.

Skutki polityki valijskich państw były łatwe do przewidzenia. Iseria ginęła. Jej śmierć była powolna, nadchodziła niepostrzeżenie, lecz nieuchronnie. Coraz więcej wysiłku kosztowało utrzymanie w ryzach zaciekle atakujących Gardło ghotów, wspomaganych przez kohorty Minnów – valów na usługach Durlocku. W dodatku ród czerwonych książąt, w przeciwieństwie do złotej gałęzi władców księstwa, przywiązywał coraz mniejszą wagę do obrony granic, tonąc w pijatykach i orgiastycznych hulankach. W okresie czerwonych zuarów Iseria poniosła najwięcej porażek. Miniony zuar purpurowego słońca także przyniósł bolesną stratę, spowodowaną beztroską władcyków noszących Rotha w herbie. Kilka dni przed świętem Randii, wykorzystując głębokie ciemności rozjaśniane jedynie krwistą poświatą coraz mniejszego Rotha, wielka armia Durlocku znienacka zaatakowała Gardło, zdobywając graniczną twierdzę Cobi i wypierając oddziały Iserów aż pod mury Kormu. Dopiero potężne szanse zamku, wzniesionego w najwęższym miejscu Gardła, powstrzymały napastników.

Z ciężkim sercem złoci książęta przejmowali władzę z rąk lekkomyślnych krewniaków. Była to najbardziej ponura Randia w historii Iserii. Gdy wszedł Jasti, rozpoczynając pierwszy dzień jas, i nastąpiła chwila, kiedy czerwony władca miał opuścić tron, na rytualne pytanie: "Czy schodzi w chwale, czy powinien zgasnąć razem z Rothem?" po raz pierwszy od wielu ellarów zgromadzeni na dziedzińcu jeźdźcy solidarnym gestem wbili miecze w ziemię. Otepiały od nadużywania tirakii umysł księcia Ivirotha odzyskał na krótko pełną sprawność, by pojąć,

dokąd czterej milczący zbrojni tak brutalnie wloką swego do wczoraj na równi z bogami czczonego pana, po czym zastygł w spazmie bólu kończącym lot z Wieży Straceń.

Wspominając chwilę przejęcia władzy nad Iserią, regent Asti na nowo przeżywał tę ponurą uroczystość. Myśl o losie Ivirotha powróciła, gdy usłyszał, że księżna Jastite szczęśliwie powiła dziecko płci męskiej. Iseria otrzymała prawowitego władcę na okres złotego zuaru. Oby nie musiał on podzielić losu ostatniego czerwonego księcia.

Sytuacja Asti zmieniła się diametralnie. Do tej pory był faktycznym panem księstwa i pozostałby nim do śmierci, gdyby Jastite urodziła dziewczynkę. Jego rządy nie kończyły się jeszcze, upłyną trzy kari, nim młody książę osiągnie pełnoletność. Nie, nie czuł żalu, że książęce insygnia będzie musiał złożyć w inne ręce. Był dumny, że właśnie jemu przypadł zaszczyt przekazania władzy synowi Jasti. Poza tym w żyłach następcy tronu płynęła przecież jego, Astiego, krew. On był tym, który tak szczęśliwie zapłodnił Jastite, przyczyniając się do przedłużenia dynastii.

Westchnął ciężko. Nowo narodzony władca nie będzie miał łatwego życia. Durlock rośnie w potęgę, jakiej nie znały krainy Loinu. Nawet dumni tornowie z obu wolnych królestw, jawnie gardzący odszczepieńcami z imperium, nie potrafili mu się oprzeć. Torivia, by zapobiec klęsce, przeszła na stronę Durlocku, zaś Shonnowie, sromotnie pobici, schronili się za Wielkie Bagna, oddając resztę królestwa wrogom.

Teraz Durlock sięgał po Przedgórze. Asti otrzymał wiadomość, że nieprzyjaciół szykuje ogromne siły, by uderzyć na Gardło. A wykrwawione księstwo mogło im

przeciwstawić niewiele więcej niż determinację walczących. Znał swój naród i wiedział, że Iseria nigdy się nie ugnie. Iseria może tylko zginąć. A jeśli padnie, któż stawi czoła krwiożerczym ghotom czy Minnom, nie mówiąc już o strasznej Mocy władających Durlockiem tornów? Podstępna, zdolna tylko do napaści na bezbronny kraj, Sorvia? A może wiecznie skłócenie księżęta Berlanu? Asti uśmiechnął się pogardliwie. Żadne z państw Przedgórza nie było zdolne oprzeć się potędze Durlocku. Jedynie zjednoczenie wszystkich sił i przymierze z Shonnami mogłoby stworzyć moc równoważną sile imperium zza Smoczyc Gór. Do tego jednak nigdy nie dojdzie. Asti wiedział o tym doskonale. Dlatego współczuł temu ledwie narodzonemu dziecku. Być może w dniu Trill w odpowiedzi na pytanie kapłana ujrzy on, jak księżę Iviroth, wbite w ziemię miecze. Jeżeli w ogóle jeszcze będzie miał kto pytać i odpowiadać.

*

Kobieta Ruate popełniła zbrodnię. W dniu, w którym we wszystkich grodach i osiedlach Iserii rogi obwieszczały radosną wieść o przyjściu na świat złotego księcia, kobieta Ruate urodziła syna. Popełniła zbrodnię podwójną: zamiast zgładzić niemowlę i w pokorze zanieść jego ciało przed oblicze starosty, ukryła chłopca w szałasie, w głębi lasu, oddawszy go pod opiekę na wpół obłąkanego starca Besitiego. Decydując się na ten krok zdawała sobie sprawę z konsekwencji swego czynu. Gdyby wykryto zbrodnię, cały jej ród zostałby wycięty w pień, a zwłoki rzucone bydłu na pożarcie. Nikt nie ma prawa być równieśnikiem księcia, tylko jedno dziecko może przyjść na

świat razem z Jasti lub Rothem – władca. Kobieta Ruate wiedziała o tym, jednak miłość macierzyńska była silniejsza.

Obmyśliła to zrecznie. Jeszcze dwa seves po rozwiązaniu chodziła z wypchaną szmatami suknią, po czym zarznawszy ptaka da upozorowała poronienie. Dla sąsiadów był to dowód mocy bogów: żadne dziecko nie może narodzić się żywe w czasie jas ani ziroth. Ten czas zastrzegła Mau dla tych, którzy będą władać krainami wólów.

*

Znów grzmiały rogi w księstwie Iserii. We wszystkich zamieszkanach zakątkach kraju ogłaszały nowinę o wstąpieniu na tron dwunastego złotego księcia. Młody władca osiągnawszy pełnoletność przybrał imię Anutajasti – Wstępujący w Światło Jasti. Dźwięk rogów był jednak tylko pozornie radosny. Nadeszły ciężkie czasy dla księstwa. Wróg uderzył z wielką siłą na Gardło i po zduszeniu przygranicznych stanic rozpoczął oblężenie Korumu. Na wybrzeżu, niedaleko Surduk, wylądował kontyngent eneików z podległego Durlockowi plemienia Nisków, który z trudem udało się zepchnąć z powrotem na morze. Wielki niepokój i troska ogarnęły Iserów. Było jasne, że tym razem opór nie potrwa długo i złowrogie zastępy Durlocku zaleją kraj, siejąc śmierć i pożogę.

Głos fanfar nie dotarł do małej chatki z gałęzi, ukrytej w lesie, w pobliżu granicy z Sorwią. Uroczystość nadania imienia mieszkającemu w niej chłopcu była nieporównanie skromniejsza niż ta, która odbyła się w dalekim Irvion. Starzec Besiti, sypiąc na jego głowę kwiaty sima-

lu, drżącym głosem wypowiedział formułę: "Nadaję ci imię Itijasti" i przestraszył się własnych słów. Brat Jasti. To imię brzmiało świętokradczo. Książęce imię... Nie mógł nadać innego chłopcu urodzonemu razem ze złotym słońcem. Czas narodzin nobilitował potomka prostego jeźdźca. Był równy władcom, ale tego brzemienia mógł nie udźwignąć. Dlatego Besiti dodał szybko:

– Dla innych bądź tylko Itim. Niedobrze, gdy kraj ma dwóch synów Jasti.

– Dlaczego? – chłopiec podniósł na opiekuna chmurny wzrok. – Dlaczego mam się wstydić własnego imienia?

– Być może nadejdzie czas, że twoje imię będzie znać cały kraj. – Starzec położył dłoń na ciemnej czuprynie młodzieńca. – Niewielu dziś pamięta, że istnieje stary przekaz o dwóch synach Jasti. Nim nadejdzie trać, jeden ma umrzeć w hańbie, drugi ocali Iserię. Obyś był tym drugim, Itijasti! Teraz jednak musisz odejść, zwracasz uwagę obcych. Idź w świat, Iti, i wróć w chwałę, upomnieć się o to, co przeznaczyli ci bogowie!

– Dokąd mam się udać?

– Przekrocz granicę. Musisz dotrzeć na wyspę Pitę u wybrzeży Agrenii. Żyją tam strażnicy Świętych Tablic walów. W nich zapisany jest twój los. Poznaj go i działaj w zgodzie z rozkazami Tablic. I przyjmij jeszcze jedną radę. – Besiti ponownie dotknął włosów chłopca. – Unikaj czystych promieni Jasti, on zawsze rozpozna w tobie syna.

*

Dzień wstawał chmurny i mokry. Od wieczora siąpił drobny kapuśniaczek, nasączając wilgocią brunatne ka-

poty leżących w krzakach zbrojnych. Oczekiwanie przedłużało się, klęli więc z cicha informatora, który nadał im tę robotę, i coraz bardziej ponuro zerkali w stronę przywódcy, przypisując mu winę za zmarnowany w zasadzce czas. O ileż przyjemniej byłoby siedzieć teraz w podłej, ale przynajmniej suchej gospodzie starego Gerna i kwartą tirakii zalewać smętne myśli o chudych czasach.

Bandzie Vortara wiodło się bowiem coraz gorzej. Od wielu seves żaden wędrowiec nie pojawił się na gościńcu, nie mówiąc już o kupieckich karawanach, niegdyś licznie przemierzających szlak wiodący ku granicy. Czas był niedobry dla handlu: naciskani przez Durlock Iserowie szybko biednieli i kupcy zaczęli szukać bogatszych klientów. Niedobry czas dla handlu oznaczał kres tłustych dni dla licznych grup rzezimieszków grasujących w ostępach Lasu Orla. Ubywało ich proporcjonalnie do zmniejszającej się liczby podróżnych. W końcu został tylko najwytrwalszy – Vortar, ale i jemu bieda zaczynała zaglądać w oczy. Odchodzili kompani, więc i on począł przemyślać o opuszczeniu niegościnnych okolic. Kiedy jego najwierniejszy szpieg, smolarz mieszkający przy trakcie w pobliżu iserskiej granicy, doniósł mu o samotnym jeźdźcu podróżującym opustoszałym gościńcem, Vortar postanowił nie stracić nadarzającej się okazji, być może ostatniej w tych stronach. Wprawdzie pojedynczy podróżnik to nie niegdyśiejsze bogate kupieckie tabory, ale lepsze to niż kradzież drobiu w okolicznych przysiółkach. Vortar miał naturę wojownika i upokarzała go rola wiejskiego złodziejaska.

Na myśl o utarczce silniej zabiło serce starego łotra i krążąca żywo krew poczęła rozgrzewać zastałe członki. Raz jeszcze skrzyknął włóczących się po okolicy kamra-

tów. Nie przyszło to łatwo. Dawniej wierni towarzysze teraz patrzyli spode łba na wodza, pod którego rządami nie wiodło im się najlepiej. W końcu Vortar zebrał sześciu najwierniejszych, nierozleniwionych jeszcze do tego stopnia, by stracić chęć do działania, i zasadzili się w najgęstszych chaszczach porastających pobocza traktu.

Vortar leżał teraz oblepiony mokrą opończą, z malejącą nadzieją wpatrując się w pusty gościniec. Czuł na sobie spojrzenia współników i wiedział, o czym myślał. Modlił się w duchu, by doniesienie smolarza okazało się prawdziwe, bowiem w przeciwnym wypadku byłby to ostateczny koniec jego zbójckiej sławy i tak mocno nadszarpniętej w ostatnich czasach.

Wtem poprzez szum deszczu dobiegł go cichy jeszcze, lecz jakże znajomy odgłos. O mało nie krzyknął z radości, wsłuchując się w coraz głośniejsze płaskanie łap wierzchowca. Rozejrzał się po otaczających go kompanach. Oni również je słyszeli. Twarze rzezimieszków zmieniły się, pojawił się na nich charakterystyczny drapieżny rys i Vortar już wiedział, że odnaleźli w sobie wojenny ogień.

Zza zakrętu wyłonił się jeździec. Skulony w siodle, okutany w siermiężny płaszcz, wyglądał tak lichy, że Vortar poczuł się rozczarowany. Nie, tutaj nie mógł liczyć na bogaty łup. Lepsze to niż nic, pocieszył się w myślach, niemal odruchowo układając plan ataku i przewidując uniki.

Teraz. Podniósł do ust świstawkę. Z wrzaskiem wypadli z obu stron na drogę, by po kilku susach otoczyć wędrowca. Vortar już widział go na ziemi z mieczem przytkniętym do gardła, gdy wydarzyło się coś zaskakującego. Oto podróżny, zamiast unieść dłonie w błagal-

nym geście poddania, spał wierzchowca i runął na napastników. Vortar ujrzał nagle nad głową czarne pazury kisetu i odruchowo rzucił się w bok. Zrywając się na nogi, zobaczył, jak od ciosów potężnych łap giną dwaj jego kamraci, zaś trzeci wali się na ziemię pozbawiony głowy ściętej jednym błyskiem miecza. Wierzchowiec, spięty niewidocznym ruchem kolan, zwinął się w miejscu i już dwaj straszni wojownicy, jeździec i kiset, siedzieli na karkach pozostałych, broniących się już tylko instynktownie, zbójców. Widok krwawej łaźni sprawionej w tak krótkim czasie, pozbawił ich zupełnie ducha walki. Po chwili żywy pozostał tylko jeden rzezimieszek, który rzuciwszy broń z wrzaskiem umknął w stronę zbawczych zarośli.

Vortara zalała fala nieprzytomnej wściekłości. Ryknął straszliwie i z mieczem w jednej, a toporem w drugiej ręce rzucił się na podróżnego, którego niedawno oceniał tak nisko. Teraz gnał ku niemu jak uosobienie furii, myśląc już nie o łupach, lecz łaknąc jego krwi. Jeździec zawrócił wierzchowca. Na widok pędzącej w jego stronę samotnej postaci w rozwianej opończy wysunął miecz przed pysk rumaka i bez ruchu czekał starcia.

Zadźwięczała stal. Potężne pchnięcie odrzuciło Vortara. Natarł ponownie, uderzając raz po raz w nieruchomą postać i za każdym razem trafiając w nadstawione ostrze. Nagle zdał sobie sprawę, że jeździec o niebo przewyższa go w sztuce walki, zaś to, że jeszcze żyje, zawdzięcza tylko kaprysowi tajemniczego rycerza, który z jego rozpaczliwych wysiłków uczynił sobie igraszkę. I zgasła w nim wola zemsty i zwycięstwa, i pragnął już tylko umrzeć, by nie hańbić dłużej honoru dla zabawy wędrowca.

Wtem, wznosząc topór do ostatniego ciosu, który miał przynieść śmierć jemu lub wrogowi, dojrzał coś, co zatrzymało desperackie uderzenie w pół drogi. Oto wśród kłębiących się na niebie chmur zajaśniał skrawek błękitu, otwierając drogę krótkiemu błyskowi słońca. I stała się rzecz dziwna: samotny promień padł na bujną czuprynę rycerza, która rozjarzyła się tworząc świetlistą aureolę. Ciemne, niemal czarne włosy, zapłonęły nagłym blaskiem, jakby zapaliła je słoneczna iskra. Trwało to krótką chwilę, lecz aureola nie zgasła od razu w ślad za promieniem, który owo zjawisko wywołał. Choć niebo było już szare, głowa nieznanego jeszcze przez sekundę płonęła, jakby słońce zostawiło okruch światła w jego włosach.

– Syn Jasti... – wyszeptał zmartwiał z przerażenia rozbójnik, wypuszczając broń z bezwładnych dłoni.

Jeździec szybkim ruchem narzucił kaptur na głowę.

– Nie lękaj się – powiedział dźwięcznym, młodym głosem, w którym słychać było nutki rozbawienia. – Nie chcę cię zabić.

– Wybacz, panie, wydawało mi się... – Vortar jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia. – Jesteś, panie...

– Znużonym wędrowcem napadniętym przez zbójców – przerwał jeździec. – W dodatku nękanym przez ogarniętego desperacją wodza, którego wojsko niegodne jest nawet pogardy uczciwego rycerza.

– Ale... przecież, panie, widziałem...

– Nic nie widziałeś. Złość zaćmiła twe spojrzenie, a to nieprzyjaciel prawdziwego wojownika. Powoduje, że czasem widzimy coś, czego nie było.

Rycerz, lekceważąc zupełnie niedawnego rywala, zsiadł z wierzchowca, rozcierając zdrętwiałe uda, przy-

glądał się Vortarowi spod oka. – Nie wyglądasz na takiego, któremu dobrze się wiedzie w zbójckim rzemiośle – powiedział i zaczął ściągać siodło z grzbietu rumaka.

– Nie mylisz się, panie. – Vortar powoli pozbywał się lęku. – Nikt tędy od dawna nie jeździ. Zgnuśniliśmy w nieróbstwie i ledwie udało mi się skrzyknąć tych tam na uczciwy rabunek – wskazał na zwłoki swych towarzyszy.

– Nie urazi twych uczuć, jeśli nakarmię nimi mego wierzchowca? Rycerski obyczaj nakazuje rzucać pokonanych wrogów na pożarcie kisetom. To wzmaga ich waleczność.

– Nie zasłużyli na lepszy los. – Vortar machnął lekceważąco ręką. – Dać się pokonać jednemu przeciwnikowi, nawet jeśli to... – zamilkł, wspomniawszy słowa jeźdźca.

– Chciałbym ci przypomnieć, że i ty uległeś temu przeciwnikowi – rycerz uśmiechnął się ironicznie.

– Nie kpij, panie. Ja przynajmniej nie stchórzyłem jak tamci.

Nieznajomy zamyślił się na chwilę, po czym spojrzał na rozbójnika.

– Wiesz, chyba będę miał dla ciebie zajęcie godniejsze niż rozbój. Udaję się w daleką drogę i potrzebuję śmiałych i obytych w sztuce władania bronią towarzyszy. Nie jestem wprawdzie bogaty, ale jeśli spełni się me przeznaczenie, nie pożałujesz chwili, gdy do mnie przystałeś.

– Jestem, panie, w twojej mocy i mógłbyś żądać ode mnie posłuszeństwa, ty jednak proponujesz służbę pozwalającą zachować godność. Jak mógłbym odrzucić taką ofertę?

– A więc postanowione. – Jeździec narzucił derkę na sytego już kisetą. – Odpoczniemy chwilę i ruszamy w

drogę. Deszcz niedługo przestanie padać. Jutro chciałbym być w Gerab. Tam postaramy się o wierzchowca dla ciebie. Powiedz mi jeszcze – dodał, dociągając popręg – jak cię zwą?

– Vortar, panie.

– Dobrze, Vortar, myślę, że się zaprzyjaźnimy. Mam tylko jeden warunek: zapomnij o tym, co widziałeś. Właściwie nie widziałeś nic, to było tylko złudzenie.

– Zgoda, panie, nic nie widziałem – rozbójnik mruknął porozumiewawczo. – Ale, panie, poznałeś moje imię, ja zaś nie znam twego.

– Iti. Po prostu Iti.

*

Targ w Gerab słynął niegdyś w całym Przedgórzu z handlu żywym inwentarzem. Tu zjeżdżali kupcy ze wszystkich stron Loinu, oferując drób, bydło, zwierzęta juczne i pociągowe, a także wierzchowce. W najlepszym okresie można było kupić tu nawet bojowego iserskiego kiseta, choć prawdę mówiąc niewielu poza jeźdźcami z księstwa potrafiło je dosiadać.

Czas rozkwitu miasto miało już za sobą, zbyt blisko było stąd do coraz goręcej płonącego Gardła. Ostrożni i przewidujący kupcy woleli handlować w Teti lub Phios, które leżały z dala od niepewnego iserskiego pogranicza. Jednak targi w Gerab odbywały się nadal, wielu handlarzy nie brało poważnie iluzorycznego według nich zagrożenia, chwając je sobie nawet, bowiem ryzyko pociągało za sobą znaczny wzrost cen oferowanych towarów.

W mieście nie było więc tak gwarno i tłumnie jak dawniej. Najbardziej odczuli spadek zysków stali mieszk-

kańcy Gerab; wiele gospód, zajazdów, sklepów i kramów, dawniej opływających we wszelkie dobra, teraz świeciło pustkami i straszło zamkniętymi na głucho drzwiami. Tak wyglądały przedmieścia, niegdyś oaza drobnych handlarzy, którzy pierwsi zniknęli z Gerab. Taki też widok ujrzeli dwaj wlokący się traktem wędrowcy. Rozglądali się pilnie, szukając przytulnego zajazdu, lecz obrzeża grodu nie miały im już nic do zaoferowania. Uliczki były puste, jedynie zdziczałe hangi włóczyły się między wymarłymi domostwami. Mieszkańców prawie nie było, kto tylko mógł, opuszczał przedmieścia. Jedni przeprowadzali się bliżej centrum, inni porzucili Gerab, by szukać szczęścia w innych stronach Sorvii.

Im bliżej górującego nad miastem zamku namiestnika, tym więcej było zamieszkanых ulic. W końcu dotarli w rejony, gdzie jak dawniej kwitło życie. Goniły za nimi ciekawe spojrzenia. Szczególnie jeden z podróżnych zwracał powszechną uwagę; od dawna nie widziano w Gerab jeźdźca z Iserii.

Iti jechał przodem, co rusz ściągając wodze nieprzywykłego do wolnego tempa wierzchowca. Mimo to Vortar gonił już resztkami sił i z utęsknieniem oczekiwał upragnionego popasu. W drodze nie rozmawiali prawie wcale, a wszelkie pytania o plany Iti zbywał ogólnikami bądź nie odpowiadał w ogóle. W końcu Vortar pogodził się z tajemniczością swego chlebobawcy i zrezygnował z dociekań. Wiedział, że prędzej czy później i tak dowie się wszystkiego. Teraz, człapiąc na obolałych od wytężonego marszu nogach, wypatrywał gospody, w której mieiliby zapewniony przyzwoity nocleg i strawę. Przypuszczał, że Iti zechce zatrzymać się w mieście na dłużej, by wyekwipować jęgo i siebie na czekającą ich drogę.

Tak dotarli do niedużego, podrzędnego placu handlowego. W takich miejscach zwykle rozkładali swe towary ubożsi kupcy, których nie stać było na wykupienie kramu na centralnym targowisku. Choć ruch był spory, bez trudu torowali sobie drogę przez wypełniającą plac ciżbę. Wielkie, budzące szacunek kły kiseta sprawiały, że rozstępowano się przed nimi z lękiem. Towarzyszył im niechętny pomruk. Od czasu wojny o Las Orla Sorwie i Iserię dzieliła nienawiść, dlatego ze zdumieniem i wrogością patrzono na śmiałka z nieprzyjaznego księstwa. Nikt jednak nie odważył się wystąpić otwarcie i tylko jadowite słowa biegły ku niemu z głębi tłumu. Dumny jeździec pozostał obojętny.

Inaczej reagował Vortar. Był Sorvem i choć niewiele obchodziła go polityka oraz właśnie o przygraniczne teryny, czuł się nieswojo, widząc niechętnie spojrzenia rodaków. Chwilami ogarniała go chęć opuszczenia rycerza i wmieszania się w tłum, szybko jednak odsuwał tę myśl. Miał bowiem honor i nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się postąpić wbrew swym zasadom. Poza tym poznał tajemnicę jeźdźca. Jej znaczenie tłumilo rozterki Sorva. Równych Iserowi było obecnie czternastu walów na całym Przedgórzu i wyspach, a wszyscy zasiadali na dziedzicznych tronach. A ten... Czy był jednym z nich? Dla jakiego niezrozumiałego kaprysu podróżował samotnie przez walijskie państwa? A może... Vortar aż wzdrygnął się na takie przypuszczenie.

Zatrzymali się przed bramą zajazdu położonego u wylotu wąskiego zaułka, który biegł gdzieś w głąb miasta i ginął pomiędzy niskimi, nędznymi chałupami. Nad wejściem kołysał się wykuty z blachy czerwony ptak da. Wrota były otwarte, wkrótce znaleźli się na podjeździe

okolonym z trzech stron drewnianą palisadą, z czwartej zamkniętą ścianą długiego budynku, krytego strzechą. Gwar targowiska został za bramą, tu było pusto i spokojnie. Jedynie dwa wyprężnione powozy i uwiązany do palika osiodłany rogaty irman świadczyły, że nie są pierwszymi gośćmi.

Naprzeciw podróżnych wyszedł z gospody brodaty Sorv w skórzanym fartuchu. Spode łba popatrzył na marszczącego wargi kiseta. Skłoniwszy się nisko, wskazał gestem, że mają iść za nim. Iti zeskoczył z wierzchołka i, prowadząc go za uzdę, ruszył za gospodarzem.

W stajni były dwa okratowane boksy dla iserskich rumaków. Ich stan świadczył, że dawno nikt z nich nie korzystał. Iti wprowadził kiseta i rozsiodłał go.

– Czy masz mięso dla niego? – spytał karczmarza, który przezornie nie zbliżał się do niebezpiecznego zwierzęcia.

– Tak, panie. Proszę do izby. Moi słudzy wszystkim się zajmą.

– Wolałbym nakarmić go sam. Jest trochę nerwowy.

– Nie martw się, panie, stajenny potrafi karmić kisety, choć dawno już nie gościliśmy podróżnych z Iserii.

– Chciałbym zatrzymać się tu kilka dni. Potrzebny będzie pokój dla mnie i mojego towarzysza.

– Służę, panie. Każę wszystko przygotować. Teraz proszę na posiłek.

Przeszli do ciemnej sali, w której w dwóch rzędach stały drewniane ławy. Vortar siedział przy jednej z nich i ruchem ręki przywołał rycerza do siebie. Iti rozejrzał się po izbie. Niewielu gości zajmowało miejsca przy ławach. Większość była na targu i zapewne dopiero przed wieczorem zajazd zapełni się. Tylko w kącie pod oknem

posilała się grupka podróżnych, którzy tak jak oni musieli niedawno przyjechać. Szybko zostali obsłużeni. Jedli w milczeniu, czując powoli odpływające znużenie. Dopiero po posiłku, gdy zapijali tłuste mięswo kwartą tirakii, Vortar zapytał:

– Jak zaplanowałeś pobyt w Gerab?

– Dziś chyba zostaniemy tutaj. Zbyt jestem zmęczony, by cokolwiek przedsięwziąć. Jutro po śniadaniu pójdziemy na centralny plac i wyszukamy dla ciebie irmana pod wierzch. Chciałbym również kupić trochę żywności, broń i odzieży. Czeka nas daleka podróż.

– Dokąd pojedziemy?

– Na razie do Berlanu, później sam zobaczysz. Zwiedzisz kawałek świata, ręczę, a to chyba lepsze niż rabunek na drogach?

Istotnie, Vortar czuł, że jego losy potoczą się zupełnie innym torem. Kamienne serce rozbójnika nie było wprawdzie zdolne do takich uczuć jak wdzięczność, lecz potrafił docenić gest swej niedoszłej ofiary. On, łotr wyjęty spod prawa, nie będzie już musiał wegetować, zaspokoi swą żądzę przygód i umiłowanie walki. Nie wyglądało na to, że zajmą się kupiectwem czy uprawą roli. Dlatego, choć nie powiedział nic, był zadowolony i z ufnością oczekiwał następnych dni.

*

Od wczesnego rana na targowiskach Gerab wrzało życie. Przepychając się przez oblegający stragany tłum, Iti stwierdził, że prawdziwe były historie, które opowiadał mu opiekun. Można tu było kupić wszystko: potężne irmany, leniwie żujące podsypane im ziarno, hodowane

na mięso drapieżne kuary, wszelki drób z królującym ptakiem da, hangi – strażników domostw i mnóstwo innych zwierząt, które Iti widział po raz pierwszy. Brakowało tylko kisetów, lecz te nigdy nie były przedmiotem handlu obcych, stanowiły domenę Iserów. Iti próbował sobie wyobrazić, jak wyglądał targ w czasach świetności Gerab, ale stwierdził, że jest to niemożliwe. Nigdy nie widział naraz takiej ilości walów, nie mówiąc już o innych istotach zamieszkujących Loin. Pomiędzy ciżbą kupujących i sprzedających pojawiali się od czasu do czasu mali, kosmaci eneikowie z Gór Smoczych i Wysp Stołowych, oferujący przeróżne maści i wywary z rzadkich ziół, których właściwości znali tylko oni, ozdoby ze smoczej kości – podobno prawdziwej – dziwaczną, bogato zdobioną broń i półszlachetne kamienie.

Około południa obaj podróżni dokonali już zakupów. Vortar prowadził dwa irmany: wierzchowca i jucznego, na ich grzbiety załadowali wszystkie sprawunki. A mieli tego sporo: żywność na trzecią część seves, porządne, skórzane kaftany, wybite siatką z mosiężnych kółek, szyszaki, nowy miecz dla Vortara w miejsce starego, pordzewiałego koncerza, włócznię i kuszę z zapasem strzał dla Itiego oraz drewniane, obciążone skórą i wzmocnione hufnami tarcze z pustymi miejscami na herby.

Zadowoleni zmierzali właśnie ku uliczce prowadzącej do zajazdu, gdy nagle przed nimi zakotłowało się. Pomiędzy straganami przemykała nieduża, włochata postać, a za nią pędziło kilku zbrojnych w topory i sękate paliki walów. Eneika wpadł między prowadzone przez Vortara irmany i, zaplątawszy się w jukach, runął na ziemię. Prześladowcy byli tuż przy nim, rozginali irmany ude-

rzeniami drągów, tak że Vortar z trudem trzymał na wzdach przerażone zwierzęta.

Spadły pierwsze razy i eneika zakwilił boleśnie. Prawdopodobnie zginąłby, gdyby niespodziewanie nie nadeszła pomoc. Jeden z napastników właśnie zamierzał się do potężnego uderzenia, gdy nagle znalazł się w powietrzu, lecąc na spotkanie błyskawicznie zbliżającej się ściany domu. Kilku następnych walów padło od ciosów pięści i dokoła leżącego eneiki zrobiło się luźno. W tę pustkę wkroczył Iti z obnażonym mieczem w dłoni. W zapadłej raptownie ciszy podniósł karła i przerzucił przez grzbiet jednego z irmanów.

– Ruszaj – syknął do oniemiałego Vortara, uderzając pięścią w zad zwierzęcia.

Napastnicy pozbierali się już po niespodziewanym ataku i z gniewnym pomrukiem ruszyli na nieprzyjaciela. Jeden z nich zamachnął się toporem. Błysnął miecz i ciężka broń z hurkotem wyfrunęła z rąk zaskoczonego wala. To powstrzymało następnych. Wędrowcy wycofali się bez przeszkód, choć prześladowcy postępowali za nimi krok w krok aż do wrót zajazdu.

Zanieśli eneikę do swej kwatery. Iti obejrzał jego rany i uspokoił się, nie były zbyt groźne. Jakoż po chwili karzeł otworzył oczy i, dojrawszy nad sobą pochylone głowy, zagadał coś szybko w swoim języku. Jego przerażony wzrok błagał o litość.

– Nie lękaj się, jesteś wśród przyjaciół – uśmiechnął się Iser.

Vortar spojrzął spod oka na rycerza i pomyślał z niechęcią, że wcale nie darzy sympatią tej kosmatej istoty. Eneika próbował wstać, lecz jęknąwszy tylko opadł z powrotem na łoże.

– Dzięki, panie, za uratowanie życia – przemówił po valijsku. – Myślałem, że nastał mój koniec.

– Dlaczego cię ścigali?

– Zarzucono mi kłamstwo, musiałem więc wyprawić oszczercę przed oblicze bogów. Niestety, okazało się, że miał licznych przyjaciół. To z ich rąk wybawiłeś mnie, panie.

– O jakież to straszne kłamstwo cię posądzono, że tylko śmierć mogła zmazać obrazę?

– Byłem w karczmie, gdzie nieopatrnie pochwaliłem się moim trofeum. Wyśmiano mnie, a tego honor eneiki nie ścierpi.

– Cóż to za trofeum?

Eneika otworzył przewieszoną przez pierś sakwę i wyciągnął z niej zrolowany kawał pokrytej łuskami skóry.

– Co to jest? – Iti nieufnie dotknął przedmiotu.

– To ucho smoka.

W pełnej zdumienia ciszy obaj podróżni oglądali niezwykły eksponat. Pierwszy odezwał się Iti.

– Skąd to masz? – zapytał, zwracając skórę właścicielowi.

Eneika dumnie spojrzał na niego.

– Własnoręcznie odciąłem zabitemu xinxowi, którego zwyciężyłem po ciężkiej walce.

– Ty? – Vortar z powątpiewaniem spojrzał na mizerną postać karła. – Kim ty jesteś, że zdołałeś pokonać xinxą?

– Moje imię brzmi To-sar. Należę do plemienia Irgów. Nasi bracia nazywają takich jak ja Zabójcami Smoków.

Rozbójnik z rosnącym szacunkiem patrzył na eneikę. Dotarli do niego opowieści o tajemniczym zakonie, którego członkowie tropili i wyzywali do walki najstraszliw-

sze istoty Loinu. W pojedynkach padali najczęściej ofiarą smoków, lecz krążyły także nieprawdopodobne wieści, że są wśród nich tacy, którzy z tych spotkań wychodzili zwycięsko.

Dalszą rozmowę przerwało gwałtowne pukanie do drzwi. Na progu stanął zdyszany właściciel zajazdu.

– Panie – zwrócił się do Itiego – U wrót gospody stoi wielki tłum. Żądają wydania eneiki.

– Żądają za wiele – odparł młodzieniec. – To mój przyjaciel.

– Panie, ta karczma to wszystko, co mam. Jeśli puszcza ją z dymem, stracę dorobek życia mojego i moich przodków. Wydaj eneikę, panie!

– Nie! – głos jeźdźca stwardniał.

– W takim razie proszę pokornie, byście opuścili zajazd. – We wzroku karczmarza nie było prośby. – Inaczej będę musiał ich tu wpuścić.

– Dobrze. – Iti podniósł się ze stołka i zaczął zbierać rzeczy. – Czy jest stąd inne wyjście?

– Tak, panie. – Sorv, wyraźnie ucieszony uzyskaną zgodą, znów był usługowym gospodarzem. – Wprost ze stajni brama prowadzi na sąsiednią ulicę. Tamtędy wymkniecie się niezauważeni. Tylko pośpieszcie się, nie zatrzymam ich długo.

Zeszli do stajni i chwilę potem opuścili zajazd tylnym wyjściem. Zamykając wrota, Vortar usłyszał wrzawę i tupot wielu nóg na schodach. Wyślizgnęli się prześladowcom w ostatniej chwili. Pogonili wierzchowce do szybszego biegu. Pierwszy mknął na kisicie Iti, prowadząc na długiej lince jucznego irmana, za nim, w odległości kilkunastu stóp, ciężko galopował rogaty wierzchowiec z Vortarem i eneiką na grzbiecie. Poobijany Irga

pojękiwał z cicha, czując w krzyżach ból promieniujący na całe ciało. Nie lubił i nie umiał jeździć wierzchem. Jak wszyscy jego pobratymcy był wytrwałym piechurem i dobrym biegaczem, jazdę na zwierzętach pozostawiał narwanym valom, którym się zawsze spieszyło. Trzymając się kurczowo siedzącego przed nim Vortara, cierpiał, gdyż obolałe członki rejestrowały każdy skok irmana.

Nie zatrzymywani minęli roгатki i dopiero gdy wjechali na opustoszałe przedmieścia, zwolnili bieg wierzchowców. Iti obejrzał się. Nikt ich nie gonił. Sprowadził kiseta do stępa, a następnie zatrzymał go. Vortar poszedł w jego ślady. Chwilowy postój natychmiast wykorzystał To-sar. Pospiesznie zlął z grzbietu irmana na ziemię i z ulgą rozprostował wytrzęsione kości.

– Nie schodź, zaraz jedziemy dalej – uprzedził go Iti.

– Dzięki, panie, ale wolę na piechotę. Mniej to zaszkodzi moim gnatom, niż obijanie ich na zadzie tego monstrum.

– Musimy szybko opuścić Gerab. Nie nadążysz za wierzchowcami.

– Nie martw się o mnie. Potrafię biegać i dotrzymam kroku kłusującemu irmanowi. Nie będziesz przecież galopował?

– A twoje rany?

– Moje rany bardziej ucierpią na rumaku, aniżeli na mych własnych piętach. Ruszajmy już, bo ci złoczyńcy gotowi nas dogonić.

– Nie ma pośpiechu, twoi prześladowcy prawdopodobnie zrezygnowali z zemsty.

– Przed chwilą mówiłeś, że musimy się spieszyć.

– Tak, ale bez przesady. Nie chcę tylko, by noc zastała nas w szczerym polu. Do najbliższej wsi jest kawał drogi.

Zaraz za ostatnimi zabudowaniami Gerab gościniec rozwidła się. Skierowali wierzchowce w jego wschodnią odnogę, wiodącą w głąb Sorvii i dalej, ku granicom Berlanu. Iti jechał na czele, nie odzywał się i nie oglądał na podążających jego śladem towarzyszy. Ci rozmawiali przyciszonymi głosami, zerkając co chwila na poprzedzającego ich jeźdźcę. Iti czuł te spojrzenia i domyślał się, o czym mówią. Był dla nich zagadką, lecz nie chciał przedwcześnie ułatwiać jej rozwiązania. Wolał pozostać jedynym, który je zna. Tak było lepiej, szczególnie dla niego.

*

Od dwóch dni otaczał ich step. Płaska, bezkresna równina, zamknięta od północy masywem Gór Smoczych, kołysała się jak morze; to wiatr przeganiał dostojnie sunące fale rudych traw. Gościniec ledwie zaznaczał się ciemniejszą nitką na jednolitej płaszczyźnie stepu. Wygniecione przez wozy cienkie wstążki kolein świadczyły, że jest to rzadko uczęszczany trakt. Widać od ostatnich deszczów nikt tędy nie przejeżdżał, gdyż idące środkiem drogi wierzchowce brodziły w sięgającym po brzuchy rozfalowanym łanie. Powietrze było szkliste i jakby połyskliwe. Migotały w nim, dodając owego kryształicznego lśnienia, kropelki opadającej rosy, w którą przeobrażała się, niknąc w oczach, przygruntowa mgiełka.

Podróżni z rozkoszą wciągali w płuca rześkie powietrze, otrząsając się z resztek snu. Niedawno wyruszyli w drogę po pierwszym od chwili przekroczenia granicy wypoczynku. Od poprzedniego dnia przemierzali terytorium Berlanu, podążając szlakiem wzdłuż obrzeża pusty-

ni Obe. Znajdowali się na terenie Wielkiego Księstwa Koronnego, nominalnie centralnej dzielnicy królestwa. Nominalnie, gdyż królestwo Berlanu przestało istnieć, kiedy przed dwoma ellarami ówczesny czerwony król, nadając przywilej ośmiu rodom, zezwolił na przyjście na świat ośmiu nowych synów Rotha. Wymusiło to na obejmującym po nim schedę złotym władcy analogiczny krok i tak zjednoczona dotąd kraina przemieniła się w dziewięć niezależnych księstw, w których panowali wybrańcy Jasti i Rotha. Formalnie nadal stolicą Berlanu było Kvit, a władca zasiadający na tronie Wielkiego Księstwa Koronnego nosił – oprócz książęcego – także królewski tytuł, jednak nie mógł on narzucić swej woli udzielnym książętom. I choć w każdym zuarze odbywała się uroczystość złożenia hołdu królowi, był to jedynie nakazany tradycją obrządek, który nie miał wpływu na stosunki między władzkami.

Taka uroczystość miała wkrótce nastąpić i na nią spieszyli trzej wędrowcy. Być bowiem w Berlanie i nie zobaczyć hołdu, oznaczałoby pozbawienie się szansy zdobycia sławy. Uroczystość słynęła na cały Loin z hucznych zabaw i turniejów, podczas których potykali się najwięksi rycerze świata valów. Najważniejszym, najbardziej prestiżowym był Turniej o Gałąź. Imię jego zwycięzcy znał każdy val, sławiono je w pieśniach i poematach. Nie było w Loinie wojownika, który nie marzyłby o tym, by spróbować sił w tej walce. Niewielu jednak mogło dostać tego zaszczytu. Tylko potomkowie najslawniejszych rodów mieli prawo wziąć udział w turnieju bez żadnych warunków wstępnych. Pozostali, a chętnych było wielu, by stanąć w szranki z wielkimi tego świata, musieli

przejsć zwycięsko przez cykl towarzyszących uroczystościom turniejów kwalifikacyjnych.

Do udziału w tych turniejach szykowali się zarówno Iti, jak i Vortar. W miarę jak malała odległość do stolicy, przyszłe walki stawały się głównym tematem ich rozmów. Vortar dziwił się swemu towarzyszowi, który najwyraźniej miał zamiar poddać się wszystkim rygorom obowiązującym walów pośledniejszej krwi. Pochodzenie Isera, fakt, że był synem Jasti, uprawniał go do udziału w turnieju głównym. Niewiele będzie mu równych wśród tych, którzy staną do zawodów. Pomny jednak umowy nie pytał o nic, omijał ten temat, by nie narazić się na posądzenie o wścibstwo.

To-sar nie uczestniczył w owych rozmowach, siedł przeważnie w milczeniu za jucznym irmanem. Niewiele obchodziły go emocje walów, nie rozumiał ich i uważał za bezsensowne jak wszystko, co czynili przybysze zza morza. Bowiem, mimo iż wiele ellarów minęło od najazdu walów na Loin, eneikowie nadal uważali ich za intruzów. I choć handlowali z nimi i przemierzali krainy przez nich zamieszkane w wiadomych tylko sobie sprawach, traktowani z reguły pobłażliwie lub najwyżej obojętnie, nigdy nie zasymilowali się z dawnymi agresorami. W wojnach wstrząsających co jakiś czas kontynentem eneikowie stawiali niekiedy po którejś ze stron, ale w przypadku niepowodzenia bez skrupułów przechodzili na stronę przeciwnika. Jedynie Durlock, dzięki Mocy tornów, zdołał podporządkować sobie plemię Nissków. Sprzyjali mu również eneikowie z księstwa Urum, zachowując jednak formalną przynajmniej niezależność.

Już czwarty dzień jechali stepem znacznym tylko od czasu do czasu kępami rachitycznych drzewek, gdy na

horyzoncie wyłoniły się lśniące w słońcu wieże Kvit. Jednocześnie poczuli rzeński powiew, niosący zapach morza. Wkrótce krajobraz zmienił się; otoczyły ich pola uprawne, na pastwiskach widzieli stada irmanów, a z pobliskich wiosek dobiegał skowyt hangów i wrzask domowego ptactwa.

Ostatnią noc przed wjazdem do miasta, po raz pierwszy od czasu przekroczenia granicy, postanowili spędzić pod dachem. Chata stała na uboczu, od najbliższych zabudowań dzieliło ją wzniesienie porośnięte niewielkimi drzewami i strumień, który opływał je łagodnym łukiem. Stojący na progu wieśniak ponuro spoglądał na wjeżdżających w obejście obcych, lecz poproszony o nocleg zgodził się skwapliwie, jakby bał się odmówić. Ukradkiem otaksował wzrokiem bagaże podróżnych, co wzbudziło w znającym się na tych sprawach Vortarze niejasne podejrzenia. Postanowił zwrócić uwagę na niesympatycznego gospodarza.

Na razie nie miał najmniejszych podstaw do instynktownej niechęci, jaką poczuł do berlańczyka od pierwszej chwili. Dostali przyzwoitą kwaterę w chacie, choć chcieli rozgościć się w stodole. Kłopot sprawiał jedynie kiset, którego nie można było umieścić w zagrodzie wraz z innymi zwierzętami. W końcu Iti uwiązał go z dala od obejścia, rzucając drapieżnikowi na pocieszenie spory polec mięsa. Zwierzę popatrzyło z niemym wyrzutem na oddalającego się pana, nie rozumiejąc, dlaczego musi zadowolić się nędznym ochłapem, gdy wokół kręci się tyle pachnącego pożywienia.

Po obfitej kolacji, suto zakropionej tirakią, dało znać o sobie znużenie. Miał to być ich pierwszy od wielu dni nocleg w miękkich łóżach gwarantujących spokojny sen.

Nie musieli też wystawiać wart. Gospodarz okazał się gościnny, podróżnych traktował z uniżoną grzecznością. Osobiście usługiwał przy stole, a potem odprowadził ich na spoczynek. Nawet Vortar odpędził od siebie podejrzenia. Wątpliwości usunęły się w cień, przygasty, lecz zostały, bowiem podejrzliwość tkwiła głęboko w naturze byłego zbója.

Iti zasnął niemal od razu. Vortar przewracał się przez chwilę z boku na bok, wsłuchując się w mamrotanie śpiącego eneiki. W końcu i jego zmorzył sen. Spał czujnie jak leśne zwierzę, przywykłe do życia między prześladowcami, które wie, że nie wolno ufać nawet najbezpieczniejszej ciszy.

Obudził się w środku nocy. Nie, nie obudził się, coś go obudziło. Oprzytomniał od razu. Leżał przemieniony w kłęb napiętej czujności, ściskając w zwilgotniałej nagle dłoni trzon bojowego topora, który wieczorem przezornie położył na podłodze przy łóżku. Nic. Ciszę przerywało jedynie sapanie śpiących towarzyszy. Już rozluźniał się, już ponownie zapadał w sen, gdy coś usłyszał. Niby niewiele, lekkie trzaśnięcie od strony okna, jakby rozsychała się drewniana framuga. Tyle, że framugi okien w chacie były wykonane z brązu.

W jednej chwili był na nogach. Z toporem w ręce przywarł do ściany, wstrzymując oddech. Trzask powtórzył się, po czym okno uchyliło się z lekkim skrzypnięciem. Na tle granatowego nieba zamajaczyła ciemna sylwetka. Niewiele myśląc uniósł broń i opuścił ją z rozmachem w środek cienia. Ostrze zagłębiło się w czymś miękkim i ciepła struga chlusnęła na dzierzającą stylisko dłoń. Przerazający charkot i łomot spadającego ciała zla-

ły się w jedno. Z podwórza dobiegły zmieszane okrzyki. Vortar cofnął się gwałtownie.

– Iti! – Alarm był zbędny, obaj towarzysze byli już na nogach.

Ledwie zdążyli skryć się pod parapetem, gdy w przeciwną stronę i strop uderzyły strzały. Po chwili druga seria pierzastych pocisków utkwiała w drewnianych krokwiach. Vortar spojrzał na Itiego. Zrozumieli się bez słów. Kiedy kolejna porcja strzał zaśpiewała w powietrzu, skoczyli: najpierw Vortar, później Iti. Przetoczyli się po kamienistej glebie, znikając z pola ostrzału ukrytych w mroku napastników.

Zauważono ich manewr. Ze strasznym wrzaskiem runęło ku nim pół tuzina ciemnych postaci. Zerwali się na nogi. Zadzźwięczały ostrza. Trzech napastników przyparło Vortara do ściany. Bronił się instynktownie, jeszcze oszołomiony upadkiem. Nagle poczuł piekący ból w boku i przywierający do rany, zwilgotniały od krwi kaftan. Zalała go fala nieopisanej furii. Z rykiem rzucił się na przeciwników. Już jeden leżał z rozplataną głową, a dwaj następni, zaskoczeni gwałtownością ataku, przeszli do obrony. Teraz nie mógł dopuścić, by się opamiętali. Ponownie natarł z przekleństwem na ustach i kolejny napastnik, z odrąbanym ramieniem, jęcząc, osunął się na ziemię.

Trzeci nie czekał na atak rozjuszonego Sorva. Dał nura w ciemność i tylko tupot jego sandałów wskazywał kierunek ucieczki. Vortar spojrzał w stronę, gdzie niedawno mignął mu Iti, gotów przyjść Iserowi z pomocą, lecz nie było to konieczne. Iti dobijał właśnie ostatniego wroga, którego błagający o litość krzyk przemienił się w rżenie.

– Zwierzęta! – Iti nie pozwolił na chwilę oddechu.

Rzucili się w stronę wybiegu. Widok, który zobaczyli, sprawił, że Vortar zaklął gniewnie. Jeden z irmanów załadowany już ich bagażem gnał, ciągnięty na lince za kilkoma jeźdźcami galopującymi w stronę lasu. Z drugim szarpał się ostatni zbójca, usiłując poskromić wierzgające zwierzę. Skoczyli ku napastnikowi z uniesioną bronią, ale było już za późno. Irman jeszcze raz stanął dęba i posłuszny nowemu panu ruszył z kopyta za bandą.

Iti przypomniał sobie o kisecie. Wybiegł za róg stodoły i odetchnął z ulgą. Wierzchowiec był na miejscu. Rozciągnięty na ziemi szarpał kłami leżący przed nim niekształtny tłumok. Zbliżywszy się Iti z trudem rozpoznał w rozwleczonych resztkach kształt rosnącego wala.

Gwizdnął na rumaka. Kiset zerwał się, radosnym chrapnięciem witając swego pana. Rycerz wyszarpnął wiążący zwierzę łańcuch z kluczki i jednym skokiem znalazł się na grzbiecie wierzchowca. Z miejsca ruszył cwałem. Wypadając na otwartą przestrzeń, ujrzał przed sobą sylwetkę zbójcy, uchodzącego na skradzionym irmanie. Przynaglił kisetą do szybszego biegu. Zwierzę stuliło uszy i pognało, niemal nie dotykając łapami ziemi.

Błyskawicznie zbliżyli się do uciekiniera. Zawarczało w powietrzu ostrze miecza. Rozbójnik raptownie pochylił się na kark wierzchowca i zsunął z jego boku. Spłoszony irman powłókł za sobą zwłoki wala, którego stopa uwięzła w strzemieniu. Iti chwycił wypuszczone przez jeźdźcę wodze. Przyhamował kisetą, zwierzę stanęło niemal w miejscu, orząc pazurami ziemię. Silne szarpnięcie omal nie wysadziło rycerza z jego grzbietu. Nie wypuścił jednak rzemieni i irman, ostro zdarty wędzidłem, zwałił się w trawę.

Dalszy pościg nie miał sensu. Rozbójnicy zniknęli wśród drzew, a z nimi cały skradziony dobytek. Iti, prowadząc odzyskanego wierzchowca, wolno wracał do chaty. Targały nim na przemian przygnębienie i złość, że pozwolił się podejść w tak dziecinnie łatwy sposób. Gdyby nie czujność Vortara prawdopodobnie przypłaciłoby napad życiem. Stary rozbójnik dowiódł, że jest wartościowym i wiernym towarzyszem. Iti mógł sobie pogratulować natchnienia, które w tamten deszczowy poranek kazało darować mu życie i uczynić sługą.

W chacie Vortar przetrząsał izbę gospodarza.

– Uciekł razem z nimi. – Sorv z wściekłością cisnął topór na ziemię. – To on nadał im tę robotę, musiał być ich szpiegiem!

– Skąd wiesz? Może zabrali go siłą lub zadźgali gdzieś w krzakach? – Iti miał wątpliwości. Pamiętała gościnnosć właściciela zagrody.

– Nie, z pewnością był z nimi w zmowie. Możesz mi wierzyć, znam się na tym. Żadna banda nie uderza na ślepo, bez rozeznania, a ci dokładnie wiedzieli, czego i gdzie szukać.

– A gdzie To-sar? – Iti spostrzegł nieobecność eneiki.

– Pewnie zwiął gdzieś ze strachu, przekłety, tchórzliwy karzeł. I taki niby ma być Zabójcą Smoków? Teraz widzę, że mieli rację ci, którzy ścigali go w Gerab. – Złość Vortara nie mijała. Raptem zachwiał się i oparł o ścianę. Przed oczami zobaczył krwawe, przesłaniające izbę kręgi.

– Co ci jest? – Jak przez mgłę dobiegł go zaniepokojony głos Itiego. – Jesteś ranny!

Dopiero teraz rycerz zauważył dużą, czerwoną plamę na kaftanie swego towarzysza. Podbiegł do niego i sła-

niającego się doprowadził do ławy. Rozerwał kaftan. Jego oczom ukazała się szeroka rana na prawym boku poniżej żeber.

– Dostał mnie... jeden z tych trzech, na początku... – Vortar czuł ogarniającą go słabość. Świat zakołysał się i odpłynął w nicość, zostawiając jako ostatnie wspomnienie słodkawego smaku w ustach.

*

Vortar ocknął się, gdy Jasti już zachodził. Rana paliła go jak przypiekana rozżarzonym żelazem. Uniósłszy się na łokciu, spojrzał na obolały bok. Miał założony gruby, płócienny opatrunek z podartej na pasy koszuli. Usiadł na łożu, sycząc z bólu, i rozejrzał się po izbie. Itiego nie było. Ostrożnie wstał i, wspierając się o ściany, wyszedł za próg. Zastał Isera wpatzonego w odległy skraj lasu.

– Co teraz? – spytał.

Rycerz zerknął na niego i nic nie odpowiedziawszy skierował wzrok ku młodnikowi.

– Czego tam wypatrujesz? – Vortar podążył za jego spojrzeniem.

Wydawało mu się, że coś zamigotało w oddali na tle ciemnozielonej płaszczyzny. Przypatrzył się uważnie. Dojrzał malutką z tej odległości sylwetkę samotnego, objuczonego irmana, najwyraźniej podążającego w ich stronę.

– To nasz irman! – powiedział zdumiony.

Gdy zwierzę było już blisko, ujrzeli wyłaniającą się z trawy krępą, kudłatą postać, prowadzącą je za uzdę. Tosar wkroczył w obejście i, widząc stojących na progu towarzyszy, skierował się ku nim. Ci zaś dostrzegli, że

juki na grzbiecie irmana różnią się nieco od tych, które znajdowały się tam ostatnio. Przytroczone do boków zwierzęcia kołysały się niewielkie, krągłe pakunki.

– Gdzieś ty się włóczył? Skąd to masz? – Vortar ruszył ku eneice zapominając o ranie i dopiero gdy poczuł ból, przypomniał sobie o kontuzji. Jęknął i skulił się.

Irga spojrzał na niego i rzucił obojętnie:

– Nikt bezkarnie nie może okraść eneiki.

– Odebrałeś im nasze juki! W jaki sposób? – zdumiony Iti popatrzył na To-sara. Jego jedynym uzbrojeniem był zakrzywiony, haczykowaty sztylet.

Eneika nie odpowiedział. Podeszedł do irmana i począł odpakowywać owe zawinięte w gałgany kule, zdobące boki zwierzęcia. Obaj valowie zaniemówili. Irga wyciągał ze szmat i nabijał jak garnki na sztachety płotu zakrwawione głowy.

*

Skąd bierze się plotka? Potężna, wszechmocna, żyjąca własnym życiem obok oficjalnych wieści elektryzuje prawdą lub fałszem wierzącą jej bezgranicznie gawieź. Gdzie tkwią jej źródła, skąd bierze początek – nikt się nie dowie. Plotka wie o rzeczach okrytych najgłębszą tajemnicą, w razie potrzeby legendą uzupełnia okrucieństwa faktów. I plotce wierzy się zawsze.

Zasięg plotki może być różny: od przysiółka po mocarstwo i całe krainy. Jej siła bywa zróżnicowana; plotka obmówi sąsiada lecz potrafi też zmieniać losy świata, wynosić i obalać władców, tworzyć mity i kreować bogów.

Ta plotka powstała jak inne. Ktoś komuś szepnął słowo, słowo urosło w opowieść, opowieść zrodziła pieśni, a pieśni... Pieśni rozpoczęły wędrówkę przez kraje Loinu, docierając do chat i pałaców. Dotarły również do książęcego zamku w Irvion i, choć początkowo nie dano im wiary, poparte informacjami szeptanymi do ucha budziły tym większy niepokój, im napływały bardziej prawdopodobne wieści.

Legenda o piętnastym synu Jasti stała się w Iserii popularna z kilku zasadniczych powodów. Książę Anutajasti rządził nieudolnie, co w obliczu ogarniającej kraj wojny malowało przyszłość państwa w ciemnych barwach. Durlock naciskał, jego zagony przemierzały kraj, docierały w pobliże stolicy. Wprawdzie Korm bronił się jeszcze, a jeźdźcy z książęcych pułków siali panikę w szeregach wroga, lecz klęska wisiała w powietrzu. Nie starczało sił na likwidację wszystkich przebiegających kraj wrogich kohort.

Tymczasem książę Anutajasti, wbrew naleganiom Rady Wojennej, wzdragał się przed zdecydowanym działaniem, przed postawieniem wszystkiego na jedną kartę. Było jeszcze dość wojska, by wydać walną bitwę i odrzucić nieprzyjaciela z Gardła, na to potrzeba jednak odwagi dawnych władców, zaś tej księciu najwidoczniej brakowało. Anutajasti, w przeciwieństwie do swych poprzedników, nie miał natury wojownika, a takiego pana potrzebowała Iseria. Prawowity syn Jasti wołał nie wiedzieć o sytuacji kraju. Do zacisznego azylu, jaki stworzył w swoich komnatach, nie miały wstępu hiobowe wieści z nękanego wojną księstwa. Dlatego im gorzej działo się w państwie, tym skwapliwiej ludność szukała nadziei w

owej plotce. Zaś najważniejsze było to, że nieprawdy syn Jasti miał pochodzić z ludu i był Iserem.

Asti niepokoił się. Jeśli w krążącej wśród gminu opinii znajdowało się choćby ziarno prawdy, los dynastii był zagrożony. Niepowodzenia w wojnie z Durlockiem pozbawiły panujących sympatii rycerstwa i prostych chłopów. Teraz swe nadzieje mogą ulokować w tym mitycznym synu Jasti, choćby nawet nim nie był. Każdy legendarny bohater jawi się zbawcą, w cudowny sposób chroniącym swój lud od zguby. Dlatego trzeba zniszczyć tę legendę, zanim przybierze realnych kształtów. Asti nie sądził, by rzeczywiście ktoś poważał się naruszyć uświęcony tradycją zakaz. Jeśli jednak istnieje val, którego gminna wieść ubiera w książęce szaty, tylko jedno rozwiązanie może przywrócić ustalony na zawsze porządek rzeczy.

Rozkazał wezwać Esighena.

*

Od półtora seves trwały w Kvit uroczystości towarzyszące hołdowi książąt. Od półtora seves Vortar klął swój los: z powodu pozornie niegroźnej rany medycy stanowczo zabronili mu wszelkiego wysiłku, o turnieju mógł zatem tylko pomarzyć. Spoglądał więc złym okiem na szykującego się do walk Itiego, który od rana do zmroku poświęcał czas ćwiczeniom na błoniach pod zamkiem, trenując wraz z innymi żądnymi sławy rycerzami.

Vortar dopiero od dwóch dni mógł wstawać z łoża. Nudził się okropnie odizolowany od uciech, które serwowało przybyszom miasto. Bywały chwile, gdy nie miał do kogo ust otworzyć, bowiem Iti nigdy nie wracał

przed wieczorem, zaś To-sar zniknął gdzieś zaraz po przybyciu do Kvit i jak dotąd nie pokazał się jeszcze. Siedział więc zwykle w oknie i smętnie przyglądał się barwnym tłumom płynącym ulicami.

Stolica była wypełniona po brzegi rycerstwem z różnych krajów Przedgórza i wciąż przybywali nowi goście. W ślad za szlachtą podążali bowiem do Kvit kupcy, artyści rozmaitych profesji i pospolita gawiedź, ciekawa widoku wielkiego świata. Uroczystość ściągała również wszelkiego autoramentu rzezimieszków liczących na bogaty łup. W licznych karczmach i gospodach co chwila wybuchały burdy, nierzadko kończące się krwawo.

Główne ulice miasta kwitły barwami dziewięciu księstw Berlanu. Nad wszystkimi górował znak Płonącej Gałęzi – godło królewskie – szanowany, choć pusty obecnie symbol nieistniejącej jedności. Dekorację stolicy uzupełniały różnorakie herby, buńczuki i sztandary zdobiące domy, w których kwaterowali szlachetnie urodzeni goście z całego świata. Rycerze uczestniczyli w balach i ucztach, oczekując dnia hołdu i głównej atrakcji święta – Turnieju o Gałąź. Tymczasem rozpoczęły się walki kwalifikacyjne. Ich formuła była otwarta. Prawo stawania w szranki miał każdy zdolny unieść broń męczyzna niezależnie od tego, skąd się wywodził. Zwycięzca awansował do następnej rundy i mógł zmierzyć się z kolejnym rywalem. Tylko dwóm najdzielniejszym przypadnie zaszczyt skrzyżowania mieczów ze sławnymi wojownikami, którzy przywilej uczestnictwa zdobyli dzięki pochodzeniu bądź wojennym zasługom.

Vortar niecierpliwie oczekiwał powrotu Itiego. Tego dnia miał odbyć się spis kandydatów do turnieju wstępnego i losowanie przeciwników. Vortar był ciekaw, kto

pierwszy stanie w polu przeciwko Iserowi. Ogromne znaczenie miał przypadek; wśród kandydatów byli zarówno nowicjusze, jak i starzy, doświadczeni rębacze. Jeśli Itiemu nie dopisze szczęście, turniej może zakończyć się dla niego na pierwszej walce. Ale Vortar dobrze pamiętał, co potrafi młody rycerz, i takiej ewentualności nie brał poważnie pod uwagę.

Zgodnie z prawem podczas turnieju wstępnego na żadnym elemencie bojowego sprzętu nie mogły znajdować się znaki ani kastowej, ani narodowej przynależności wojownika. Symbole na broni należało zamalować, a tarcze i zbroje obciągnąć szarym płótnem, by herb, jeśli przystępujący do potyczki takowy posiadał, pozostał niewidoczny. Dopiero dwaj zwycięzcy eliminacyjnych starć mieli obowiązek odkrycia rodowego znaku. Jeżeli któryś z nich wywodził się z niższych warstw, fakt awansu do turnieju nobilitował go do grona szlachty, a król Berlanu w przeddzień rozpoczęcia walk nadawał mu herb i prawa rycerskie.

Stary rozbójnik miał kłopot. Iti przed wyjściem polecił mu przygotować oręż do walki, a on nie znał symbolu, który powinien wymalować na tarczy, zanim pokryje ją płótnem. Nie śmiał pytać rycerza wprost, obejrzał więc dokładnie głownię jego miecza, lecz znalazł tylko wizerunek kiseciego łba, ani śladu znaku Jasti. To powtórnie wzbudziło w nim podejrzenia. Postanowił zaczekać na Isera. Tymczasem przejrzał pozostałą broń, wykonał ochraniacze na łapy i kaganiec na pysk kiseta. Turniej kwalifikacyjny oraz pojedynki wstępne toczyły się do pierwszej krwi, tego zaś zwierzęciu wytłumaczyć nie było można. Reguła pierwszej krwi przestawała obowiązywać dopiero w starciu finałowym. Na zwycięzcę cze-

kał laur Gałęzi. Tu już nie było żartów, tylko jeden z przeciwników mógł wyjść żywy ze starcia – triumfator.

Iti wrócił uśmiechnięty i podniecony myślą o zbliżającej się rozgrywce. Los był łaskawy, jego pierwszym rywalem miał być niedoświadczony młokos z Awinów. Zdziwiła go ponura mina towarzysza, zapytał więc o przyczynę.

– Twoja tajemnica zaczyna mi ciążyć – burknął Vortar. – Jak mam przygotować ci tarczę, nie znając herbu twego rodu?

– Mój ojciec nosił na buńczuku paszczę kiseta, zatem i ty namaluj ów znak. – Iti wzruszył lekceważąco ramionami. – Nie widzę tu żadnego problemu.

– Tylko paszczę? – Vortar nadal nie był zadowolony. – A co z symbolem Jasti?

– Zamilcz! – rycerz groźnie spojrzał na Sorva. – Kazałem ci zapomnieć. Jeśli nadal będziesz o tym mówić, zabiję cię!

– Wybacz, panie. – Brutalnie upomniany rozbójnik spokorniał. – Tyle razem przeszliśmy, że sądziłem, iż wolno mi będzie znać prawdę. Jeżeli nie życzysz sobie tego, wybacz, nie zapytam więcej.

– To ty mi wybacz, druhu. – Iti opamiętał się i ze śmiechem ujął Vortara pod ramię. – Widzę, że będę musiał ci powiedzieć. Ale pamiętaj, ufam ci i mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz. Gdybyś zdradził – Iser spoważniał – naprawdę będziesz musiał zginąć.

– Niepotrzebnie to mówisz. Vortar nie zdradził jeszcze nikogo.

– A więc posłuchaj... – rozpoczął opowieść rycerz.

*

– ... teraz już wiesz wszystko – powiedział cicho na koniec. – Powierzyłem ci swoją tajemnicę, jedno nieopatrznie wypowiedziane słowo i...

– Nie musisz mi tego przypominać. Ale wiesz, wczoraj w gospodzie słyszałem pieśń... Nigdy nie brałem tych bająć poważnie, teraz chyba muszę zmienić zdanie.

– Jaką pieśń?

– O tobie.

– Skąd wiesz, że o mnie? Przecież nikt poza matką i Besitim nie wie o moim urodzeniu... Zaraz, zaraz... A ten rozbójnik, no wiesz, ten, który był z tobą. Niby uciekł... Jak myślisz, czy on mógł widzieć?

– Nie wiem.. – z wahaniem odparł Vortar. – Może przycupnął gdzieś w krzakach i obserwował naszą walkę. To nawet bardzo prawdopodobne, nie był pewien jej wyniku i mógł mieć ochotę na udział w łupach!

– Tak, to możliwe. – Iti wstał, kończąc rozmowę. – Nic już nie poradzimy, trzeba zachować ostrożność i trzymać język za zębami. Nikt nie powinien nawet podejrzewać, kim jestem. Dlatego namaluj na tarczy herb mojego ojca. Kiedyś być może uzupełnimy ten znak symbolem Jasti.

– Iti – Vortar zatrzymał udającego się na spoczynek rycerza – Powiedz mi, kto nauczył cię walki? Mówiłeś, że wychowywał cię starzec, ten, jak mu tam...

– Besiti – odpowiedział Iser. – To nie był zwykły val. Kiedyś za młodych lat był jednym z najznamienitszych rycerzy księstwa. Złamała go straszna siła, w jednej z bitew zetknął się z Mocą. Jako jedyny nie ugiął się przed nią, ale przypłacił to pomieszaniem zmysłów. Od tamtej pory żyje jak pustelnik, unika świata. To on włożył mi do

ręki miecz i nauczył nim władać. Muszę spłacić dług wobec niego.

*

Drogami, ścieżkami leśnymi, szerokimi traktami i bezdrożami przemierzało wzdłuż i wszerz krainy Loinu kilkunastu szarych jeźdźców. Samotni, milczący, wyniosli budzili ciekawość i obawę. Zaczęto snuć na ich temat różne domysły, zrodziły się plotki o szpiegach z Iserii. Namiestnicy prowincji, w których się pojawiali, dyskretnie wysyłali za nimi swe sługi. Wysłannicy ci często ginęli bez śladu. Następowaly również tajemnicze wydarzenia, których początkowo nie wiązano z obecnością szarych rycerzy. Oto pewnego ranka w ubogiej gospodarstwie znaleziono jej właściciela, starego Gerna, z poderżniętym gardłem. Jakiś czas potem wieśniacy zbierający w lesie chrust natrafili na zwłoki utopionego w strumieniu nieznanego im wala. Zabrano je do wsi, by wyprawić mu pochówek zgodnie z przykazaniami Mau. Tam niektórym wydało się, że rozpoznają w topielcu jednego z kompanów grasującego niegdyś w okolicy Vortara, jednak czas i śmierć odmieniły oblicze nieznanomego tak dalece, że nie sposób było potwierdzić słuszności ich przypuszczenia. Spalono więc ciało z szacunkiem i rozsypano popioły na cztery strony świata, by użyźniły walijskie ziemie.

W ościennym kraju, niezbyt daleko od stron, o których mowa, dużo później w chatce z gałęzi znaleziono martwego starca, niegdyś sławnego wojownika. Na ciele nie miał żadnych obrażeń, uznano więc, że umarł ze starości i zgryzoty, bowiem od wielu ti żył opuszczony

przez bogów i walów, na których wdzięczność przecież zasłużył. Namiestnik przygranicznej prowincji wyprawił mu okazały pogrzeb, jakby chciał wynagrodzić zmarłemu krzywdę zapomnienia. Zaraz potem w jednej z wiosek połączyła się z przodkami kobieta Ruata, mówiono, że to z powodu zakazanej ciąży. Widać bogom nie wystarczyła śmierć noworodka. Nikt nie skojarzył tych wydarzeń z pogłoskami o pojawieniu się w okolicy obcych jeźdźców, tym bardziej że wkrótce zniknęli.

*

Iti walczył wspaniale, z łatwością zwyciężał kolejnych przeciwników. Nikt nie stawiał mu długo czoła, toteż gdy ogłaszano werdykt i nominację do Turnieju o Gałąź, rycerz był pełen energii, niemal wypoczęty. Z ciekawością przyglądał się klęczącemu obok walowi, który również uzyskał prawo zmierzenia się z najlepszymi. Gdy mistrz ceremonii uroczystie nakazał zerwanie zasłon z tarcz, zaskoczony Iti stwierdził, że pawęż jego sąsiada jest pusta. Z tym większym szacunkiem spoglądał na tego, który porzucił sochę i dorównał rycerzom. Jego dom wkrótce ozdobią insygnia wojownika, a synowie będą stawiać na wezwanie władcy, by oddawać krew za spokój włościan, od których się wywodzili.

Do głównej nagrody pretendowało ośmiu rycerzy. Oprócz Itiego i kmiecia z pustynnych rejonów Obe byli to młodzi poszukiwacze sławy ze wspaniałych rodów. Znalazł się wśród nich złoty książę, brat bliźniak władcy Lornin, księstwa podległego cesarzowi Agrenii. O mieszkańcach tej krainy powiadano, że w ich żyłach płynie krew tornów, bowiem wiele ellarów żyli w przyjaźni

z Shonnami, którzy niegdyś władali południowym wybrzeżem Morza Wewnętrznego. Ów syn Jasti miał pecha; przyszedł na świat drugi, kiedy narodzonego przed nim brata obwołano już następcą tronu. Był jedynym złotym księciem bez poddanych, choć sześć państw Przedgórza wiele by dało za taki kłopot, tam bowiem nie narodził się syn Jasti, a krajami zarządzili regenci. Jedynym, jeśli nie liczyć tego, o którym wieść rozprzestrzeniła się z niepokojącą prawowitych władców mocą.

Pierwszy przeciwnik, tłusty rycerz z Moth, nie zabrał Itiemu wiele czasu. Walczył pieszo i jako urodzony żeglarz wyraźnie źle czuł się na lądzie. Iti nie musiał nawet użyć broni, silne łapy kiseta powaliły rywala na ziemię i możnowładca z wyspy musiał uznać się za pokonanego.

W drugiej rundzie, gdy zostali już tylko najlepsi, Iser ujrzał wśród nich znanego już z turnieju wstępnego vala. Nie chciał, by los właśnie jego wyznaczył mu na konkurenta w finałowej potyczce. Może dlatego, że obaj musieli udowodnić w walce swe prawo do należnego im miejsca. Trzecim kandydatem do finału był złoty książę z Lornin. On również bez wysiłku pokonał swego rywala i teraz ze stoickim spokojem oczekiwał losowania par.

Stawkę uzupełniał olbrzymiej postury val z Agrenii. Tylko on, poza Itim, dosiadał potężnego kiseta o złowrogo błyszczących zza kagańca ślepiach. Szacunek wzbudzała sylwetka rycerza, a jego wielki miecz, którym posługiwał się z taką łatwością, jakby niósł słomkę, a nie ciężkie żelastwo, mógł przerazić najodważniejszego wojownika. Był pierwszym, który swego przeciwnika pozbawił życia. Straszliwy cios miecza rozplątał młodego wojownika z Marnu prawie na dwoje. Teraz val ponuro

wodził wzrokiem po konkurentach, szukając wśród nich następnego rywala.

Los rękami samego króla Berlanu wyznaczył na pierwszą parę lornięczyka i świeżo nobilitowanego szlachcica z Obe. I od razu stało się jasne, kto stanie do kolejnej potyczki.

Iti patrzył na Agrena. Olbrzymi rycerz także taksował go wzrokiem, jakby oceniając możliwości niepozornego iserskiego jeźdźca. Jego kiset przysiadł co chwila na tylnych łapach, niecierpliwiąc się przed walką. Zwierzę przerastało niemal o połowę kisetu Itiego. Tak potężne stworzenia rzadko widywano nawet w księstwie, które było ich ojczyzną. Lekki dreszcz przebiegł Iserowi wzdłuż kręgosłupa – dreszcz, którego nie mógł przypisać jedynie emocji. Agren czekał na niego.

Tymczasem musieli ustąpić pola pozostałym pretendentom do trofeum. Pierwszy ruszył do natarcia złoty książę. Jego irman, wzbijając kopytami obłoki kurzu, runął na ukrytego za skórzaną tarczą piechura. Ten wy-czekał do ostatniej chwili i rzucił się w bok. Włócznie lornięczyka przecięła powietrze, a jeździec przeleciał obok przeciwnika, gwałtownie hamując bieg zwierzęcia. Teraz uderzył rycerz z Obe; topór z wielką siłą spadł na podstawione drzewce kopii i strzaskawszy je zagłębił się w karku irmana. Zwierzę ciężko opadło na kolana, z jego nozdrzy buchnęła krew. Lornięczyk zwinnie zeskoczył na ziemię. Z wyciągniętym mieczem ruszył na konkurenta. Rozpoczęła się zażarta walka. Powoli stawało się jasne, kto będzie jej zwycięzcą. Młody książę przewyższał swego rywala w kunszcie władania bronią, w jego cio-sach widać było rękę mistrzów oręża. W końcu zadał ostatnie, niewidoczne pchnięcie i Obin ze zdziwieniem

popatrzył na nasączającą ubranie w okolicach barku krew. Osunął się z wolna na kolana i wypuścił topór z dłoni. Mgła zasnuła mu oczy. Upadł na zryty kopytami piach i zamarł w bezruchu.

Przez widownię przebiegło jakby westchnienie. Po chwili na arenę wyskoczyło kilku skromnie ubranych walów. Jeden z nich pochylił się nad leżącym. Jakiś czas badał rannego, po czym wyprostował się i obwieścił radośnie:

– Żyje!

Wśród okrzyków uznania zniesiono zemdlonego wojownika z placu boju. Księżę z Lornin stał jeszcze przez moment pośrodku areny, po czym oddawszy salut mieczem królowi i widowni, z obojętną, a nawet lekko znużoną miną opuścił miejsce walki. On był już w finale. Teraz miał czekać na kolejnego przeciwnika.

Zagrzmiały rogi. Ich dźwięk oznajmiał, że nadszedł czas drugiego pojedynku. Iti, wychodząc na środek placu, poczuł ogarniające go podniecenie. To uczucie sprawiło, że kolorowy obraz przed oczami rozpływał się, nie docierały do niego głosy tłumu. Istniał tylko jeden cel: nieruchomy jak skała rycerz w mosiężnej zbroi po przeciwnej stronie areny. Patrzył na niego wyężając wzrok, a wal potężniał w jego oczach, zmieniał się w lśniącego złociście olbrzyma. Sam czuł się mały i bezbronny wobec uzbrojonej góry mięśni, ruszającej wolno ku niemu. Nagle poprzez oddzielającą go od świata mgłę dobiegł do jego uszu okrzyk:

– Walcz, Iti!

Poznał głos Vortara. Poczuł, jak wraca mu pewność siebie, jak chłodnieje serce i tężeją ramiona. Ścisnął boki kiseta.

Chrupnęły włócznie o hufnale tarcz. Obaj jeźdźcy zachwiali się i obaj równie szybko odzyskali równowagę. Iti odrzucił strzaskaną kopię i dobył miecza. W samą porę, bo przeciwnik już sunął ku niemu z uniesioną bronią. Miecze skrzyżowały się z brzękiem, grzmotnęły o siebie tarcze. Wojownicy przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Raptownie odskoczyli na długość ostrza.

Znów starli się wśród błysków kling i znów krążyli wokół siebie jak walczący drapieżcy. Nagle Agren poderwał wierzchowca. Kiset przysiadł na zadzie i dał susa z wyciągniętymi na podobieństwo taranów łapami. Iti ujrzał nad sobą jego siwy brzuch i dopiero teraz docenił swego wierzchowca. Rumak sprężył się w miejscu i skoczył, podcinając tylne nogi atakującego zwierzęcia. Iser wyfrunął z siodła. Ładując na piasku zobaczył walący się na ziemię kłęb splątanych ciał. Z kłębowiska wyskoczył rycerz. Przez moment szukał wzrokiem rywala, po czym ruszył ku niemu z wyszczerzonymi z wściekłości zębami. Iti spojrzał jeszcze na walczące zwierzęta. Trudno było odróżnić ich kształty. Płowosiwy kłęb przetaczał się po arenie, a z jego wnętrza dobiegały coraz straszniejsze ryki.

Teraz Iti musiał myśleć tylko o walce. Jego przeciwnik natarł z impetem, jakby chciał zmiażdżyć nieugiętego wroga. Pojedynek przestał być szlachetną rywalizacją rycerzy, tu stawką stało się życie. Iti zrozumiał to, gdy spojrzał w oczy Agrena. Ujrzał w nich żądzę śmierci.

W pewnej chwili udało mu się trafić rozjuszonego wojownika. Przerwał więc walkę. Spozregł króla, który wstawał z miejsca z zamiarem ogłoszenia zwycięzcy, gdy poczuł silny ból w lewej ręce. Olbrzymi Agren nie zamierzał uznać się za pokonanego. Ciął na odlew i tylko

dzięki jego oszołomieniu Iti pozostał przy życiu; miecz zamiast w szyję trafił w okryte kolczugą ramię.

Przez widownię przebiegł okrzyk oburzenia. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by ktoś złamał prawo turnieju. Na śmierć i życie wolno było walczyć jedynie uczestnikom finałowego starcia. Sympatia tłumu była teraz całkowicie po stronie zaatakowanego podstępnie Isera.

Zaskoczony Iti bronił się tylko, dopóki nie spostrzegł, że oślepiiony wściekłością rywal zapomina o podstawowych zasadach walki, stawia na zdławienie go huraganowym atakiem, lekceważąc elementarną regułę, że w boju równie ważna jest obrona. Wtedy wrócił spokój. Jak w szkolnej potyczce z Besitim kilkoma rutynowymi ruchami wybił Agrena z rytmu i zaatakował. Jego pierwszy cios rycerz z cesarstwa odparował, następny ruch i miecz utkwiał w trzewiach Agrena poniżej blach pancerza. Olbrzym padł na twarz, jego ciało przebiegł gwałtowny spazm, a ziemia wokół poczęła zabarwiać się na czerwono.

Iti rozejrzał się. Kisety jeszcze walczyły. W pewnej chwili dostrzegł niebezpieczeństwo; wierzchowcowi Agrena pękł kaganiec. Wobec zębów potwora rumak Itiego był bezbronny. Rycerz nie mógł pozwolić na śmierć zwierzęcia, któremu tyle zawdzięczał. Podbiegł do walczących drapieżników. W samą porę, bowiem wielkie kły sięgały już gardła jego kisetu, który nie mógł przeciwstawić im nic poza zwinnością. Zadał cios w potężną szyję, aż chrupnęły gruchotane kręgi i odwalony łeb potoczył się po ziemi.

Powoli opuszczało go napięcie. Pochylił się nad swym kisetem i chwyciwszy za uzdę pomógł mu wstać. Zwierzę, ciężko dysząc, uniosło się na drżące łapy i stało ze

zwieszonym łbem, a z pyska poprzez rzemienie kagańca spadały w piasek krwawe płaty piany. Iser wolno ruszył w stronę trybuny honorowej. Widownia milczała, jakby groza zakończonego przed chwilą pojedynku odebrała gapiom zdolność reakcji. Uniósł gardę miecza na wysokość twarzy w rytualnym geście hołdu. Król wstał.

– Zwycięzcą drugiego pojedynku i kandydatem do głównej nagrody ogłaszamy rycerza Itiego z Iserii – zadźwięczały w ciszy słowa władcy. – Zarazem oznajmiamy, że Sean z cesarstwa Agrenii, który złamał święte prawo pierwszej krwi, przestał być godzien miana wojownika. Niech wieść tę rozniosą heraldowie po wszystkich krajach Loinu.

Wybuchła wrzawa. Widzowie wiwatowali na cześć zwycięzcy, jakby był już zdobywcą Gałęzi. Iti ujrzał podążającego w jego kierunku złotego księcia z Lornin.

– Przyjmij słowa uznania – księżę położył rękę na ramieniu Isera. – Jutro spotkamy się na tym placu jako śmiertelni wrogowie, pozwól mi więc dziś być twym przyjacielem.

Iti popatrzył na jego jarzącą się w słońcu czuprynę i nasunął głębiej kaptur na oczy.

– Zaszczyt to dla mnie, prostego jeźdźca, być przyjacielem złotego księcia choćby przez jeden wieczór. Z tym większą przykrością stanę jutro do walki, która tę przyjaźń zakończy na zawsze.

*

Korowód posuwał się w pełgającym świetle setek pochodni. Towarzyszył mu jękliwy ton rogów, zwielokrotniony echem w mrocznych zakamarkach świątyni, i za-

wodzenie kapłanów. Cienie ich czarnych kapturów wydłużały się i chwiały w migotliwym blasku płomieni, postacie zdawały się sięgać stropu korytarza. Droga do ofiarnego ołtarza wiodła labiryntem wykutych w skale wąskich tuneli, rozwidlających się na wiele odnóg, które ginęły w mroku. Nikt niepowołany nie zdołałby przebyć gmatwaniny jaskiń, chodników i pochylni wykonanych po to, by poplątać ścieżki ciekawskim. Znali ją tylko strażnicy świętego miejsca – szowoni.

Procesję otwierał Joran – pierwszy kapłan Wielkiego Księstwa. Szedł z uniesionymi nad gołą głową rękoma, których palce nieustannie przesuwały węzełki rytualnego tauru. Za nim sunęli w dwóch rzędach okutani w czarne szaty słudzy ołtarza. Jeszcze dalej klasztorna służba wiodła przeznaczone na ofiarę zwierzęta: trzy irmany z upiłowanymi rogami. I wreszcie, poprzedzany olbrzymim wizerunkiem Obojga Słońc, kroczył główny aktor ceremonii. Jego nagie ciało zdobiły święte znaki. Szedł podtrzymywany przez dwóch zakapturzonych mnichów na spotkanie tej, dla której żył. Jego twarz jaśniała ekstazą, usta poruszały się w rytm słów szeptanej modlitwy, a opuszczone powieki drżały. Totoghi-Mau – Poświęcony.

Z tyłu, w nakazanej odległości, dostojnie kroczył król Berlanu w otoczeniu książąt, potem dwaj rywale: rycerz Iti z Iserii i książę Jastihoreno z Lornin. Jeden z nich niebawem zdobędzie Gałąź, a drugi odejdzie w ciemność. Za rycerzami podążał tłum szlachty i możnowładców. Tajemniczość i powaga świętego miejsca powodowały, że panowało milczenie. Mglisty opar kadzidlanego dymu wywoływał dziwne otępienie, jak gdyby umysł pętały strzegące świątyni moce. A może – jak szeptano – nie dym to sprawiał, lecz czary szowonów?

Korytarz rozszerzył się nagle w wielką ni to komnatę, ni pieczarę, której strop ginał w najgłębszej ciemności. Na wprost wejścia wznosił się złoty posąg Mau rozjarzony samoistnym, wewnętrznym światłem. Przed nim ziała przepaść, z której leniwie wypływał błądy obłok pary.

Śpiew kapłanów potężniał, przechodząc w przeraźliwe wycie, rogi zagrały najwyższe tony. Joran stanął na brzegu szczeliny i wzniosł ramiona w górę. Hałas trwał jeszcze chwilę, by ścichnąć tak nagle, że cisza, która raptownie zapadła, niemal ogłuszyła zebranych.

– Schylcie czoła przed wielkością Mau! – głos kapłana zadudnił pod sklepieniem.

Valowie padli na twarz, mnisi skłonili głowy. Jedynie Totoghi-Mau pozostał nieruchomy, zamknięty w sobie. Jego duch już ulatywał w niedostępne śmiertelnikom rejony, dokąd wzywali go bogowie. Kapłan opuścił ręce, powoli, kuląc się, opadł na klęczki. Zwinięty, podobny do niepozornego, żywego łachmana usiadł na piętach. Dotknął czołem krawędzi przepaści, owiały go wydobywające się z jej głębi białe opary. W zalegającej pieczarę ciszy znów zabrzmiały jego słowa:

– Ooo, pani! Wielka, wszechmocna Mau! Przychodzimy do ciebie my, nędzne robaki, pył twej świetlistej drogi, przychodzimy błagać cię, byś przyjęła tę oto ofiarę pierwszą. Za jej krew daj, pani, plon spracowanym rękom rolnika!

Dwaj zakapturzeni kapłani przyciągnęli na skraj urwiska irmana. Zwierzę, czując nadchodzącą śmierć, zapierało się, jego przeciągły ryk zabrzmiał żalosną skargą. Joran wstał. W ręce dzierżył długi ofiarny nóż z brązu. Jednym błyskawicznym ciosem dźgnął irmana w kark nad łopatką, po czym we trójkę zepchnęli zwierzę w

czarną głębię. Jeszcze tylko rozległ się ostatni jęk ginącego stworzenia i ponownie zapadła cisza. Dwukrotnie powtórzono ten sam rytuał, inne jedynie przedkładając prośby. Najważniejsza część ceremonii miała dopiero nastąpić. Oto Joran zawołał po raz czwarty.

Spomiędzy mnichów wystąpił Poświęcony. Podszedł wolno ku krawędzi, uniesioną twarz kierując ku jaśniejącemu posagowi bogini. Ręce skrzyżował na piersiach, oczy miał otwarte. Stał na skraju szczeliny i począł jednostajnie kołysać się to w tył, to w przód. Z jego gardła wypłynął śpiew. Śpiew bez słów, bo słowa kierowane są do tych, którzy zostaną, on zaś przeznaczał go tym, ku którym zdążał. Skłony stawały się głębsze i głębsze, aż wreszcie Totoghi-Mau rozłożył ramiona i skoczył. Słuchać było jego pieśń, gdy spadał w ramiona śmierci, o której marzył od czasu, gdy zamknęła się za nim klasztorna furta. Po chwili głos ucichł, a z otchłani buchnął kłęb czarnego dymu.

Znów huknęły rogi. Valowie wstawali, otrzepując ubrania. Iti spojrzął na boginię. Zniknęła tajemnicza poświata, posąg przygasł i zszarzał. Tylko błyski pochodni rozpraszały ciemność, który spowił jego złotą bryłę.

Tłum wypływał na zalany słońcem plac u wejścia do świątyni. Rycerze w milczeniu przecierali odwykłe od światła oczy i z pełną lęku powagą opuszczali miejsce kultu. Iti wraz z Jastihoreno podążali za władcami Berlanu. Brunatny kaptur Isera otaczały płonące złotym blaskiem głowy synów Jasti. Wiedział, że długo jeszcze nie będzie mu wolno go zdjąć i do nich dołączyć. Czuł, że ta chwila nadejdzie, jednak nie potrafił nawet wyobrazić sobie, kiedy. Był niczym, marnym szarakiem próbującym wdrzeć się między lwy, i choćby pokonał złotego księ-

cia z Lornin, pozostanie od nich gorszy. Chyba że zdejmie ów przeklęty kaptur. Wtedy umrze równy półbogom.

Ruszyli w stronę pałacowego dziedzińca, gdzie wkrótce miał nastąpić kulminacyjny moment święta: hołd książąt. Siedmiu złotych władców i regent księstwa Winth, któremu Jasti poskąpił prawowitego dziedzica, w tradycyjnym pokłonie przysięgnie wierność królowi, by przysięgi tej nigdy nie wypełnić. Czas hołdu był bowiem tylko chwilą zawieszenia broni, armie lenników stały już w pogotowiu, czekając, aż skończy się owa podniosła maskarada i będzie można podjąć przerwane kłótnie, najazdy i wojny. Teraz berlańscy książęta kroczyli jeszcze ramię w ramię, poddali się nastrojowi ceremonii, która miała nastąpić. Wkrótce pochyla głowy przed majestatem suwerena i będzie to jedyny moment triumfu władzy królewskiej. A potem... Potem rozstrzygnie się los dwóch wojowników, którzy po raz ostatni idą obok siebie w zgodzie.

Dziedziniec huczał gwarem wielu głosów. Wszystkie ławy w podcieniach były zajęte, a loże na krużgankach wypełniała zbita masa głów. Gwar ucichł, kiedy pojawił się król. Monarcha wszedł na podwyższenie i zajął przygotowany dlań tron. Za nim stanęli ci, którzy mieli asystować przy tej podniosłej ceremonii: wyżsi urzędnicy królewscy oraz dziedzice najstarszych rodów o imionach pamiętających czasy Świętej Wędrówki. Król uniósł dłonie.

– Przybywamy do was, poddani, wprost z przybytku wielkiej bogini, by obwieścić dobrą nowinę: usta ziemi przyjęły ofiarę, czarny dym pochłonał Totoghi-Mau!

Podniosła się wrzawa. Czarny dym, zwiastun radośnego Trill, przynosił wróżbę wielkich przemian, prze-

mian, które mogą dać radość i pomyślność tym, co dnia czerwonego przełomu dożyją. To pozwalało na optymizm, bo choć droga do Trill będzie bardzo trudna, zakończy się szczęśliwie. A szczęście oznaczało tylko jedno: Durlock nie sięgnie Berlanu. Jeszcze nie.

Fanfary obwieściły czas hołdu. Cicho zrobiło się na dziedzińcu, gdy równym szeregiem podeszło pod królewski stolec ośmiu władców. Kolejno przyklękali u podnóża tronu, a król Berlanu, stawiając im stopę na karaku, wypowiadał jednakową formułę:

– Przyjmujemy ciebie, książę, na lennika korony, z łaski naszej nadając ci w lenno wszelką ziemię kraju... – i tu następowała nazwa księstwa pozostającego we władaniu hołdownika.

Zgodnie z protokołem jako ostatni wstąpił na podium regent Winth. On usłyszał inne słowa:

– Oddając tobie, lordzie Mnastiho, regencję nad ziemią Winth jako lenno bez władcy, żywimy nadzieję, iż w dniu Trill zwrócisz ją czerwonemu rodowi kwitnącą i spokojną.

Skłoniły się chorągwie, zabrzmiał głos rogów. Książęta zajęli miejsca w łoży honorowej i czekali na monarchę, który w otoczeniu dworzan podążał już w ich stronę. Wkrótce stanął, oparł dłonie na balustradzie łoży i przemówił:

– Oto przyjęliśmy hołd ośmiu stron królestwa, których rody, wołą przodków naszych urodzeniem zrównane z nami, objęły te ziemie w suwerenne panowanie. Tym samym potwierdzone zostały nienaruszalne prawa dziedzictwa tronów i zachowana jedność Wielkiego Królestwa Berlanu. Będziemy czuwać, by czynem potwierdzili zadeklarowaną dziś dla chwały korony ojców wolę.

I znów jęk fanfar i wrzawa setek gardeł. Tłum wiwatował jakby to, co mówił władca, było potwierdzeniem faktycznego stanu, a nie czczym frazesem. Dziedzinec zappełnił się służbą, nadszedł czas dla pierwszych wojowników Loinu. Do Itiego zbliżył się dworak w królewskich barwach.

– Panie – zwrócił się do niego, skłaniając głowę – Porra, byś przygotował się do walki. Twój giermek czeka w stajniach. Pozwól, zaprowadzę cię.

Vortar był zajęty siodłaniem kiseta. Opodal leżała przygotowana do walki reszta oporządzenia. Podczas przywdziewania zbroi Iti czuł na sobie jego uważne spojrzenie. Wiedział, że Vortar nie odgadnie jego uczuć. Potrafił zachować spokój, żaden grymas nie zdradzał, co naprawdę dzieje się w jego duszy.

Wolno wyjechał z półmroku stajni na zalany ostrym słońcem dziedziniec. Poprawił osłaniający głowę kaptur. Pod nim miał tylko płytki szyszak, spod którego wymykały się zdradliwe czarne pukle. Dojrzał wyłaniającego się z podcieni Jastihoreno. Księżę odziany był w czarną, matową zbroję, jego irmana okrywał takież czaprak ozdobiony srebrnymi podkowami z symbolem Jasti w środku – herbem złotej dynastii Lornin. Rycerze zbliżyli się do siebie i oddawszy honory mieczami, skierowali się w stronę królewskiej loży.

Władca pochylił się ku stojącym wojownikom:

– Rozpocznijcie bój o najwyższy laur Berlanu i całego Loinu – powiedział. – Niech zwycięzcę opromieni nieśmiertelna sława, a pokonanego nie okryje zapomnienie, bowiem potomni winni pamiętać, iż zginął rycerz, który uległ tylko najlepszemu.

W ryku trąb i grzmocie kotłów rywale jeszcze raz zmierzyli się wzrokiem i odstepili na odległość trzydziestu kroków. Patrzyli na siebie ukryci za prostokątami pawęży, każdy godził grotem kopii w pierś konkurenta. Jeszcze tylko na króciutkie mgnienie przemknęło wspomnienie przyjaźni przypieczętowanej tirakią podczas wielkiej uczty w pałacu i zgasło zagłuszone szczękiem blach, gdy ruszyli ku sobie.

Poleciały drzazgi z kruszonych włóczni, jeźdźcy przemknęli z łopotem opończ. Już zawracali, dobywając mieczów, by zewrzeć się w śmiertelnym starciu. Widzowie wstrzymali oddechy. Rozgorzał bezwzględny, zacięty bój. Widać było, że spotkali się dwaj równi sobie wojownicy, którzy kunszt władania bronią opanowali po mistrzowsku. Klingi krzyżowały się raz po raz, nad głowami rycerzy błyskawicznie zadawane i parowane cięcia i sztychy tworzyły jakby migotliwą aureolę. Walczyły również zwierzęta. Przewagę kiseta nad irmanem potrafił książę Jastihoreno zniwelować umiejętnym manewrowaniem wodzami, tak że atakujący kłami i pazurami rumak Itiego za każdym razem trafiał na potężną zasłonę – wymierzony łeb z wielkimi, ostrymi rogami. Wierzchowce tańczyły wkoło, wzbijając tumany kurzu, które powoli przysłaniały walczących rudą mgiełką. Błyskały uderzające z ogromną siłą miecze, słychać było chrapanie zwierząt i brzęk zbroi. W końcu kurzawa całkowicie przysłoniła widok i tylko świecąca rdzawo głowa księcia jaśniała w burym obłoku.

Nagle obserwującym zmagania wydało się, że książę się rozdwoił. Wśród kłębowiska pyłu rozbłysło drugie znamię wybrańca Jasti. W pełnej zdumienia ciszy rywale odskoczyli od siebie zaskoczeni nie mniej niż widzowie.

Stało się coś, czego nikt nie mógł przewidzieć, a czego skutek wkrótce miał wstrząsnąć krajami Loinu. Bowiem czy to powiew wiatru, czy gwałtowniejszy ruch głowy spowodował, że w pewnej chwili zsunął się z głowy rycerza z Iserii brunatny kaptur i rozszłociła się ciemna grzywa młodzieńca.

Tłum oniemiał. Pośrodku dziedzińca, nagle samotny samotnością napiętnowanych, stał nieznany dotąd złoty książę, bohater – w co nikt nie wątpił – krążących pieśni i bajań, legenda niespodziewanie obleczone w żywą postać vala.

Najszybciej odzyskał przytomność umysłu władca Berlanu. Jeszcze widzowie nie otrząsnęli się z wrażenia, gdy Itiego otoczyły straże.

*

Aresztowanie Itiego było dla Vortara szokiem. Zawaliły się wszystkie plany. Wprawdzie brał pod uwagę śmierć Isera w pojedynku i na taką ewentualność był przygotowany, ale sytuacja zmieniła się w sposób tak nieoczekiwany, że nie potrafił wymyślić nic sensownego. Nie mógł przecież zostawić wszystkiego ot tak i wyjechać, jakby nic się nie stało. Więzy łączące go z Iserem zerwie jedynie śmierć rycerza. A Iti przecież żył. Jego los zależał miał od Hoevog, Wysokiej Rady. Tylko synowie Jasti lub Rotha mieli prawo ferowania wyroków w kwestiach dotyczących jednego z nich. Wyjątkiem były dni przełomu – przez bogów dany zwykłym śmiertelnikom czas oceny władców. Poza tym książęta byli nietykalni.

Vortar nie miał wątpliwości, jaki wyrok zapadnie: napiętnowany zbrodnią zakazanego poczęcia Iti musi

umrzeć. Niewielkim pocieszeniem był fakt, że wiele dni miało jeszcze upłynąć do czasu egzekucji. Zwołanie Wysokiej Rady nie było przedsięwzięciem łatwym, tym bardziej że ostatnie zgromadzenie odbyło się dziesięć ella-rów temu, po zakończeniu wojny z eneikami. Od tego czasu rozeszły się ścieżki valijskich plemion, a po dawnej jedności zostały wspomnienia.

Chodził więc Vortar z kąta w kąt, nie mogąc sobie znaleźć miejsca w izbie. Myśli kotłowały się w pękającej od ich nawału głowie. W rozpaczę gotów był zwalić winę za własną bezsilność na każdego, kto dałby najmniej-szy ku temu pretekst. W taki sposób uczepił się To-sara, klnąc w żywy kamień jego nieobecność, choć niczemu niewinny eneika, zniknąwszy gdzieś bez śladu, może nawet nie wiedział o nieszczęściu. Co prawda całe miasto huczało od mniej lub bardziej fantastycznych plotek na temat niespodziewanego finału turnieju, lecz znając obo-jętność Irgi na niezrozumiałe dla niego problemy valów, Vortar nawet się nie łudził, że plotki te zwrócą jego uwagę. Tym bardziej że nie zdradził mu tajemnicy Isera, a Iti również nie był skłonny zwierzać się eneice. Nie, z tej strony nie mógł liczyć na pomoc ani radę.

Z bólem głowy ułożył się do snu, odkładając problem. Zgasił kaganek i leżał w ciemnościach wsłuchany w dobiegający z karczmy gwar. Przed oczami miał obraz roz-złoconej czupryny Itiego, otoczonej włóczyniami królew-skiej gwardii, znikającej w ciemnej bramie wartowni. Usypiał już, gdy nagle otrzeźwiło go pukanie. Przez chwilę leżał, zastanawiając się, czy nie udać, że śpi, w końcu jednak zwlókł się z posłania i poczłapał do wej-ścia. Nauczony nie ufać niezapowiedzianym gościom, ostrożnie uchylił drzwi. Zrazu nie poznał ciemnej syl-

wetki, ledwie widocznej w mroku korytarza, a raczej nie dotarło do jego świadomości, kim jest nocny gość.

Na progu stał księżę Jastihoreno.

*

Szary, pokryty plamami pleśni strop celi znajdował się tuż nad nim, w zasięgu ręki. Pomieszczenie było tak niskie, że jedynie w pozycji leżącej można było wyprostować zdrętwiałe członki. Toteż przeważnie leżał, mimo że od wilgotnego klepiska ciągnęło chłodem, którego nie łagodziła skąpa wiązka nadgniłej słomy.

Przeszedł go dreszcz, otulił się więc ciaśniej opończą, szukając resztek ciepła w nasiąkniętych wilgocią połach. Nie chciał myśleć o przyszłości, lecz myśli z uporem wracały. Nie bał się śmierci, była jeszcze tak odległa, że aż nierealna. Czuł złość, że nie potrafił wypełnić posłannictwa, w które zdążył uwierzyć. Taki głupi przypadek, zwyczajny pech, pokrzyżował mu szyki. A wszystko przez szczeniacką fantazję, chęć wypróbowania swych sił w śmiertelnej walce. Gdyby miał odrobinę rozsądku, teraz podążałby spokojnie przez stopy Agrenii ku wybrzeżom Oceanu Ciszy. W decydującym momencie zabrakło mu rozważli. Nigdy się już nie dowie, co mówią Tablice o nieprawym księciu, za to dowiedział się właśnie, który z iserskich synów Jasti dożyje Trill.

Podniósł się z ziemi i przysunął bliżej klapy. Zbliżała się pora wieczornego posiłku i pewnie za chwilę strażnik zrzuci mu jego rację placków i opuści dzban wody. Wolał te placki łapać, gdyż klepisko w okolicach włazu było nasiąknięte wodą i zmienione w rozdeptane bagno. Nad głową rozległy się kroki. Szczęknął zamek i kłapa unio-

sła się ze zgrzytem. W otworze ukazała się zakapturzona, szara postać. Wiedziony instynktem przetoczył się pod ścianę. Zobaczył wbłą po lotki w miejsce, gdzie przed chwilą leżał, drżącą jeszcze pierzastą strzałę.

Zabójca zeskoczył na dół. Kuszę miał znów napiętą i Iti ujrzał śmiercionośny grot, wodzący za nim, gdy usiłował rozpaczliwie umknąć spod jego ostrza. Po raz drugi jęknęła cięciwa. Runął w przeciwny róg, czując palące smagnięcie wzdłuż pleców. Napastnik odrzucił kuszę i dobył miecza.

Jakiś cień zeskoczył z otwartego wjazdu. Zapędzony do kąta, obezwładniony przeszywającym bólem Iti szykował się na śmierć, gdy nagle zobaczył, jak zabójca wali się na ziemię. Z jego karku sterczała znajoma, charakterystyczna rękojeść.

To-sar podszedł do konającego. Flegmatycznie wyjął nóż z rany i długim pociągnięciem poderżnął mu gardło.

– Nieudacznik – pogardliwie kopnął leżące nieruchome ciało. – Gdybym ja był na jego miejscu, dawno byś nie żył.

– To-sar! Skąd się tu wziąłeś? Kto to jest? – Iti jeszcze nie mógł ochłonąć.

– Chodźmy stąd – Irga jakby nie usłyszał zadanych pytań. – Lada chwila mogą przybyć strażnicy.

Ruszyli do wyjścia. Iti, zaciskając zęby z bólu, podsadził To-sara do klapy. Mały eneika nie musiał schylać się w celi, ale i sam wyjść z niej nie potrafił. Biegnąc korytarzem, natrafili na zwłoki strażnika. Nieco dalej leżało jeszcze dwóch z ranami od strzał i noża.

– Dość skutecznie oczyścił nam drogę – sapnął eneika, przeskakując przez okrwawione zwłoki.

– To-sar, kto to był?

– Nie teraz. Musimy jak najszybciej opuścić to miejsce, inaczej wszystko na nic.

– Zawdzięczam ci wolność. Dziękuję!

– Zamilcz wreszcie! Za chwilę będzie tu straż. Ci dwaj roznosili jedzenie więźniom. Jak myślisz, kiedy ich nieobecność kogoś zaniepokoi?

Pospieszyli przez więzienne korytarze ku wyjściu. Wąskie drzwi wyprowadziły ich na mury. W miejscu gdzie blanki podzamcza stykały się z górującym nad nimi bastionem królewskiej twierdzy, Iti zobaczył opuszczoną linkę. To-sar, kiwnąwszy, by szedł w jego ślady, pierwszy chwycił ją w dłonie i po chwili zniknął pod zrębem muru.

*

– Pamiętaj – udzielał ostatnich wskazówek Jastihoreno – Będiesz czekał z wierzchowcami, aż przyprowadzę Itijastiego. Postaraj się, by nikt cię nie widział.

– Rzeczywiście myślisz, że cię tam wpuszczą, książę?

– Vortar ciągle nie mógł pozbyć się wątpliwości.

– Jestem synem Jasti i królewskim gościem. Najpierw mnie przepuszczą, a dopiero potem będą sprawdzać. Pewnie zorientują się, zanim zdołamy opuścić twierdzę, lecz we dwóch musimy się przebić!

Vortar popatrzył w milczeniu na ciemną sylwetkę jadącego obok towarzysza i zapytał po chwili:

– Wybacz niedyskrecję, książę, lecz dotąd nie wiem... Powiedz mi, dlaczego to robisz?

Jastihoreno długo się nie odzywał. Gdy Vortar zwątpił już, że usłyszy odpowiedź, odrzekł cicho:

– Trudno to wytłumaczyć. Czuję się jakoś z nim związany, choć to przecież infamis. Może dlatego, że nasza sytuacja jest podobna: obu nam nie pozwolono zająć należnego miejsca. Ale nie tylko to... On ma w sobie coś, jakiś charyzmat, który mnie pociąga. Ciężko mi było stanąć przeciw niemu, tym bardziej że przepiliśmy na przyjaźń. Nie sądziłem, że będzie mi dane tę przyjaźń udowodnić. Teraz mam okazję. Ty przecież również narażasz się dla niego?

– Ja to co innego... Ale do dzieła, noc skończy się wkrótce.

Rozdzielili się. Vortar, prowadząc osiodłanego kisetę z nałożonym na wszelki wypadek kagańcem, skrył się w cieniu kępy przydrożnych krzewów i patrzył, jak książę samotnie podąża w stronę bramy zamczyska, by po chwili zniknąć w jej głębi. Znów ogarnęła go rozterka. Plan Jastihoreno był szalony. Wyprowadzić Itiego z pałacu mimo straży wydało mu się niepodobieństwem. Wszystkie spekulacje książę oparł na zaufaniu w swą pozycję na dworze, gdzie nikt nie mógł podejrzewać go o zdradę. A jeżeli się nie uda...?

Pograżył się w ponurych myślach, zapominając o upływającym czasie. Nagle zelektryzował go jakiś hałas. Zza murów dobiegł gwar zmieszanych głosów, zamek rozjarzył się światłami pochodni. Czyżby wszystko się wydało? Teraz należało prosić Mau, by obu straceńcom udało się ucieczka.

Z bramy wypadł samotny jeździec. Samotny! Na grzbiecie irmana poza znajomą sylwetką księcia nie było nikogo. Vortar zaklął i spał wierzchowca do galopu. Wyskoczył naprzeciw pędzącej postaci.

– Zawracaj! – Jastihoreno minął go w szalonym pędzie, kierując się w stronę miasta.

Przemknęli przez puste uliczki. Dopiero gdy ogarnął ich step, zatrzymali rozchukane wierzchowce.

– Co się stało? – wydyszał Vortar, zsuwając się z siodła na ziemię.

– Iti... uciekł! – Księżę ciężko usiadł obok niego.

– Co?!

– Byłem już w więzieniu, gdy ktoś wszczął alarm. Zanim zorientowali się, że jestem intruzem, zdołałem się czegoś dowiedzieć. Znaleźli trzy trupy strażników i ciało jakiegoś tajemniczego zbira w celi Itijastiego. Jego samego ani śladu! Potem ktoś powziął podejrzenie, że mam z tym coś wspólnego. Chcieli mnie aresztować, zabiłem więc paru i udało mi się uciec. To wszystko.

– Po coś to zrobił? Przecież nic nie mogli ci udowodnić?

– Ciekawe, jak ty byś się zachował na moim miejscu? Akurat miałem czas na zastanawianie się nad swymi czynami! Nie jestem z żelaza, nerwy nie wytrzymały...

Vortar spojrzał na niego i pomyślał, że to książątko jest rzeczywiście jeszcze bardzo młode.

– No cóż, nie ma rady – powiedział. – Do Kvit wrócić nie możemy, musimy stąd zniknąć. Ciekawe, jak się to udało Itiemu? I gdzie go teraz szukać.

– Zastanówmy się, co byśmy zrobili na jego miejscu. Teraz we wszystkich krajach podniesie się wrzawa. Jedynym wyjściem dla niego jest przeprawa przez pustynię. Powinien schronić się w górach i przeczekać kilka seves.

– Przecież nikt ze śmiertelnych nie zdołał przebyć Gór Smoczych!

– Nie musi iść daleko w góry, wystarczy, że przycupnie gdzieś na ich skraju. A Góry Smocze są do przebycia. Eneikowie kiedyś je przeszli...

– Podobno pod nimi ciągnie się labirynt jaskiń. Tamtędy eneikowie opuścili Przedgórze. Dziś te jaskinie zamieszkują xinxys i dlatego są niedostępne.

– Będziemy więc szukać Itiego w tamtych stronach. My też nie możemy tu zostać. Ja spaliłem za sobą mosty, ty zaś, jako były towarzysz uciekiniera, będziesz pierwszym podejrzanym o udzielenie mu pomocy. Doczekamy tu świtu, a potem ruszymy gościńcem w stronę pustyni. Jest bardzo prawdopodobne, że uda nam się dogonić Itiego, zanim opuści Berlan. Chyba że zdobędzie wierzchowca.

Zeszli z traktu w step i rozsiodłali zwierzęta. Zostało już niewiele czasu na sen.

*

Gościniec został dawno w tyle, przed nimi rozciągała się skalista pustynia Obe. Jechali paleni ostrym słońcem, z gardłami wysuszonymi na popiół, a ich krokami kierowała nadzieja. Poprzedniego dnia natrafili bowiem na ślady samotnego irmana, wiodące wprost w rozżarzony piec, jakim w tym okresie stawała się Obe. Żaden wal nie odważyłby się zapuszczać w te strony samotnie.

Obrzeża pustyni, królestwo dzikich hangów, nie były stosownym miejscem do odbywania wycieczek. Jedynymi rozsądnymi istotami, jakie można było tu spotkać, to wyjęci spod prawa banicy i drobne bandy rzezimieszków, którym grunt zaczął palić się pod nogami w bardziej cywilizowanych stronach.

Ślady wiodły na północ, kierując się ku zamglonym szczytom. W południe trafili na miejsce obozowiska. Tu czekała ich niespodzianka.

– Książę! – schylony Vortar uważnie oglądał coś na piasku.

– Co znalazłeś? – Jastihoreno podszedł bliżej.

– Spójrz na to – Sorv wskazał odcisnięty ślad. – Czy wiesz, co to jest?

– Wygląda na... stopę dziecka! – zdziwiony lorniczyk przyjrzał się uważniej wskazanemu miejscu. – Bosesego dziecka...

– To nie dziecko, książę, to eneika! A to – wyciągnął zza pazuchy zakrwawiony zwój – znalazłem w tamtym rumowisku.

– Val i eneika, w dodatku jeden z nich ranny... – Jastihoreno zamyślił się. – Czy coś z tego można wywnioskować?

– Znam tylko jednego eneikę, który podróżowałby wspólnie z valem i tylko jednego vala, który zapuściłby się w te strony razem z eneiką!

– Nie rozumiem... – Jastihoreno spojrzał pytająco na swego towarzysza.

– Kiedyś w Gerab Iti uratował życie takiemu jednemu karzełkowi. To-sar się nazywał. Przyjechaliśmy razem do Kvit, potem gdzieś nam zniknął. Myśleliśmy, że odłączył się na dobre. Teraz widzę, że widocznie Iti go odszukał. Ten mały czuje się zobowiązany wobec Isera i pewnie mu pomaga.

– To chwalebne z jego strony, lecz cóż takie stworzenie może zdziałać?

– To niezwykle eneika. On jest Zabójcą Smoków! Pokazywał nam trofeum, które podobno zdobył na zabitym xinksie. Taki kawał nadgniłej skóry, pokrytej łuskami.

– Ucho... Więc to prawda, że ci Zabójcy potrafią zwy-
cieżać smoki... Myślałem dotąd, że to tylko banda strac-
ceńców, budująca o sobie mit.

– Nie wiem, jak jest w rzeczywistości, lecz To-sar po-
kazał już raz, co potrafi. Na postoju napadła nas zgraja
zbójców. Przegnaliśmy ich, ale ukradli nam cały doby-
tek. Wyobraź sobie, książę, że to chuchro poszło samo-
pas za nimi i nie dość, że odbiło nasze bagaże, to jeszcze
przytargało ze sobą urznięte głowy zbirów! A nosi jedy-
nie taki dziwny krzywy nóż.

– O tych nożach też coś niecoś słyszałem. Jeśli jest
tak, jak mówisz, musimy się pośpieszyć. Nie wyprzedza-
ją nas zbyt wiele, dobrze byłoby dogonić ich przed gó-
rami, bo potem ślad się urwie.

Jastihoreno wskoczył na irmana. Vortar poszedł w je-
go ślady, przywiązując wodze kiseta Itiego do swego
siodła. Popędzili wierzchowce i wkrótce skrył ich tuman
kurzu.

*

Od dłuższego czasu wiedzieli o pościgu. To-sar paro-
krotnie wypatrzył na horyzoncie krążące wolno pustynne
ptaki – znak, że ktoś podąża ich śladem. Skały, które
napotkali, idealnie nadawały się do ich celów. Postano-
wili bowiem przepuścić pogoń i, jeżeli nie będzie zbyt
liczna, spróbować się z nią rozprawić. Jeśliby prześla-
dowców było wielu, mieli zamiar pozwolić im przeje-

chać, a następnie zmienić trasę ucieczki. Leżeli więc ukryci po obu stronach wąwozu, czekając na ścigających.

Nie minęło wiele czasu, gdy w pobliżu rozległ się stukot kopyt irmanów. Iti usłyszał sygnał To-sara. Zdumiał się, że grupa, która ciągnie za nimi, jest aż tak nieliczna. Wkrótce ich zobaczył: dwaj jeźdźcy, wiodący za sobą kiset. Podniósł kuszę. Strzała była szybsza niż myśl, irman pierwszego jeźdźcy zarył nosem w piach, gdy do świadomości strzelca dotarło, że przecież zna te sylwetki. I ten kiset... Wyskoczył z ukrycia. Napadnięci przyjęli postawę bojową. Iser zobaczył wyłaniającego się zza skały eneikę. Z jego zachowania wywnioskował, że on również rozpoznał prześladowców.

– Czyżby Vortar miał zamiar walczyć z przyjacielem?
– krzyknął wesoło.

– Iti! – zabijaka ruszył ku niemu z rozłożonymi ramionami. Zwarli się w serdecznym uścisku.

– Uff! – sapnął po chwili Vortar, uwalniając się z objęć. – Gonimy was od samego Kvit, a niewiele brakowało, byśmy pozabijali się nawzajem.

– Skąd się tu wzięłeś, wierny druhu? W dodatku w towarzystwie szlachetnie urodzonego Jastihoreno. – Iti spojrzał w stronę stojącego na uboczu księcia.

– To długa historia... Dość, że gdybyś nie oswobodził się sam, miałbyś wobec księcia dług wdzięczności. Naraził swą pozycję, nawet życie, by cię uwolnić. Niestety, uprzedziłeś nas.

– Zawdzięczam wolność To-sarowi. W ostatniej chwili wyciągnął mnie z lochu, gdy wisiała już nade mną broń skrytobójcy. Ale i wam jestem winien dozgonną wdzięczność. Bardzo to piękne, gdy można liczyć na przyjaźń tylu mężów. Musicie mi wszystko dokładnie

opowiedzieć przy najbliższej okazji. Teraz czas w drogę, bo przed nami pustynia.

Nie ruszyli jednak od razu. Irman księcia Jastihoreno dogorywał trafiony strzałą, trzeba więc było go dobić, a juczne sakwy przełożyć na wierzchowca Isera. Iti z radością objął kiseta, który pełnymi zadowolenia gardłowymi pomrukami witał swego pana.

W końcu mała karawana zagłębiła się w morze piasku. Wędrowców czekało kilka dni ciężkiej wędrówki przez płaską, rozpaloną równinę, zanim otoczą ich posępne gołoborza Gór Smocznych. Jedynymi ich towarzyszami miały być odtąd padlinożerne ptaki, kołujące nieustannie na rozgrzanym do białości niebie, i pojawiający się z rzadka dzicy krewniacy hangów, również czyhający na łatwy, bo padły łup.

Pustynia Obe nie należała do największych i najgroźniejszych pustkowi Loinu. Była progiem oddzielającym żyzne ziemie Przedgórza od strasznych okolic, które ciągnęły się przez środkową i północną część kontynentu. Wędrowiec, jeśli zdołał dotrzeć w te strony, miał przed sobą niebotyczne szczyty i bezdenne przepaście Smocznych Gór, których dotąd nie przebył żaden val. Lecz nie tylko skały strzegły przejścia przez masyw, groźniejsi niż one byli mieszkańcy gór – xinxy. Opowiadano przerażające historie o tych sługach boga Moiru, który rządził ciemną stroną ikuas-duszy. Widywali je śmiałkowie próbujący zmierzyć się z górami. Niewielu z nich zdołało ocalić skórę, ratując się ucieczką.

Gdyby zaś podróżnikowi udało się dokonać tego, czego nie dokonał nikt przed nim – przebyć Góry Smocze – a trwałyby w postanowieniu zajrzenia z bliska w twarz Moiru, czekała nań Pustynia Śmierci – olbrzymie pust-

knowie, palone oprócz słońca żarem wnętrza Tui. Tu znajdowała się brama królestwa Zranna. Tu, jak powiadano, rodziły się ogniste meduzy. Nikt nie wiedział, czym były. W czasach gdy granicę księstwa Iserii stanowiły bagna delty Urtu, ich złowieszczy płomienny krąg docierał niekiedy na zachodni skraj pustyni. Obserwowali go wówczas żołnierze z załogi twierdzy Cobi. Przychodziły, kiedy jakiś zabłąkany patrol nierozważnie zapuścił się w głąb pustkowia. Nie wracał wtedy nikt. Gdyby więc ciekawski wędrowiec dotarł aż tu, byłby to prawdopodobnie kres jego drogi.

Wiele jeszcze niebezpiecznych obszarów mieścił w sobie Loin, a wszystkie oddzielał od łagodnego Przedgórza bastion smoczych szczytów. A więc: zimna pustynia Naim u podnóża śnieżnych Gallarów, Wielkie Bagna – siedziba nieczystych ikuas, wreszcie ciągnący się za nimi Martwy Las – ostatnia znana valom strona żywego świata. Co było za nim, nie wiedział nikt i nawet baśnie pomijały te rejony, jakby świat kończył się w nieprzebytej gęstwinie umarłych drzew.

Pustynia Obe, choć groźna, była mimo swej surowości tylko pustynią, nic nadprzyrodzonego ani tajemniczego nie czyhało na śmiałków przemierzających jej piaski. Tylko wytrwałość i odwaga były konieczne, aby się z nią zmierzyć. Czasami przyczyną podjęcia decyzji o wyprawie była desperacja. Ścigani przez prawo straceńcy przebiegali pustkowiem, walcząc o życie, ich jedyna szansa czekała na północnym krańcu Obe. Tam, u podnóża gór, ciągnął się wąski pas ziemi, jeszcze nie górskiej, a już nie pustynnej, enklawa wszelkiej maści banitów. Ku tym stronom zmierzali jeźdźcy. Nie zamierzali osiąść tam na stałe. Na dobrą sprawę nie wiedzieli, dokąd udadzą się,

gdy już Obe zostanie za nimi. Tak jakby przebycie pustyni miało ostatecznie rozwikłać wszelkie trapiące ich problemy.

Wieczorami na popasach Iti często rozmawiał z Tosarem. Niewiele dochodziło do uszu pozostałych, bowiem naradzali się na uboczu, zaś z pojedynczych głośniejszych słów nic konkretnego wywnioskować nie było można. Vortar czuł się nawet lekko urażony, że Itijasti nie dopuszcza go do swoich tajemnic. Co zaś myślał Jastihoreno, wiedział tylko on sam. Księżę był zbyt dumny, by ulec tak przyziemnym uczuciom, jak ciekawość. Wieczory zwykle spędzał, siedząc milcząco przy ognisku wpatrzony w roztańczone płomienie.

Miał nad czym rozmyślać. W ciągu jednej szalonej nocy powodowany impulsem stracił wszystko. W kilka chwil ze sławnego księcia bez ziemi stał się banitą, pariasem ściganym przez prawo wszystkich krain z rodzinnym Lornin na czele. Czy zamiana wygodnego życia w cieniu panującego brata na co najmniej niepewne towarzystwo pozbawionego praw słonecznego bękarta w imię jednolitej przyjaźni mogła być podstawą do snucia optymistycznych prognoz na przyszłość? Vortar w głębi ducha współczuł księciu. On sam stawiając na Itiego nie tracił zbyt wiele. Katowski obuch czekał na niego przy każdej z dróg. Ale Jastihoreno? Nawet najsilniejsza żądza przygód nie mogła być usprawiedliwieniem tak ryzykownego kroku. Domyślał się, jaka walka toczy się w sercu księcia. Gdy cichły rozmowy, a blask ognia przygasał, widział jego zamyśloną twarz.

Po siedmiu dniach na przemian: to mozolnego brodzenia w sypkich diunach, to parzenia stóp na rozżarzonych skalnych odłamkach, które paliły żywym ogniem

przez skórzane ciżmy i zmuszały kiseta do nerwowego tańca, ujrzeni pierwsze kępki trawy. Początkowo blado-żółte nabierały stopniowo coraz żywszych kolorów, zwiastując kres pustyni. Potężne szczyty zamknęły horyzont. Wydawały się bliskie, oddalone o kilka zaledwie kroków, choć w rzeczywistości, by znaleźć się u podnóża gór, czekał ich jeszcze dzień wytężonej jazdy.

Zatrzymali się na noc nad brzegiem cienkiej strużki, okolonej rzędami wiotkich krzewów. To-sar jak zwykle pierwszy zsunął się z irmana. Skrzywiony boleśnie rozcierał obite pośladki i uda. By nie opóźnić tempa ucieczki z niechęcią zgodził się podróżować na grzbiecie wierzchowca, choć za każdym razem, gdy przyszło go dosiąść, wykazywał wiele samozaparcia. Vortar i Jastihoreno również zeskoczyli na ziemię, puszczając spragnione zwierzęta do wody. Jedynie Iti siedział jeszcze na grzbiecie kiseta, jakby nie miał zamiaru przerywać wędrówki. Po dłuższej chwili zaintrygowany Vortar spojrzał na Isera.

– Nie masz zamiaru zsiąść? – spytał zdziwiony.

Iti miał poważną minę i wydawało się, że nie dosłyszał pytania. Jego zachowanie zwróciło w końcu uwagę pozostałych. Przerwali rozbijanie obozu i zwrócili się ku niemu.

– Mili przyjaciele – zaczął Iti uroczyście – przebyliśmy razem pustynię i dotarliśmy w okolice, gdzie można bezpiecznie przeczekać wywołane przeze mnie zamieszanie. Wiele wam zawdzięczam, dlatego nie mam prawa dłużej żądać od was wystawiania skóry na szwank dla dotyczących tylko mnie przedsięwzięć. Tym, którzy zechcą teraz pokierować swoim życiem, dziękuję za to, co uczynili, i ręczę, że zawsze mogą na mnie liczyć. Nie

chcę nikogo wiązać ze sobą, ponieważ muszę doprowadzić mą misję do końca, a szansa jej realizacji jest mniej niż nikła. Rozstańmy się w przyjaźni, którą jeśli wypełni się me przeznaczenie, być może potrafię kiedyś choć w części wynagrodzić.

Zapadła cisza. Nikt nie spodziewał się takiej przemowy, chociaż wędrowcy zdawali sobie sprawę, że coś podobnego musi się wydarzyć, gdy miną piaski Obe. Pierwszy odezwał się Jastihoreno:

– Zanim ci odpowiem, a odpowiedź już znam, chciałbym wiedzieć, jakie masz plany?

Iti uśmiechnął się do niego. On także znał odpowiedź.

– To-sar przeprowadzi mnie przez góry – powiedział po prostu, jakby tej decyzji nie poprzedziło wiele dni rozmyślań. – Chcę ominąć wszystkie granice i przedostać się do Agrenii, a potem na Pitie.

– To niepodobieństwo! – wykrzyknął Vortar. – Droga przez góry to pewna śmierć!

– Powiedziałem przecież, że każdy może wybrać swoją drogę.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Mam odejść po tym wszystkim, co przeszliśmy razem? I to ja, kiedy taki chuchrak To-sar ma być twoim przewodnikiem, a to smarkate książątko, co ni z tego, ni z owego poczuło wielki do ciebie zapał, twym jedynym wsparciem? Że też mnie pokarało taką przyjaźnią! Wielka Mau widzi, jaka krzywda mnie tu spotyka! Czy po to gnałem za tobą jak potępieniec, a potem smażyłem się w tym piekle, żeby usłyszeć teraz: "Możesz odejść, będziemy cię czule wspominać?!"

Vortar wyrzeszczał tę tyradę jednym tchem, po czym zamilkł i tylko złowrogo łapał w stronę roześmiał-

nego Isera. Iti śmiał się długo rozbawiony złością wypływającą wprost z duszy starego. Potem poważnie spojrział na lorniczyka.

– Twojej odpowiedzi domyślam się, chciałbym jednak ją usłyszeć.

– Nie darowałbym sobie do końca życia, że zatrzymałem się w pół drogi. Za mną nie ma już nic, przede mną nieznane. Wolę, by to nieznane przyniosło emocje, a nie nudę.

– Dziękuję wam obu. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale z pewnością niebezpieczeństw nie zabraknie.

– W jaki sposób chcesz przebyć góry? – zapytał Jastihoreno.

– To-sar zdradził mi, że w górach istnieje podziemny system jaskiń. Tak niegdyś przebyli je eneikowie i do dziś nieliczni z nich znają te przejścia. Ale nawet oni nie zapuszczają się w podziemia, ponieważ jaskinie zostały zajęte przez xiny. Jedynie Zabójcy w poszukiwaniu smoków przebiegają opuszczone korytarze.

– I To-sar je przeszedł?

– Tak. Tam zabił xinxą.

– Chciałbym to zobaczyć – westchnął Jastihoreno. – To musi być pasjonujące widowisko! Możesz sobie wyobrazić tego malca naprzeciw potwora?

– Nie kpij, książę. On tego dokonał.

– Będę prosić Mau, by nam także się poszczęściło. Jeżeli eneika potrafi walczyć z xinxem, potrafi to również val z odrobiną śmiałości w sercu. Czuję ją w sobie i pąłam chęcią pójścia w ślady Zabójców!

– Może będziesz miał okazję – To-sar wyłonił się z krzaków. Zajęci rozmową valowie prawie zapomnieli o

jego istnieniu. – Obyś nie pożałował słów, które przed chwilą wypowiedziałeś.

– Niełatwo napędzić mi strachu, eneiko.

– Xinx to potrafi.

*

Ciemność była niemal dotykalna. I nic, że smolne szczapy słały wokół ciepłe światło, a chwiejne cienie migotały na pokrytych rosą skałach. Ciemność czaiła się, wciskała w każde przygaśnięcie pochodni. Szli wolno jeden za drugim prowadzeni przez To-sara. Czuli się nie-swojo. To nie był znany świat dnia i nocy, gwiazd, Rotha i Jasti. To był świat obcy i wrogi. A oni naruszyli jego spokój.

Nie byli sami. Jakieś stworzenia smykały im spod nóg i znikwały w ciemnościach, nim zdolali je dostrzec. Mrok wokół nich kłębił się cieniami. Mieszkańców podziemi zwabiło światło, tak niesłychanie rzadko goszczące w królestwie nocy. Towarzyszył wędrowcom wszechobecny strach. Fale lęku opływały ich zewsząd, wnikając w jaźń i paraliżując zmysły. Gdyby nie obecność To-sara dawno uciekliby z tego miejsca gnani niezrozumiałą paniką. Eneika był jednak flegmatycznie spokojny, jakby droga wiodła pełnym słońca traktem, a nie trzewiami Smoczyc Gór. Pewnie prowadził orszak przez labirynt korytarzy, nie wahając się nawet tam, gdzie szlak rozgałęział się na kilka identycznych odnóg. Widać było, że zna podziemia, jakby je penetrował od dzieciństwa. Jego spokój udzielał się zwierzętom, początkowo wystraszonemu nie mniej niż ich panowie. Teraz szły ufnie za enei-

ką, płosząc się tylko, gdy jakiś spóźniony mieszkaniec jaskiń pryskał im spod nóg.

Korytarz łagodnie schodził w dół. Coraz namacalniej czuło się ogrom wiszących nad głowami skał, świadomość ich potęgi przytłaczała. Doświadczali uczucia kurczenia się przestrzeni, jakby świat poza górami ustępował miejsca pęczniącym kamiennym gigantom.

Nagle wędrowcom wydało się, że w głębi ginącego w ciemnościach tunelu widzą światło. Nikły pobłask migotał w oddali, jak gdyby ściany przed nimi obsiadły roje błyszczących robaczków. To-sar zatrzymał się. W jego ruchach pojawiło się napięcie.

– Co to jest? – Iti zbliżył się do przewodnika.

– Wkraczamy w granice obszaru smoków. To światło jest śladem xinxu. Świeżym śladem.

Ruszyli w głąb korytarza. Po chwili dotarli do źródła owego dziwnego blasku. Na skale widniały świecące samoistnie smugi, rozmazane krople fosforyzującego śluzu. Coraz widniej było dokoła, coraz silniej świeciły ściany, o które otarło się tajemnicze coś, co przeszło tędy przed nimi. Naraz korytarz rozwidlił się. Jedna z odnóg jaśniała niesamowitym blaskiem smoczego śladu, druga była ciemna jak esencja nocy. Eneika przystanął.

– Pójdziemy tędy – wskazał na ciemny wlot. – Nadłożymy trochę drogi, lecz może unikniemy spotkania.

Posłusznie podążyli za nim, zdając się całkowicie na eneikę. Nie mieli wyboru, musieli zaufać instynktowi zżytego z podziemiami Irgi. Jaskinia wiała się zakolami, nie pozwalając na wejrzenie w głąb okrytego ciemnością szlaku. Zrobiło się duszno. Gorący pot zalewał oczy, piersiom zaczynało brakować tchu, jakby coś przed nimi pochłaniało cały zapas powietrza.

Ten zakręt był bliźniaczo podobny do dziesiątków już przebytych. Tak samo ciemny i równie szczelnie osłaniający to, co kryło się za nimi. Może gdyby zdolni byli jeszcze do logicznej analizy, zastanowiłby ich brak dotychczasowych wiernych towarzyszy – cichych mieszkańców podziemi. Ogarnięci lękiem nie zwrócili na ich nieobecność uwagi i, kiedy buchnął im w oczy ów potężny blask, stanęli jak wryci.

Przed nimi, odległa o niecałe sto kroków, wielka łuna rozświetlała pieczarę. Jej źródłem było coś, co nawet podczas koszmarnej nocy niełatwo byłoby wyśnić. Zniechęceni z przerażenia, wypuszczając z zeszywniałych rąk wodze wierzchowców. Ogarnięte paniką zwierzęta pognały w ciemność, a oni zahipnotyzowani patrzyli, jak ogromne, jaśniejące krwawo cielsko rozpoczyna powolny marsz ku nim. W tym niespiesznym, leniwym ruchu ujrzeli swą śmierć.

Przed zmartwiałą z trwogi grupkę wysunęła się drobna postać. To-sar ruszył na spotkanie potwora. W jego ręce błysnął jakiś przedmiot, rozżarzający się blaskiem równie silnym jak ten, którym emanowało sunące z naprzeciwka monstrum. Święty garnag poczuł przeciwnika, jego ostrze stało się przejrzyste, jak gdyby wykute z najczystszego kryształu, a z wnętrza wypłynęła czerwona iskra światła. Gardło eneiki rozbrzmiało śpiewem. Początkowo niski, mrukliwy, stopniowo przechodził w coraz wyższe tony, aż urwał się w chwili, gdy kudłaty Irga z wyciągniętym przed siebie nożem zginął w jaskrawym blasku stwora. Dojrzeli jeszcze, jak na moment przed zetknięciem z potężną paszczą rzucił się na ziemię, godząc trzymanym oburącz ostrzem w brzuch nadchodzącego

xinx. Smok przetoczył się po nim jak lawina i parł dalej ku oniemiałym valom.

Vortar jęknął ze zgrozy. Zalała go fala desperackiej wściekłości. Wyszarpnął topór zza pasa i ruszył naprzeciw żywej góry, która przed chwilą zmiażdżyła bohater-skiego karła. Lecz zaledwie zdążył postąpić kilka kroków, gdy smok zatrzymał się. Z jego krtani dobył się bolesny zgrzyt. Blask przygasł. Ciało xinxa przebiegł dreszcz i potwór znieruchomiał, a z pyska buchnęła struga czarnej posoki.

Patrzyli w zdumieniu na martwe cielsko, nie mogąc uwierzyć w tak cudowne ocalenie. Zobaczyli, jak bok zwierzęcia rozdyma się wypychany jakąś wewnętrzną siłą. W najwyższym punkcie wzdęcia błysnęło ostrze. Cięcie poszerzało się, bryzgając dokoła strumieniami smoczej krwi i śluzu. W otworze pojawiła się najpierw głowa, a później cała postać potwornie umazanego eneiki.

To-sar wygramolił się z brzucha xinx. Pod pachą dźwigał kawał drgającego jeszcze mięsa. Stał odwrócony twarzą do pokonanego wroga i skłaniając się głęboko, wymamrotał formułę modlitwy. Trwał tak chwilę w pełnym skupienia pokłonie, po czym zwrócił się ku valom.

– Oto widzieliście śmierć najpotężniejszego z potężnych. Niech jego dusza zasili szeregi błogosławionych opiekunów plemienia Irgów! – Pochylił się nad wielkim łbem i długim pociągnięciem noża oderznął kawał jednego z dwóch biegnących wzdłuż głowy grzebieni. – To ucho będzie świadectwem męstwa To-sara, który jako jeden z niewielu może poszczycić się dwoma takimi trofeami.

Schował nóż i podszedł do towarzyszy. Pod ich nogi rzucił wydobyty z ciała smoka, zamarły już ochłap.

– Przyjrzyjcie się z bliska temu, co do niedawna napędzało istotę zwaną xinxem.

Nieufnie pochylili się nad okrwawionym strzępem.

– Co to takiego? – zapytał w końcu Iti, prostując się i z respektem spoglądając na eneikę.

– To jego serce.

Dopiero teraz zrozumieli wyczyn To-sara. Pojęli to odprowadzanie wcześniej misterium i straszną egzekucję. Okrutną dla obu: zabójcy i ofiary. Bo granica między nimi była niewyraźna, role do ostatniej chwili nie były rozdzielone...

W świetle pochodni oglądali olbrzymi zewłok, ciemny teraz i niekształtny. Po jaśniejącej upiornym blaskiem bestii został łachman w kałuży czarnej krwi. Brodzili w lepkiej cieczy, rozpływającej się powoli na całą szerokość przejścia, z niedowierzaniem dotykali ogromnych łusek, kryjących grzbiet, i zaczynała docierać do nich groza spotkania z potworem, zdawało się niezniszczalnym, a teraz leżącym przed nimi nieruchomo niczym góra. Łuskowany pancerz wydawał się odporny na wszelkie ciosy. Dziura, przez którą wyszedł eneika, wyglądała nierealnie, bo z zewnątrz nie zdołałby jej chyba wyrąbać nawet wspomagany czarami oręż. Tak, to był jedyny sposób na xinxę: zabić go od środka. Miękki brzuch pozwalał na wdarcie się w trzewia, a potem... Dalszy ciąg już widzieli.

Należało odszukać wierzchowce. Spłoszone mogły odbiec daleko, chociaż bały się ciemności. Nie to było jednak groźne. Bez światła stanowiły łatwy łup dla mieszkańców jaskiń. Wprawdzie obecność smoka prze-

płoszyła ich z najbliższej okolicy, teraz jednak, gdy blask władcy podziemi zgasł, z pewnością nadciągali cichym tłumem żądni pośmiertnej zemsty na panu ich życia.

Pierwszy odnalazł się kiset. Na gwizd Itiego odezwał się basowy pomruk i po chwili miękki tupot łap oznajmił powrót rumaka. Zwierzę najwyraźniej wstydziło się swojej ucieczki, bo na widok Isera przypadło do ziemi i poczęło czołgać się w jego stronę, tuląc uszy i marszcząc wargi w przepraszającym uśmiechu. Wybaczący dotyk dłoni rozgrzeszył skruszone stworzenie, które rozpoczęło taniec radości wokół swego pana. Chwilę później kiset dostrzegł martwego xinxu. Zjeżył się cały i, chcąc zrehabilitować się w oczach jeźdźcy, rzucił się z rykiem na wielki łeb. Jakże zmalał ten potężny drapieżnik wobec ogromu nieruchomego ciała! Sama smocza paszcza była prawie tak duża, jak szarpiący ją teraz z dziką pasją kiset.

Odszukanie pozostałych zwierząt nie było łatwe. Vortarowego irmana znaleźli w ślepej odnodze wciśniętego w najdalszy jej kąt i drżącego jeszcze z przestachu. Z trudem dał się wyprowadzić, płoszył się na odgłos najdrobniejszego nawet szelestu. Po długim błędzeniu odnaleźli wierzchowca To-sara, a raczej to, co z niego jeszcze zostało. Rozwleczone po jaskini szczątki świadczyły, że nie tylko smoki były tu niebezpieczne. Trzeciego irmana nigdzie nie było, natknęli się tylko na zgubione przez zwierzę sakwy. Mając w pamięci poprzednie znalezisko, nie mieli już złudzeń co do jego losu. Przygnębieni stratą ruszyli w dalszą drogę. Byli bardzo zmęczeni, a i zwierzętom należał się dłuższy odpoczynek, lecz rozbijanie obozu w pobliżu smoczego truchła przekraczało odporność nawet najtwardszego z nich. Nie nalegał na to także

To-sar, choć wydawało się, że ów widok nie wstrząsnął nim tak jak walami.

Wiele dni mieli jeszcze spędzić w podziemiach. Powoli tracili poczucie upływu czasu, staczając boje z mieszkańcami wnętrza gór o chwilę nerwowego snu, głodując i marząc o kropli wody, gdy skończyły się zabrane na drogę zapasy. W końcu, gdy zapalili jedyną pozostałą pochodnię, szykując się na ostatnią, bezwzględną bitwę z demonami ciemności, których przez te wszystkie dni nie zdołali nawet dojrzeć, a które, czując zbliżający się koniec, poczęły zacieśniać wokół nich śmiertelny krąg, stwierdzili z radością, że czerń nie jest już tak głęboka jak dotąd. Coraz szerszy stawał się szarejący wyraźnie pas przed nimi, ciemność ustępowała niechętnie, a wraz z nią odchodzili w głąb jej mieszkańcy. Jeszcze tylko wspięli się na strome podejście, jeszcze przebrnęli przez ostatni podziemny strumień i ukazał się ich oczom jaśniejący światłem dnia otwór. Byli u celu.

Wychodzili oślepieni blaskiem na niewielką skalną półkę, przyklejoną do boku gigantycznej, pionowej ściany. Gdy wzrok przyzwyczaił się do blasku słońca, dostrzegli wąską ścieżkę, biegnącą ku przycupniętej u podnóża góry małej osadzie lichych chat.

– Gdzie jesteśmy? – Jastihoreno przyglądał się drzeмиącej w dole wiosce. Mimo pełni dnia nie było widać tam żadnego ruchu.

To-sar zerknął w tym kierunku.

– To osiedle Rann-do. Wkroczyliśmy na ziemie Ir-gów.

*

Asti czekał. Jego stara, pomarszczona twarz nie zdradzała żadnych uczuć, jedynie bębniące niespokojnie po poręczy fotela palce świadczyły o zdenerwowaniu. Przed chwilą zapowiedziano przybycie Esighena. Asti rozkazał, by natychmiast stawił się u niego, jednak oczekiwanie przeciągało się. To zła wróżba. Gdyby jego zaufany miał dobre wieści, już by tu był. Jakby za mało kłopotów sprawiały codzienne problemy tonącego w wojnie księstwa... Sprawa nieprawego księcia ciągnęła się już zbyt długo, zbyt długo Asti musiał dzielić uwagę między obronę wyłączności dynastii a ratowanie jej dziedzictwa. W końcu udało się przekonać władcę o konieczności walnej bitwy. Kto wie, czy nie za późno. Teraz trwały gorączkowe przygotowania. Ściągano pułki z rozproszonych garnizonów, gromadzono zapasy żywności i broni, przeprowadzano pospieszny pobór do regimentów piechoty. Chwila była po temu ostatnia. Odcięty Korm brocił się resztkami sił. Poślaniec, któremu udało się przeдрzeć przez otaczający twierdzę wrogi kordon, opowiadał straszne rzeczy o sytuacji za murami. Załogę dziesiątkował głód i choroby, nie było już wojska do prowadzenia wypadów i tylko potężne szanćów i determinacji obrońców zawdzięczała Iseria powstrzymanie nawały. Należało jak najszybciej ruszyć na odsiecz fortecy, bo jej upadek mógł ostatecznie przypieczętować los księstwa. Tymczasem, choć sytuacja była tragiczna, gromadzenie sił przebiegało ślamazarnie. Zbyt ślamazarnie.

Asti myślał czasem, że może dla państwa byłoby dobrze, gdyby nieruchawego Anutajastiego zastąpił inny władca, choćby ten, którego polecił zabić. Przeganiał jednak tę bluźnierczą myśl. Wszak on, Asti, należał do panującego domu, a Anutajasti to jego syn. Należało

więc uczynić wszystko, aby przywrócić rodowi mocno zachwianą ostatnimi czasy sławę, a zagrożenie jedynowładztwa wypełnić z korzeniami.

Stukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia.

– Wejść! – rzucił niecierpliwie, wiedząc już, kogo to pukanie oznajmia.

Na progu stanął wysoki, odziany w szary płaszcz val.

– Panie... – zaczął, ale Asti gestem przerwał ceremonialne powitanie, przywołując przybysza do siebie.

– Mów, co z nim? – wskazał Esighenowi fotel. – Wykonałeś zadanie?

– Niestety, panie... – kapitan tajnych służb opuścił głowę w prawdziwej lub udawanej skrusze. – Bastard chyba jeszcze żyje.

Asti poderwał się gwałtownie.

– Co to znaczy? Opowiadaj!

– Jak kazałeś, wysłedziliśmy jego drogę i wszyscy, którzy o nim wiedzieli, odeszli. Moi valowie trafili za nim do Berlanu. Tam ten szaleniec postanowił zdobyć sławę w Turnieju o Gałąź, oczywiście bezimiennie. Był tego bliski, ale na szczęście Mau czuwała. W finałowym starciu ujawniła się prawda. Infamis został ujęty przez gwardię królewską i osadzony w lochu. Tam miał czekać na wyrok Hoevog. Co to oznacza, wiesz przecież. Nakłonić wszystkich złotych władców Przedgórza, by raczyli zebrać się w jednym czasie i miejscu, to przedsięwzięcie na wiele kari. Rozkazałem więc przyspieszyć to, co i tak miało się dopełnić. Stała się jednak rzecz dziwna. Ktoś zabił mego wysłannika już w celi skazańca i uwolnił go. Mimo usilnych poszukiwań prowadzonych przez króla Berlanu, a także przeze mnie, bastard zniknął. Do dziś nie udało się ustalić miejsca jego pobytu. Moi szperacze

dotarli na skraj pustyni Obe. Tam ślad się urwał. Najprawdopodobniej chce przycziąć się na skraju gór i przeczekać całą awanturę. Szukamy go tam. Na wszelki wypadek rozesłałem szarych również po wszystkich krajach Przedgórza. Nie może się wymknąć. Aha! Jeszcze jedno... W ucieczkę zamieszany jest młody książę Jastihoreno z Lornin. Przypuszcza się, że on to zaaranżował. W każdym razie przepadł razem z naszym ptaszkiem.

Asti słuchał relacji, przemierzając nerwowo komnatę. Gdy Esighen skończył, zatrzymał się przed nim.

– Jak to możliwe, że twój podwładny dał się zabić, nie wykonawszy zadania? – warknął. – Czyżby Esighen stracił swą przezorność, wysyłając nowicjusza na tak odpowiedzialną akcję?

– To nie był nowicjusz, panie – cicho odpowiedział kapitan. – Wybrałem najlepszego z najlepszych. Świadczy za nim sposób, w jaki dostał się do celi. Nikt w zamku nie powziął nawet cienia podejrzenia, że coś dzieje się wokół więźnia. To, co się stało, jest dla mnie do dziś niezrozumiałe. Skazaniec nie miał żadnych szans.

– A jednak uciekł!

– Musiał mieć współnika, może kilku... Mówiłem o Jastihoreno. Książę z Lornin i ów zbieg to bardzo sprawni, niebezpieczni wojownicy!

– Pocieszasz mnie czy siebie chcesz rozgrzeszyć? Fakt, że jakiś przybłęda może pokonać twych, jak twierdzisz, wybrańców, świadczy przeciw tobie!

– Nie jestem, panie, niezwyciężony – głos Esighena zhardział. – Jeśli uznajesz, że nie nadaję się do wykonania powierzonego zadania, wybierz, proszę, kogoś innego. Ja chętnie pójde w pole bić się!

– To byłoby zbyt łatwe. Nie, mój drogi, dokończysz to, coś zaczął. I wołałbym usłyszeć pomyślniejsze wieści następnym razem.

Audjencia była skończona. Kapitan wstał i, skłoniwszy się nisko, opuścił salę. Astiego ogarnęły czarne myśli. Stało się źle. Nie miał podstaw, by nie ufać Esighenowi, sprawdził go przecież wielokrotnie. Jego walowie zawsze wykonywali polecenia, częstokroć narażając życie. Esighen ma rację, to niebezpieczny przeciwnik. Asti wiedział, że kapitan robi teraz wszystko, by uratować nadszarpniętą reputację. Musi to zostawić jemu i jego rzeźnikom. Dziś powinien zająć się sprawami zagrożonego państwa, bo powierzyć ich księciu niestety nie mógł.

Podszedł do okna. Przez północną bramę wyjeżdżał właśnie oddział księżęcej jazdy. Żołnierze trójkami znikali w podcieniach i po chwili wyłaniali się już za murami, formując długi, błyszczący włóczyniami wąż. Asti z przyjemnością patrzył na świetnie uzbrojonych wojowników, na lśniące, czarne, brunatne, płowe i szare grzbiety kisetów, miękko kołyszące się w rytm marszu. Cieszyło się serce starego rycerza na ten widok, ale zaraz przyszła refleksja: ilu z nich ujrzy znów Irvion... Wiedział, że nie pokona ich żadna siła, żadna materialna siła. Ani Minnowie, ani kohorty ghotów czy zastępy Nissków nie sprostają nawałnicy jeźdźców z Iserii. Zatrzymać ich jest zdolna jedynie Moc. A przeciw niej powinien stanąć złoty lub czerwony książę, wyrwać z transu obezwładnione Mocą oddziały i poprowadzić do zwycięstwa. On, Asti, pójdzie z jeźdźcami przeciw każdej potędze, tornów powstrzymać może tylko syn Jasti. Czy ten, który dziś nosi to miano, będzie zdolny stawić im czoła?

Czas w drogę. Wkrótce opuści stolicę i uda się za wojskiem, by w decydującej bitwie stanąć na jego czele. Ma przed sobą ostatnie zadanie: przekonać księcia Anutajastiego – potomka świetnej, co za ironia, dynastii – by w bitwie tej wypełnił nałożoną przez bogów powinność. Gorzkie to posłannictwo. Tyle przecież nadziei wiązał z przyjściem na świat upragnionego następcy, tyle nadziei wzbudziła w całym kraju wieść o narodzinach władcy. I tyle późniejszych upokorzeń... Otrząsnął się z ponurych myśli. Cokolwiek czeka to umęczone księstwo, on wypełni swoją rolę do końca.

Wezwał pokojowca.

– Zapowiedz mnie księżnej – polecił.

Jastite zajęta była czytaniem korespondencji. Skłonił się lekko i czekał na jej zaproszenie, by móc spocząć w fotelu. Księżna zajęta jakimś szczególnie interesującym listem niedbale skinęła dłonią. Uznał ten gest za przyzwolenie, podszedł bliżej i usadowił się na wskazanym miejscu.

– Wyobraź sobie, mój drogi Asti, pisze mi księżna Najaste, że w Berlanie podczas uroczystości hołdu schwymano nieprawego syna Jasti. I to podobno Isera! – w głosie księżnej zabrzmiały nuty świętego oburzenia.

– Wiem o tym, pani.

– Wiesz? I nic nie robisz? Po co w takim razie utrzymujesz tę bandę próżniaków Esighena?

– Skoro wiem...

– Jakoś nie widać wyników.

– Wybacz, pani, ale to wyłącznie mój problem. Nie jestem obowiązany składać ci raportów z tego rodzaju działalności.

– Jesteś niegrzeczny, Asti – księżna miała minę skrzywdzonego dziecka.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie, księżno. – ledwo powstrzymał ironiczny grymas. – Przychodzę w sprawie, której bez twojej pomocy nie zdołam załatwić. Tamtą zostaw mnie.

– Cóż to za sprawa?

– Twój... nasz syn, pani.

– Anutajasti? Co on takiego uczynił, że sam wielki Asti przychodzi na skargę?

– Nic. I to jest właśnie problem.

– Nie rozumiem – Jastite wzruszyła ramionami.

– Czyżby w zacisze twoich komnat nie dotarły wieści z pól bitewnych?

– Przecież ksiązę zgodził się na walną bitwę.

– Zbyt późno, księżno, zbyt późno!

– Nie cofniemy czasu. Cóż przyniesie dziś biadolenie, że późno...?

– Nie w tym rzecz. Ksiązę, wydając walną bitwę, sam jakoś nie kwapi się w pole.

– Ma przecież ciebie... Ty lepiej znasz się na wojnie niż on – romantyk i poeta.

– Jeżeli romantyzm polega na nieustannych miłoskach i zabawie, to masz rację, pani.

– Nie bądź złośliwy, Asti, on ma delikatną naturę!

– To nie jest czas dla delikatnych książątek. Armia potrzebuje wodza!

– Ty nim jesteś.

– Tak, jestem. Dopóki nie zagrozi nam Moc.

– I zamierzasz jej rzucić na pożarcie mego syna?!

– Przecież wiesz... Tylko on jest w stanie ją zatrzymać.

– Ale on nie potrafi... – głos księżnej załamał się niebezpiecznie.

– On musi potrafić!

– Na pewno nie jest to niezbędne, przecież tornowie do tej pory nie angażowali się w wojnę, a z ghotami poradzisz sobie bez niego.

– Posłuchaj, kobieto – Asti wstał i ujął Jastite za ramiona. – To będzie najważniejsza bitwa. Od niej zależy los całej kampanii. Czy myślisz, że władcy Durlocku zaryzykują klęskę? On musi tam być!

Po tym wybuchu nastała cisza. Księżna popatrzyła w oczy stojącego nad nią mężczyzny i Asti wyczytał w jej wzroku rezygnację.

– Dobrze – powiedziała w końcu z wahaniem. – Porozmawiam z nim, choć nie ręczę za skutek.

– Zgodzi się, na pewno się zgodzi. – Asti odetchnął z nieskrywaną ulgą. – Masz na niego wielki wpływ. Może nawet zbyt wielki...

– Musisz mi jednak obiecać – Jastite znów spojrzała mu prosto w oczy – że będziesz go strzegł, że nie dopuścisz, by spotkała go jakakolwiek przygoda. Przysięknij to!

– Obiecuję. Przecież to również mój syn. Przysięgam też, że nie pozwolę, by podzielił hańbę Ivirotha. Za żadną cenę.

*

– To-sar i valowie – rzucił w ciemność odzwierny i przekroczyli próg wykutej w skale komnaty. Od momentu wyjścia z podziemi do audyencji trwali jakby w niby-śnie, niby-hipnotycznym letargu. Niezwykłość otoczenia

sprawiała, że wszystko odbierali tak, jakby to nie oni wędrowali wśród dziwnych wsi i osad, tak niepodobnych do znanych z tamtej strony gór walijskich siedzib, jakby świadomość opuściła zbyt ciasne ciała i uleciawszy w przestrzeń, z zewnątrz oglądała swe doczesne siedliska. Czuli się jak w baśniowej krainie. Urodzeni wśród równin przywykli od dzieciństwa do rozległych stepów i nieprzebytych puszczy. Tu z wielką ciekawością patrzyli na wtulone między strzeliste skały małe domki, zamieszkałe przez równie miniaturowe istoty.

Wzbudzali ciekawość. Wszędzie, gdzie pojawił się niezwykle w tych stronach orszak, śledziły go dziesiątki oczu. Gromady dzieci ciągnęły za jeźdźcami, przezornie trzymając się w bezpiecznej odległości. Nie odstępowały ich, dopóki nie minęli ostatnich zabudowań. Byli bodaj pierwszymi walami w tych stronach. Granice siedzib Ir-gów sięgały co prawda regionów zasiedlonych przez mieszkańców Przedgórze, lecz poza wąską strefą w widłach Karii i Suanu współplemieńcy wędrowców rzadko zapuszczali się w głąb tego kraju.

Nikt ich o nic nie pytał, obecność To-sara była widocznie najlepszą przepustką. Parokrotnie mijali niewielkie uzbrojone patrole, jednak spotkania kończyły się na wzajemnej bacznej obserwacji. To-sar milcząco pełnił funkcję przewodnika. Po pierwszych, zbyt ogólnikami, próbach nawiązania rozmowy zrezygnowali z dopytywania się o cel wędrowki i podążali za nim, ufając jego doświadczeniu. Dopiero gdy wyrósł przed nimi wykuty w skale zamek-klasztor, eneika sam zdradził, gdzie się znajdują. Dotarli do siedziby Zabójców Smoków.

Teraz wchodzili jeden za drugim do ciemnej celi, w której oczekiwał ich mistrz zakonu. Czuli się niepewnie.

Przyjęto ich z chłodną obojętnością, czasem wyczuwali w spojrzeniach napotkanych eneików skrywaną niechęć. Z pewnością nie kochano ich tutaj. Dlatego z niepokojem oczekiwali audjencji. Po co przyjechali do zamku, nie wiedzieli. Nie wiedzieli również, co czeka ich za chwilę, bo To-sar jakby ogłuchł w chwili przekroczenia bramy.

Komnata była nieduża i mroczna, jedynie przez wąski, wykuty w skale otwór sączyło się do środka trochę słonecznego światła. Z trudem dostrzegli siedzącą w głębi postać zgrzybiałego eneiki.

To-sar wysunął się do przodu.

– Pozdrawiam cię, czcigodny Nua-nem. Przybywam z wieściami ze starych krain, oby Trorr-ud przywrócił je prawowitym włodarzom.

Starzec podniósł głowę. Jego spojrzenie obojętnie prześlizgnęło się po stojących na uboczu valach i zatrzymało na eneice.

– O tym porozmawiamy później. Teraz, To-sar, wyjaśnij mi, po co sprowadziłeś tu zamorskich grabieżców? – Głos miał skrzypiący i cichy, jednak wewnętrzna siła była zawarta w wypowiedzianych po valijsku głoskach. Temu, że nie krył się ze swą pogardą do gości, dał właśnie świadectwo celowo używając ich języka. Zwracał się jednak nie do nich, a lekceważąco o nich.

W Itim zagotowała się krew.

– Czy prawo gościnności eneików nakazuje czcigodnemu Nua-nem obrażanie przybyłych w pokoju? – spytał przez zaciśnięte zęby.

Starzec jakby nie dosłyszał zaczepki. Rzucił kilka słów w niezrozumiałym dla nich języku, po czym znów przeszedł na valijski, w dalszym ciągu dostrzegając jedynie To-sara.

– Czekam na twą odpowiedź...

– Pierwszą rzeczą, którą ci jestem winien, jest to – To-sar wyciągnął z sakwy dwoje smoczych uszu i rzucił pod nogi mistrzowi zakonu. Ten wstał z ławy i z szacunkiem podniósł z ziemi ofiarowane trofea. Jego głos zabrzmiał zupełnie inaczej, gdy rozpoczął długą tyradę. To-sar przerwał ją w pewnym momencie.

– Moi towarzysze nie znają naszej mowy. Udowodnij, czcigodny, że nie tylko poniżać potrafisz w tym języku.

Zdziwiła valów jego hardość w stosunku do najwyższego rangą Zabójcy. Zdziwił również ton mistrza, który zwrócił się do podwładnego, spełniając jego dość obcesowe żądanie.

– Chwała ci, mężny To-sar, i twemu garnagowi chwala! Od dnia, gdy drugi xinx otworzył się przed tobą, wstałeś między Niezwycięzonych. Dziś twoje imię brzmi: To-sar-Geue i wyryte zostanie wśród wielkich Bractwa.

Klasnął w dłonie. Na ten dźwięk z cienia wyłonił się przygarbiony eneika.

– Przynieś tiris – rozkazał Nua-nem. – Oto brat To-sar wstępuje między Niezwycięzonych.

Eneika zniknął równie cicho, jak się pojawił. Po chwili wrócił i z uszanowaniem podał Nua-nemowi drobny przedmiot. Mistrz ujął go w dłonie i przed oczyma uczestników ceremonii błysnęła drżąca na cienkim łańcuszku igła. Nua-nem zbliżył się do To-sara i mrucząc jakieś zaklęcia zawiesił tiris na jego kosmatej piersi.

– Noś ten symbol z godnością, bowiem otwiera przed tobą skarbiec Tajemnic Pierwszych oraz wszelkie doczesne dobra eneików. Odtąd żądać możesz i żaden odmó-

wić nie ma prawa, boś jest Tym, Który Otwiera Drogę Do Oll-hirr.

– A więc żądam, bo drugą sprawą jest żądanie i do niej nabyłem właśnie prawo, żądam wpisania tych walów w rejestr sprzymierzeńców Bractwa i, co za tym idzie, wszelkich przywilejów należnych na ścieżce ich życia!

Starzec zachnął się.

– Profani wśród sprzymierzonych? – wysyczał. – Łamiesz tradycję, To-sarze!

– Jestem Niezwyciężony, moje żądanie staje się prawem. Wiesz o tym, Nua-nem-Diie – To-sar z naciskiem wypowiedział pełne imię starca, co nadało jego słowom nowy, znany tylko obu eneikom sens.

Walowie w napięciu słuchali tego dialogu, zawierającego wiele elementów, które – choć niejasne – ich przecież dotyczyły. Czuli, że między To-sarem a mistrzem Bractwa Zabójców toczy się walka, a jej efekt będzie miał jakiś wpływ na ich losy. I To-sar zwyciężył, bo po dłuższej chwili milczenia odezwał się Nua-nem, zaś w jego głosie zabrzmiał ton ustępstwa:

– Żądałeś, Geue. Twe żądanie stało się prawem. Wybaczcie, sprzymierzeni – zwrócił się do obecnych i widać było, że mówienie bezpośrednio do nich przychodzi mu z niejakim trudem. – Słowa często ranią nie tych, którym są należne. Is-yed zaprowadzi was na kwatery, a To-sar przedstawi wasze życzenia Ławie Strażników Tajemnic.

Klasnął w dłonie. Znów pojawił się milczący eneika. Ruchem ręki pokazał, że mają iść za nim. Posłusznie opuścili celę mistrza i zagłębili się w ciemne korytarze zamku. Przewodnik prowadził ich inną drogą, rozglądali się więc ciekawie. Niewiele było do oglądania. Wąski korytarz znaczyły co jakiś czas niesymetrycznie roz-

mieszczące wnętrza kolejnych drzwi, poza tym nic nie urozmaicało monotonnej i przeciągającej się wędrówki. W końcu stanęli przed wejściem do komnaty. Is-yed odsunął zamek i wkroczyli do środka.

Znaleźli się w sporej sali bez okna, oświetlonej kilkoma osadzonymi w ścianach kagankami. Służba musiała być tutaj tuż przed nimi, widocznie przewodnik celowo prowadził ich dłuższą drogą, bowiem izbę przygotowano na ich przyjęcie. Nawet niski stół czekał nakryty do posiłku. Is-yed rozejrzał się czujnie, jakby sprawdzał, czy wszystko jest w porządku, po czym, skłoniwszy się sztywno, opuścił komnatę.

– Co o tym sądzicie? – zapytał Iti, gdy zostali sami.

Jastihoreno z rozkoszą wyciągnął się na posłaniu.

– To-sar spisał się dzielnie, choć nie bardzo wiem, co za przywileje nam wywalczył – powiedział, ziewając.

– Kto by pomyślał, że tyle znaczy dla nich para śmierdzących uszu – Vortar mówił niewyraźnie, z ustami pełnymi jedzenia. Widok zastawionego stołu sprawił, że nad wszystkie zagadki przedłożył jak najszybsze zaspokojenie głodu.

– Już zdążyłeś zapomnieć, z jakim trudem zostały zdobyte? – Jastihoreno słysząc mlaskanie Sorva, przypomniał sobie, że jest bardzo głodny i szybko dołączył do niego.

– Ciekawe, jakież to przywileje mają sprzymierzeńcy Zabójców i co one nam dadzą? – Iti również poszedł w ślady przyjaciół.

– Wystarczy, jeśli dadzą wierzchowca i żywność na drogę. – Vortar nie miał wygórowanych wymagań.

– Widzieliście, jakie wrażenie wywarło na starym żądanie To-sara? – spytał lorniczyk.

– Nie przepadają za nami – stwierdził Vortar, dokładając sobie porcję mięsiwa.

– To jest coś więcej – Iti zamyślił się. – Oni pielęgnują w sobie nienawiść swych ojców, nie dają jej umrzeć. W takich zamkniętych enklawach jak ta żyją nadal marzenia o Przedgórzu wolnym od najeźdźców zza morza. Tutaj czas zatrzymał się dziesięć ellarów temu.

– Tak, chyba masz rację – przytaknął Jastihoreno. – Na szczęście jest ich zbyt mało, by mogli stanowić poważne zagrożenie.

– Chyba że znajdą sojuszników – Iti wstał od stołu. Poczul napływające zmęczenie. – Nie jesteśmy sami w Loinie.

– Myślisz, że Durlock... – książę z wahaniem spojrzał na Isera.

– Zaślepionych nietrudno omamić mirażem wielkości. Fanatycy to łatwy łup dla imperium i prędzej czy później tutejsi eneikowie wpadną w jego sidła jak ich pobratymcy znad Morza Nissków.

– Słyszałem, że eneikowie Urum również sprzyjają władcom z Morv.

– Macki Durlocku sięgają daleko. Przecież spośród tornów jedynie Shonnowie oparli się jego potędze.

– Tylko dzięki swemu położeniu. Wielkie Bagna i Morze Wewnętrzne skutecznie chronią ich przed agresją.

– Na razie...

– Może byśmy zmienili temat? – wtrącił Vortar. – Polityka to piękna rzecz, lecz zbyt jałowa dla mnie. Najlepszy argument dla wrogów noszę przy pasie – poklepał głownię miecza.

– W końcu trzeba będzie użyć i jego. Moi rodacy już to czynią – Iti odpowiedział już z łoża. – A potem przyjdzie czas na resztę...

– Ciężkie czasy nadchodzą – westchnął Jastihoreno. – Niedługo może zabraknąć w Loinie miejsca dla walów.

– Mój dawny opiekun, Besiti, opowiadał mi zawsze, że przeznaczenie walów jest zapisane w Świętych Tablicach. Może one dadzą odpowiedź na pytanie o przyszłość. I jaką rolę odegrać mam ja...

*

Płomyk tańczył niespokojnie; to wydłużał się i kreślił w powietrzu migotliwe pętle, to przygasał ze skwierczeniem przypalanego łożu i trzaskiem iskier. Cienie na ścianach chwiały się w rytm jego płasu jak wywołane z zakamarków komnaty, ukryte dotąd w ciemnościach duchy. To-sar patrzył w ogień. Zapadał w mistyczny trans, prowadzący ku zespoleniu z Tajemnicą. Był bezwolny, Trorr-ud przejął jego myśli, wypełniając je własną wolą i siłą. Nie czuł już odpływającego w nicłość, rozpylonego na drobiny ciała. Przestało istnieć „tu i teraz”, stało się „wszędzie i zawsze”. Przenosił się w krainy nieistnienia, gdzie ojcowie strzegą wiecznego płomienia eneików. Zaczynał pojmować wielkość minionego oraz jego potęgę zawartą w nieskończoności przemijania. Jednoczył się z tym, co niegdyś było krociami istnień, a dziś scalone zostało w jedną niezmierzoną świadomość, lenno Najwyższego. Zespolenie z nadistotą wyzwoliło rozgrzeszoną duszę z ciasnoty i brudu ciała, w euforii oczyszczenia łączył się z cieniami przodków, czerpał z ich jedności wiedzę minionych pokoleń, zdobywał moc dla sie-

bie. Oto ja! Wołało w nim potężne echo przeszłości, a on przekształcał się w cząstkę wołającej sfery i z cząstki przemieniał się w całość. I pojął, że w tej chwili wie więcej niż ktokolwiek ze śmiertelnych, że posiadał wiedzę, rozumiał ideę. Z sumy oglądanej mądrości wykształciła się zasada obejmująca poprzez przeszłość także czas aż do końca wszechrzeczy. Lecz akt zespolenia na tym się nie kończył. To-sar był już dalej, a im bardziej zagłębiał się w przenikaną Tajemnicę, tym trudniejsze do objęcia dano mu obszary. Wreszcie przestał rozumować, pozostały uczucia. Te były pojemniejsze: przenikały to, czego rozum zanalizować nie potrafił. Aż wyczerpały się i one. Wtedy krzyknął całym sobą, całym miliardkrotnym sobą wykrzyczał tę niepojmowalną mądrość, zamieniał ją w wielkie wołanie.

Iskra świętego ognia gasła. Odchodził wszechświat nadmaterii, dusza eneiki powracała w okowy ciała czysta i wolna, wypełniona rozumieniem ciągłości istnienia od prapoczątków po kres ostateczny. Trrrr-ud dopuścił go do siebie i jego Tajemnica otwarła się w jaźni śmiertelnika, wynosząc go nad maluczkich. Temu, Który Otwiera Drogę Do Oll-hirr tyle było należne.

Znów był w mrocznej sali Tajemnic Pierwszych. Kłęczał w izolującej od świata ciemności zawieszony pomiędzy tą, którą posiadał, a tą, ku której zmierzał. O tym, ile takich progów jeszcze przebędzie, zadecyduje święty ogień. On wyznaczy wstępującemu Geue zakres dopuszczenia. Musi czekać, aż dojrzeje ziarno zasiane przez Pierwszą Tajemnicę Zespolenia, aż rozbłyśnie iskra kolejnego wejścia.

Wielka cisza przytłaczała wsłuchanego w nią eneikę, a czas zatrzymał się, zmieniając sekundy w wieczność.

Czy była to już nowa próba, To-sar nie wiedział. Przecież najpierw powinien zapalić się ogień. Czy mógł pod wrażeniem przeżyć przegapić jego błysk?

Nie, to właśnie teraz. Z dna naczynia podniósł się obłok żółtego dymu, a w chwilę później rozgorzał nagłym blaskiem wielki, zielony płomień. Dziwny to był blask: poza bezpośrednim sąsiedztwem paleniska komnata pozostała ciemna, ani jeden cień nie pojawił się wraz ze światłem. "Patrz tylko w ogień!", przypomniał sobie przykazanie sługi komnaty, gdy wchodził tu, by dopełnić rytuału. Patrzył więc. A płomień gasł. Nie zmniejszał się tak jak zwykły, dopalający się żar, lecz zachowując wielkość, niknął, zmieniał się w fosforyzujący coraz słabiej niematerialny obłok. Aż pożarła go ciemność. Kleista, prawie dotykalna ciemność. Żywa ciemność. Czarna, odpychająco miękka płachta zamknęła w sobie przestrzeń, miażdżąc swym ciężarem wszystko poza tą odrobiną, gdzie tkwiła zamknięta w powietrznym bąblu, wystawiona na kpinę mroku istota. Zdał sobie nagle sprawę, że niezwykle gaśnięcie płomienia nie było spowodowane wypaleniem się jego źródła. Zielony ogień płonął nadal gdzieś tam, za bezmiarem skłębionej nocy. A czerń napierała. Nieleddwie mógł dotknąć zacieśniającego się kręgu, który dosięgał go, ruchliwymi czułkami muskał twarz, dotykał ubrania, wnikał w głąb ciała. I wewnątrz narodził się strach. Jak kielkująca szybko roślina ogarniał świadomość, wypełniał ją sobą, rósł. Cały stał się strachem, nie było już miejsca na inne uczucia wyparte z najdalszych zakątków mózgu, zagubione w oceanie lęku. Bał się jak nigdy dotąd, choć nie potrafił zlokalizować źródła pulsujących strachem fal. Były dziećmi ciemności. Małe, wijące się, ruchliwe robaczki. Pełzły wzdłuż sieci

nerwów i żył, łaskotały gorącym końce palców i mroziły na lodowy kamień łomocące panicznie serce. Był gigantycznym mrowiskiem z trylionami opętanych mrówek. Był kłębowiskiem obudzonych żmij, był węzłem żywego sznura, zapętlającego się coraz ciaśniej w rozpaczliwych próbach rozwiązania. W panice poczuł, że utrzymywana dotąd siłą woli dusza zaczyna opuszczać zrobaczywiałe ciało, zostawiając je na żer zwycięskiemu czerwiom. Lecz dokąd odpłynąć ma odrętwiała z przerażenia świadomość, gdy na zewnątrz także kłębił się wygłodniały, czekający na łup strach. Trwał zawieszony między życiem a śmiercią, nie żyjąc i nie mogąc umrzeć do końca.

Wtedy zobaczył je znowu. Przez nasycony lękiem mrok, przez otchłań czarnego strachu przebiło się słabiejące światelko. Nieśmiało, eteryczne westchnienie wypchniętej ze świata rzeczywistości. Ognik jaśniał coraz silniej. Rozwijał się w płomienną kulę, głosząc zwycięstwo nad cofającą się nocą. Wyłaniały się z czerni znajome kształty komnaty, powtórnie ujrzał cień swych drżących jeszcze dłoni. Poczuł wilgoć na twarzy. Zdziwiony dotknął policzka. To były łzy. Nagle opuściły go siły. Półżywy, niezdolny do wykonania żadnego ruchu, upadł twarzą na kamienną posadzkę. Jak długo leżał? Poczuł czyjeś unoszące go z ziemi ręce. Wypłynął z sali w litościwym kołysaniu sapiących z wysiłku kroków. Pierwsza Tajemnica Ciemności była w jego wnętrzu.

Ocknął się na kamiennej ławie w niewielkiej celi. Pochylał się nad nim sługa komnaty, który przykładał do jego czoła zimny, mokry okład. To-sar usiadł.

– Gdzie jestem? – zapytał.

– Już po wszystkim, Geue. Dobrze, że przyszedłeś do siebie. Strażnicy czekają.

Siedzieli za szerokim stołem, pod czarnym baldachimem z zielonym symbolem Tajemnic, wyhaftowanym na skrzydłach kotar. Sala była wąska i długa, tak że stojąc u wejścia miał do przebycia kilkanaście kroków, zanim będzie mógł zająć przygotowane dlań miejsce. Przełożony Ławy dał znak. Zbliżył się więc, z uszanowaniem skłaniając przed nimi głowę, by po chwili, na ponowny znak najstarszego, zasiąść w ustawionym naprzeciw stołu fotelu.

Przyglądał się im z ciekawością. Dotąd widywał strażników jedynie przelotnie podczas uroczystości zakonnych, gdy był jeszcze jednym z wielu czekających. Znał ich imiona, jak znali je wszyscy bracia Zabójcy, bowiem obowiązkiem każdego było wiedzieć o nich wszystko. Trzech spośród Ławy było Diie, czwarty reprezentował Geue i jako jedyny z klanu nie miał obowiązku dążenia do zmiany kasty. Status strażnika Tajemnic nie zezwalał na to.

– Pokłon wam, czcigodna Ławo – To-sar jeszcze raz skłonił się siedzącym naprzeciw.

– Witaj wśród wtajemniczonych, To-sar-Geue – odezwał się przełożony Ławy. – Dziś dostąpiłeś zaszczytu poznania dwóch spośród Tajemnic Pierwszych, które dostępne są twemu klanowi. Wolno ci wejrzeć w następne, gdy tylko będziesz gotów. Niech prowadzą cię pomocną dłońią ku twemu przeznaczeniu, boś winien umrzeć lub stać się Diie.

– Wiem o tym, wielki Tie-vo-Diie. Ofiarowane uszy były moją przysięgą.

– Mistrz zakonu przekazał nam twoje żądanie. Przyznaję, że zdziwiło nas i zasmuciło. Czyżby To-sar zapomniał o najwyższym posłannictwie naszego Bractwa?

Eneika hardo spojrzał na sędziego strażnika.

– Nie zapomniałem, czcigodny. Z chwilą wstąpienia między Geue stałem się Tym, Który Otwiera Drogę Do Oll-hirr, i udowodnię to w świętej walce. Zaborcy starych krain są moimi wrogami, lecz jednemu z nich zawdzięczam życie. Dlatego on i jego przyjaciele wyłączeni są z mej nienawiści.

– Val uratował życie eneice? Dziwne rzeczy opowiadasz, To-sar – w głosie Tie-vo zabrzmiało niedowierzanie.

– To nie jest zwykły val. Pamiętasz Pismo, czcigodny?

Zaskoczony strażnik spojrzał na niego.

– Nie chcesz mi chyba wmówić, że to...

– Wszystko na to wskazuje. Jest wyklęty przez własne plemię, bo urodził się wraz z żółtym wcieleniem Trorr-uda. On może pokonać ciemność, Tie-vo.

– Czy wie o tym?

– Chyba jeszcze nie, lecz dąży do poznania.

– Wie już, gdzie go szukać?

– Tak. Przybył z przykazaniem opiekuna udania się na Pitie, do Świętych Tablic. One mają zdradzić mu jego przeznaczenie.

– Dużo wiesz, To-sar. Czy on ci o tym mówił?

– Nie, czcigodny. To-sar zna wiele sposobów zdobywania wiadomości. Że są prawdziwe, potwierdziło życie.

– W jaki sposób?

– Przypadkowo ujawnił się publicznie jego status. Ścigają go jak zbrodniarza oprawcy wielu krajów.

– I cóż z tego wynika?
– Czy mam ci cytować Pismo? – rzucił ze zniecierpliwieniem To-sar. – Jaśniejszej wymowy fakty mieć nie mogą.

Tie-vo uśmiechnął się.

– Jesteś gwałtowny, To-sar. To dobrze, Trorr-ud wiedział, kogo przeznaczyć w szeregi Geue. – Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej: – Wierzymy ci. Twe żądanie stało się prawem, jak nakazuje tradycja. Czego żądasz dla sprzymierzonych?

To-sar odetchnął głęboko. Przeprawa z Ławą poszła łatwiej, niż przypuszczał.

– On musi dostać się na Pitię. W tej chwili nie jest to możliwe bez naszej pomocy, całe Przedgórze szuka poczętego w zbrodni.

– Chcesz, byśmy wyekwipowali ich na drogę? – Tie-vo udał, że nie rozumie.

To-sar spojrzał na niego z gniewem.

– Trudno ci pozbyć się uprzedzeń, czcigodny. Powiedziałem: on musi dostać się na Pitię! Czyżbyś nie wiedział, czego żądam?

Złość eneiki najwyraźniej rozbawiła Tie-vo. Roześmiał się głośno i powiedział:

– Twoja zadziorność przynosi ci chwałę. Tak, wiemy, o co ci chodzi. Rzeczywiście, trudno pogodzić się staremu Diie z koniecznością udzielania pomocy nieprzyjacielowi, lecz widać takie jest przeznaczenie. Ława spełni twe żądanie, walowie dostaną się na Pitię.

– Dzięki, czcigodny...

– Teraz idź i niech Trorr-ud prowadzi twe kroki, byś stanął w szeregach Diie lub pochłonał cię xinx w ofierze Oll-hirr.

Zbliżała się północ, gdy leśne chaszcze przerzedziły się nieco. Szli teraz szybciej, nie musieli wycinać przesieki w spletanym gąszczu. Największą ulgę przyniosło to eskortującej wędrowców od granicy dwójce eneików, którzy przyjęli na siebie ciężar torowania drogi. Zaraz obaj przesunęli się na koniec pochodu, zostawiając przewodnictwo To-sarowi.

Vortar był trochę zawiedziony. Jego rzucona od niechcenia uwaga sprawdzała się na razie w każdym punkcie. Pomoc Bractwa polegała jak dotąd tylko na podarowaniu im irmana, w dodatku źle ujeżdżonego, oraz żywności na drogę. No i tych dwóch, co to nie wiadomo, czy mieli ich chronić, czy pilnować, aby zbyt wiele nie zobaczyli. Przez cały czas od przekroczenia granicy Związku Irgów podejrzliwie przyglądał się milczącym Zabójcom, ale ci nie dawali powodu do nieufności. Przeciwnie: w czasie przebijania się przez gęstwinę przyjęli rolę prowadzących, zaś na popasie trzymali się na uboczu, nie mieszając się do rozmów walów. Czasami gwarzyli o czymś z To-sarem, po czym jeden z nich znikał na jakiś czas, by później znów do nich dołączyć.

Las skończył się i wyjechali na piaszczystą plażę. Dalej leniwie toczyła wody Karia, a za nią pogrążone w mroku rozciągały się ziemie Agrenii. Po wodzie przesunął się czarny cień. Czółno z lekkim pluskiem dobiło do brzegu i na piasek wyskoczył obdarty, niepozorny eneika. Podeszli bliżej.

– Mamy płynąć tą łupinką? – z powątpiewaniem zapytał Vortar.

Przewoźnik syknął i szeptem zagadał do To-sara.

– Zachowajcie ciszę! Głos niesie po wodzie, a po tamtej stronie trafiają

się patrole – przetłumaczył ten półgłosem.

– W jaki sposób wszyscy się pomieścimy? – posłusznie ściszył głos stary.

– Przecież wierzchowce...

– Nie gderaj, Vortar – uciszył go Jastihoreno. – To ich zmartwienie, nie nasze.

– Przedostaniemy się w dwóch grupach – szepnął To-sar. – Wierzchowce popłyną za łódką.

Rozdzielili się. Do czółna załadowali się dwaj enei-kowie z eskorty i Jastihoreno. Iti, widząc, jakiego podziału dokonał To-sar, odniósł wrażenie, że nie był on przypadkowy. Najwyraźniej pierwsza grupa miała zapewnić bezpieczeństwo lądowania tym, którzy przybędą po nich. Świadczyła o tym obecność w niej obu Zabójców. I chyba nie przypadkiem on znalazł się w drugiej grupie.

Czółno zniknęło w mroku. Tylko leciutki plusk wiosła zdradzał czyjaś obecność na wodzie. Wsłuchiwali się w ciszę, szukając w niej dźwięków zwiastujących niebezpieczeństwo. Na drugim brzegu panował jednak spokój, nic nie wskazywało, by cokolwiek miało zakłócić przeprawę. Po dłuższym oczekiwaniu łódź jak duch znów pojawiła się przed nimi.

Załadunek tym razem poszedł gorzej. Irman Vortara za nic nie chciał wejść do wody, chrapał lękliwie i zapierał się nogami. Szamotali się z nim we czwórkę, bezskutecznie usiłując zmusić go do posłuszeństwa. Dopiero dźgnięcie mieczem skłoniło zwierzę do zanurzenia się w rzece.

– Ten hałas może nas drogo kosztować – mruknął To-sar, gdy już odbili od plaży.

Jakby na potwierdzenie jego słów z odległego jeszcze brzegu dobiegł okrzyk, a po chwili wybuchł gwar przemieszany ze szczękiem broni.

– Tinn joah! – krzyknął To-sar do przewoźnika, który spełniając widocznie polecenie, natychmiast skierował łódkę z powrotem.

– Nie zawracaj! – Iti zerwał się z ławki. – Tam walczą nasi!

– Muszą dać sobie radę, my poczekamy na wynik. Jeśli zwyciężą, dadzą znak.

– Posłuchaj, To-sar, nie mam zwyczaju zostawiać towarzyszy w potrzebie! Każ mu zawrócić – Iti szarpnął za miecz.

– Podobno chcesz dotrzeć na Pitię? – eneika nawet nie drgnął na widok obnażonego ostrza. – Martwemu będzie ci trudno. Nie kłopotz się o Zabójców, nie z takich opresji wychodzili obronną ręką. Zresztą, po to tu są.

– Ale Jastihoreno...

– Książę z Lornin urodził się z mieczem, a nie wrzecionem w ręce. A na Pitię masz dojść ty, nie on – zimno zakończył To-sar.

Odgłosy walki po agreńskiej stronie urwały się nagle. Obaj eneikowie z napięciem nasłuchiwali, wstrzymując oddechy, by nie uronić żadnego dźwięku. Jakoż po chwili dobiegło z oddali chrapliwe wycie.

– Hoa gets! – powiedział radośnie przewoźnik.

– Tak, to głos hanga – przytaknął To-sar. – Możemy płynąć, to znak od naszych.

Tym razem bez przeszkód pokonali rzekę. Na brzegu czekał na nich jeden z eneików. Powiedział coś cicho do

To-sara, po czym obaj zniknęli w ciemności. Iti i Vortar z pomocą przewoźnika rozładowali łódź i osiedłali wierzchowce. Potem eneika w milczeniu wskoczył do czółna i niemal bezszelestnie zniknął w mroku. Zostali sami.

Było ciemno i cicho. Po jakimś czasie usłyszeli odgłosy nocy: szelesty i szmery stepowej trawy, nawoływania nocnych żyjatek, dalekie pojękiwanie kuara. Spokój sawanny udzielił się valom. Prawie zapomnieli o tym, co nie tak dawno zburzyło harmonię mroku. Tupot lekkich kroków przywrócił ich do rzeczywistości.

To był To-sar.

– Chodźmy, czas ruszać. Powinniśmy jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Co z pozostałymi? – zapytał Iti.

– Wszystko w porządku. To był tylko przygraniczny patrol. Już nie istnieje. – eneika ruszył przodem, wskazując drogę podążającym za nim valom.

Minęli miejsce niedawnej potyczki. Zostało już uprzątnięte, cztery trupy w barwach cesarstwa przykryto gałęziami, by nie zostały zbyt szybko odnalezione. Jastihoreno czekał na nich nie opodal, pod krzewem simalu.

– Ci malcy to sprawni wojownicy – powiedział, widząc spojrzenie Itiego skierowane na stertę gałęzi. – Lecz rycerskiego honoru w nich za grosz.

– Cóż ci zawinili? – spytał Iser.

– To rzeźnicy, a nie rycerze. Gdy wyszedł na nas patrol, skoczyliśmy na nich. Dwóch zaraz legło od ciśniętych przez eneików noży, trzeciego położyłem ja. Czwararty bronił się dość zręcznie i byłby mi zajął trochę czasu, gdyby nie ci dwaj. Zaszli go z tyłu i z zimną krwią zarżnęli. To odrażające, straciłem dla nich cały szacunek.

– Postąpili słusznie – wtrącił To-sar. – Dłuższy opór mógł ściągnąć posiłki. Tu nie ma miejsca na szlachetne pojedynki.

– Nie przekonasz mnie – Jastihoreno pokręcił głową. – To było zwykłe morderstwo. Ublżyłbym sobie, usprawiedliwiając morderców.

– Możesz myśleć, co chcesz. To twój prywatny sąd, masz do niego prawo. Ja powtarzam: najważniejszy jest cel, a było nim szybkie i w miarę ciche zwycięstwo. I tak się stało. Powinieneś być raczej wdzięczny, że wszystko poszło tak gładko. Gdyby nadciągnęły tu większe siły, położyłbyś głowę, na nas bowiem nie mógłbyś liczyć. Przysiągłem doprowadzić Itiego na Pitie i uczynię to za cenę każdej ofiary. – To-sar ruszył w drogę, nie oglądając się na towarzyszy. Dyskusję uznał za zakończoną.

– Tego można się było spodziewać – burknął do siebie książę. – Żadnej szlachetności, tylko wyrachowanie...

*

Zajazd był jak dziesiątki innych usadowionych przy drogach w pobliżu granic. Nie najbogatszy, bo niezbyt wielu podróżnych interesy lub konieczność zmuszały do wędrówki przez obce kraje. Z daleka mało różnił się od nadgranicznej stancy, otaczał go ostrokół z czarnymi wnękami strzelnic, podobnymi do czujnych, ślepych oczodołów, wpatrzonych w cztery strony świata. Pogranicza nie znały pokoju. Nawet gdy ziem tych nie przemierzały hufce zwaśnionych narodów, zawsze włóczyły się zbrojne watahy, złożone z dezertierów, banitów, uciekinierów spod ręki kata i innych wyrzutków, którym w

ich rodzinnych stronach ziemia zaczęła palić się pod stopami. Dla tych zbiorów granice nie istniały.

Celem napadów band stawały się często przygraniczne karczmy i zajazdy, dlatego ich właściciele zamieniali swe siedziby w warownie, utrzymywali pokaźne i dobrze uzbrojone zastępy czeladzi. Niekiedy gospody – których właściciele, mając do wyboru ciągłą walkę w obronie swej własności lub przyzwoite prosperowanie w zgodzie z rozbójnikami, wybierali to drugie – stawały się schronieniem i bazą wypadową wielu band. Układ taki był korzystny dla obu stron i bywał coraz powszechniejszy ze szkodą dla podróżnych, którzy pod dachem owych przybytków byli bodaj mniej bezpieczni niż w szczerym stepie.

Mimo to zajazdy, choć nie nazbyt licznie, były odwiedzane przez znużonych długą i niespokojną drogą wędrowców, najczęściej kupców pragnących po wielu nocach spędzonych pod gołym niebem odpocząć w prawdziwym łóżku i zjeść przyzwoity posiłek. A że kupiecka profesja nie należała do najbezpieczniejszych, kupcy bywali równie bezwzględnymi wojownikami jak ci, którzy ostrzyli sobie zęby na ich towar. Często więc w gospodzie siłą zdobywano prawo do wytchnienia.

Salę jadalną w karczmie trudno było nazwać przytulną. Ponura, ciemna izba z długą ławą, biegnącą od szynkwasu do jedynego w izbie, malutkiego okienka, zasnuta była cuchnącą mgiełką dymu, który wydobywał się z prymitywnego paleniska z krzywym rożnem, gdzie przypalał się właśnie podejrzanej świeżości ochłap. Wielu gości miał dziś gospodarz. Pod oknem z głowami opartymi o blat stołu drzemało dwóch eneków, w pobliżu szynkwasu rozsiadł się patrol straży granicznej. Trzej

znużeni marszem żołnierze postanowili widocznie rozprostować zdrętwiałe w siodle nogi i rozgrzać się miarką czegoś mocniejszego niż przydziałowa woda, a także umilić sobie dłużące się chwile służby spokojnym wypoczynkiem w zaciszu karczmy. Być może przywiódł ich tu rozkaz, może szukali kogoś podejrzanego. Trudno było to stwierdzić wchodzącemu do izby niepozornemu walowi, którego oczy czujnie zmierzyły hałaśliwą grupkę. Zerkając spode łba na żołnierzy, przybysz zajął miejsce pośrodku ławy i otulił się szczelniej szarą opończą, jakby przeszedł go dreszcz na wspomnienie pozostawionego za drzwiami chłodu poranka. Dowodzący patrolem podoficer uważnie przyjrzał się przybyłemu, po czym wrócił do rozmowy.

– Ja bym ich wszystkich kazał topić w Karii – podjął przerwany wątek.

– Przekłete karły za nic mają granice, przepływają rzekę, jakby to była struga w ich parszywym obejściu, a nie strzeżona rubież cesarstwa.

– Podobno ciało jednego z zabitych nosiło ślady miecza, a tych eneikowie nie używają – zauważył siedzący obok żołnierz.

– Tylko tego brakuje, żeby sprzymierzyli się z bandytami – mruknął dowódca.

– To dziwne, jak dotąd nigdy nie spotykało się mieszaných band. Może tu chodzi o coś innego? – drugi żołnierz pokręcił powątpiewająco głową.

– Ty, Tarrun, za dużo myślisz. Daruj sobie, od tego są zwierchnicy. Mamy szukać bandy eneików, która wyrznęła nasz patrol, to szukajmy – zgasił zapędy podwładnego podoficer.

– My tu sobie rozprawiamy, a może ci tam, pod oknem, maczali w tym palce? – żołnierz spojrzał groźnie na śpiących eneików i wolno podniósł się z zydła.

– Daj spokój, Niquam – Tarrun przytrzymał go za połkę. – Musiało być ich więcej, przecież we dwóch nie wybiliby czteroosobowego oddziału. Zresztą, nawet garnatów nie mają.

– Nie bądź naiwny – Niquam usiadł ponownie, chociaż argumenty kolegi nie przekonały go. – Mogli przyjść tu na przeszpiegi. Oni wszyscy siebie warci. Czy to tak trudno zostawić gdzieś noże i udawać kupców?

– To, co mówisz, wcale nie jest głupie – dowódca patrolu podejrzliwie popatrzył w stronę okna. – Może to rzeczywiście kupcy, lecz sprawdzić nie zaszkodzi.

Podszedł do drzemiących. Potrząsnął za ramię siedzącego bliżej eneikę. Ten uniósł głowę i rozspanymi oczami, w których dopiero budziło się zdziwienie, zmierzył stojącego nad nim żołnierza.

– Przykro mi, że cię budzę, przyjacielu, lecz muszę sprawdzić wasze listy kupieckie – powiedział podoficer.

Eneika ziewnął szeroko i przeciągnął się, po czym niespiesznie sięgnął do podręcznej sakiewki. Wydobył wymięty zwój przybrudzonego płótna i podał go strażnikowi. Dowódca patrolu przejrzał pobieżnie list, zatrzymując dłużej wzrok na pieczęciach wiz wjazdowych. Najświeższe nosiły herb namiestnika Satty. Oddał dokument właścicielowi i kiwnąwszy niedbale głową, wrócił do towarzyszy.

– To rzeczywiście handlarze – powiedział, siadając.

– Przepraszam, że się wtrącam – odezwał się milcząco do tej pory przybysz. – Słyszałem waszą rozmowę i za-

ciekawiła mnie, a także zaniepokoiła, opowieść o napa-
dzie. Czy mógłbym wiedzieć, o co chodzi?

Niquam zmierzył go wzrokiem i spytał surowo:

– A ty coś za jeden?

– Jestem Tenas, rycerz z Uzya. Jadę do Ahdii, na ce-
sarski dwór, i chciałbym dojechać bezpiecznie. Z tego, co
mówicie, nie jest to takie pewne.

– A nie jest, nie jest... – uśmiechnął się dowódca. –
Trzy dni temu nad Karią znaleziono wycięty w pień pa-
trol naszej straży. Wygląda to na robotę eneików.

– Słyszałem coś o ranach od miecza... – zauważył po-
dróżny.

– A tak, rzeczywiście... – podoficer niechętnie rezy-
gnował ze swej teorii. – Jeden z naszych poległ od mie-
cza. Za to trzej pozostali mieli typowe rany zadane gar-
nagami.

– Hmm... zagadkowa historia... – zastanowił się rycerz
z Uzya. – Jak mi wiadomo, eneikowie nie noszą mie-
czów. Na co dzień używają tylko noży, a w razie ko-
nieczności młotów i toporów. Czyżby nie byli sami?

– Mogło się zdarzyć, że dla jakichś ciemnych celów
sprzymierzyli się z którąś z lokalnych band – wtrącił żoł-
nierz imieniem Tarrun.

– Gdzie to się stało?

– Niespełna dzień drogi stąd na północ, w odludnym
miejscu nad brzegiem Karii. Na piasku znaleziono ślad
łodzi, musieli przybyć z tamtego brzegu.

– Jak wielu ich było?

– Nie wiadomo dokładnie, lecz to niezbyt liczna ban-
da. Mają kilka irmanów. Znaleziono także ślady dużego
kuara, ale musiało to być dzikie zwierzę, zwabione zapa-
chem krwi.

– Irmany u eneików? I ślady drapieżnika... – mruknął do siebie podróżny. – Chyba rzeczywiście skumali się z valami – powiedział głośno.

– Tak, im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje się to prawdopodobne – odpowiedział podoficer. – Jeśli tak jest, ciężiej będzie z nimi walczyć. Do tej pory zachodnie granice były dla tutejszych band niedostępne.

Tenas w zamyśleniu pokiwał głową i po chwili milczenia powiedział:

– Dziękuję za informacje. Będę musiał zachować ostrożność, nigdy nie wiadomo, co im jeszcze może przyjść do głowy.

– No cóż, panie, pogranicze nigdy nie było bezpieczne, szczególnie dla samotnych wędrowców – odrzekł dowódca. – Radzę zaczekać w karczmie na jakiś większy tabor i dołączyć do kupców. My, niestety, nie możemy ci towarzyszyć, rozumiesz, służba.

– Dziękuję za dobrą radę, lecz pilne sprawy nie pozwalają mi na dłuższą zwłokę. Odpocznę tylko nieco i ruszam w dalszą drogę.

– Twoja sprawa. Niech Mau strzeże twej ścieżki, byś nie podzielił losu tamtych.

– Przyjacielska przestroga warta jest wdzięczności – uśmiechnął się rycerz. – Wypijmy na mój koszt. Gospodarzu, wymień te dzbany na pełne! – kiwnął na karczmarza.

Dochodziło południe, gdy strażnicy, chwiejąc się mocno w siodłach, ruszali w drogę. Szary wędrowiec obserwował ich wyjazd, stojąc w drzwiach gospody i machając dłonią w pijackim pożegnaniu. Kiedy żołnierzy skrył zagajnik, rycerz skierował się w stronę stajni. Z jego twarzy zniknął mętny uśmieszek, a wzrok odzyskał

trzeźwość. Dosiadł irmana i ruszył galopem w przeciwnym niż patrol kierunku. Gnał jakiś czas gościńcem, a gdy zajazd zniknął za horyzontem, zjechał w step. Tu zatrzymał wierzchowca. Z torby przy siodle wydobył kawał sznura. Pracowicie wiązał na nim węzélki, odmierzając odległość palcami. Potem spod derki wyciągnął malutką klatkę z zakapturzonym uqirri. Opasał mu szyję sznurem i, zdejmując kaptur z łebka, wyrzucił w powietrze. Oślepiiony blaskiem ptaszek zakołował, bijąc rozpaczliwie skrzydłami, po czym odzyskawszy orientację, odleciał na południe. Rycerz patrzył chwilę za nim, a później podążył kłusem w tę samą stronę.

Tymczasem w gospodzie po wyjściu hałaśliwej gromady pozostali tylko eneikowie. Obaj do tej pory spokojnie drzemali, jakby nie docierał do nich gwar rozmów biesiadników. Dopiero gdy drzwi zamknęły się za ostatnim z nich, jeden z kupców podniósł głowę i wyjrzał przez okienko. Przyglądał się wymarszowi straży, potem pospiesznemu odjazdowi szarego rycerza. Gdy ten skrył się w kurzu gościńca, eneika również opuścił karczmę. Przez chwilę widać było jego kudłatą czuprynę, migającą wśród traw, aż wreszcie zamarł wszelki ruch i zajazd pogrożył się w sennym i cichym letargu.

*

Noc zapadła nagle. W ciągu niewielu chwil niebo poczerniało i między horyzontami rozsypały się gwiazdy. Na zachodzie, tuż nad linią ledwie widocznego lasu, błysnęła krwawo jasna iskra Rotha. Dzienna gwiazda czerwonego zuaru podczas panowania swego złotego brata przemieniała się w słabą latarenkę-przewodniczkę cier-

piących na bezsenność i tych, którzy noc woleli od poranka. Powietrze chłodziło z wolna, lekki wschodni wietrzyk wywiewał ze stepowych zakamarków resztki żaru. Ożywała wypalona dzienną spiekotą trawa, coraz śmielej szumiało w niej budzące się nocne życie.

W powszedni szept zmierzchu wkradły się obce głosy. Trzasnął złamany patyk, zaszeleściła gnieciona trawa. Z mroku wyłonił się długi wąż ciemnych postaci, który wnet rozsypał się w tyralierę wokół płytkiego jaru. Cienie podpełzły nad jego skraj i zastygły w bezruchu, oczekując znaku.

Ognisko przygasało. Valowie układali się do snu, przy palenisku pozostał jedynie To-sar i jego eneikowie. Milczeli. To-sar zapatrzył się w gasnący płomień. Myślał o otrzymanych wieściach. Nie były dobre. Iserscy skrytobójcy wpadli na ich ślad. Doskonale zdawał sobie sprawę, że dogonią ich prędzej czy później. Dotąd wszystko szło w miarę gładko, siatka informatorów działała sprawnie. Niepotrzebne było jedynie to starcie nad Karią. Bractwo spełniło jego żądania. Dyskretna opieka Zabójców chroniła dotąd wędrowców przed niespodziankami i To-sar nie musiał sięgać do ostatecznego środka. Był z siebie dumny, zdołał wydrzeć Ławie jej największy sekret. Zazdrośnie strzeżony od zamierzchłych czasów, nieużyty nawet w najcięższych terminach eneickiej historii, dzisiaj służył jemu – niewiele znaczącemu, niedawno nobilitowanemu Geue. Bo jemu Trorr-ud dał szansę wpływu na dzieje Loinu.

Ledwie powstrzymał się od zajrzenia do torby i choćby dotknięcia Yorvilla. Nie wolno mu było tego uczynić. Moc kamienia była ograniczona, każdy kontakt z dysponentem pozbawiał kryształ części duszy. To-sar wiedział

o tym dobrze, ale czuł się jak dziecko niespodziewanie obdarowane najskryciej wymarzonym prezentem.

Gdzieś w górze, powyżej zrębu jaru, zaskrzeczał hiiu-dihe. Czego szukał ten nocny, leśny łowca w szczerym stepie, skąd co najmniej ćwierć dnia lotu dzieliło go od przeznaczonego mu przez naturę terytorium? Skąd się tu wziął...? To-sar wyprostował się gwałtownie i poszukał wzrokiem ochrony. Eneikowie również zwrócili uwagę na ten głos. Obaj zerwali się na nogi i z natężeniem wpatrywali w ciemność.

Mroczne sylwetki zsuwały się bezszelestnie po stoku. Triumf zagościł w sercu Esighena. Tym razem nie mogą się wymknąć. Wiele dni uporczywych poszukiwań, węszczenia po najbardziej zapadłych kątach Przedgórze, dziesiątki przekupionych i dziesiątki bezcelowych śmierci – to wszystko miało dziś zostać spłacone. Nie miał sobie nic do zarzucenia. Podrażniona niepowodzeniami ambicja kazała mu wykorzystać wszystkie atuty. Zawsze wierzył, że nieuchwytny zbieg w końcu potknie się i on, Esighen, zwycięży. Sprawa przedłużała się jednak ponad miarę, bękart okazał się sprytny bądź miał więcej pomocników, niż wysłannik Asti przypuszczał. To budziło w kapitanie nienawiść, która sprawiała, że nieznany mu uciekinier stał się jego osobistym wrogiem. A to znaczyło, że tylko jeden z nich mógł w tej rozgrywce zwyciężyć. Esighen rzadko poddawał się podobnym emocjom, raczej podchodził do postawionych zadań z obojętnością. Tym większą radość sprawiał mu teraz nadchodzący sukces. Patrzył przez chwilę w mrok wchłaniający ostatnich szarych, po czym wolno ruszył za nimi.

Stali skupieni wokół wierchowców, z uwagą wsłuchując się w panującą dokoła ciszę. Rozbudzeni walowie

niedowierzająco zerkali na To-sara, bowiem nie działało się nic. Vortar miał już na końcu języka cierpką uwagę pod adresem eneiki, gdy nagle zatrzeszczały gałęzie i przed nimi, w mroku, zamajaczył szereg biegnących w milczeniu sylwetek. Zgrzytnęła dobywana broń. To-sar podniósł rękę.

– Nie ruszać się z miejsca! – krzyknął i rzucił komendę eneikom. Obaj Zabójcy z młotami i garnagami w dłoniach skoczyli naprzeciw wrogom.

– Teraz za mną – rozkazał Irga.

Posłusznie zanurzyli się w krzewy. Wyrosła przed nimi niemal pionowa ściana piaskowego osuwiska. Mniej więcej w połowie stoku dojrzeli zsuwających się pośpiesznie w ich kierunku napastników. Z tyłu dobiegły do ich uszu odgłosy walki. To eneikowie z ochrony toczyli bój. Rozglądali się bezradnie, szukając drogi ucieczki. Przeciwnicy byli już na dole. Z bojowym okrzykiem Iserów natarli na grupkę stłoczonych valów. Już błysnęła w poświacie Rotha uniesiona broń, a oręż broniących szykował się do pierwszej riposty, gdy w dłoniach To-sara pojawił się lśniący kamień. Irga uniósł go wysoko nad głowę i przenikliwym głosem wykrzyknął jedno słowo.

Silne pchnięcie jakby rozprężającego się raptownie powietrza rozrzuciło atakujących na boki. Kiedy oszołomieni upadkiem powoli zbierali się z ziemi, w miejscu, gdzie przed chwilą valowie i eneika szykowali się do beznadziejnej obrony, nie było nikogo.

*

Rozciągnięta kolumna maszerującej armii wiła się jak długi wąż, to ginąc, to pojawiając się wśród pagórków.

Przestrzeń między tylną strażą a ciągnącym za wojskiem orszakiem wypełniał potężny obłok kurzu, leniwie wirujący w nieruchomym powietrzu. Wzbity nogami zwierząt i piechoty pył tworzył mglistą, jakby niematerialną barierę, która przesłaniała okolicę. Drobinę piachu i kurzu sprawiały, że widoczne ze szczytu wzgórza czoło kolumny wydawało się odcięte od reszty przez ów ścielący się poniżej wzniesienia rdzawy tuman. Jak gdyby chmura spadała z nieba i leżała w kotlinie.

Zza pylistej zasłony wypadał co jakiś czas pokryty kurzem jeździec. Dowódcy pułków zgodnie z rozkazem utrzymywali stałą łączność z książęcym orszakiem. Asti chciał być informowany o sytuacji, bowiem armia wkraçała na ziemię kontrolowane przez najeźdźców. Penetrujący teren przed wojskiem szperacze nie natrafili dotąd na wrogie oddziały, o ich obecności świadczyły tylko zgłiszcza domostw i rozkładające się na słońcu, potwornie okaleczone zwłoki ich mieszkańców. Burzyła się na ten widok krew iserskich wojowników, zmieniając zwyczajny przed bitwą bojowy animusz, połączony z podnieceniem i strachem, w zapiekłą, ponurą nienawiść. Doświadczając tego nawet taki wyga jak Asti, bo chociaż wyrósł w walce, nie potrafił obojętnie patrzeć na straszne skutki najazdu. Nigdy dotąd mieszkańcom tej ziemi widmo wojny nie zajrzało w oczy z tak bliska, nigdy książęca armia nie dopuściła do rozpanoszenia się najeźdźców w samym sercu państwa. Chłodno analizując swe uczucia, Asti był niemal zadowolony z okrucieństwa wroga, gdyż determinacja żołnierzy czyniła ich bardziej wartościowymi. Taką armię trudno będzie pokonać, jeśli tylko nie wmieszają się tornowie. Fanatyzm zawsze był najgroźniejszą bronią.

Jego spojrzenie powędrowało ku książęcej lektyce. Tak, wiele będzie zależało od tego, który leniwie rozparzy na poduszkach ucina sobie drzemkę lub gwarzy o niczym z towarzyszącymi mu dworakami. Armie miał książę potężną, najpotężniejszą, jaką zdolne było wystawić księstwo Iserii. Czy jednak wystarczy mu odwagi, by w chwili próby zdobyć się na samotny pojedynek z najgroźniejszym wrogiem? Asti nie dopuszczał do siebie myśli, że może być inaczej. W przeciwnym wypadku cały wysiłek włożony w przygotowanie kampanii poszedłby na marne i najstraszliwsza z klęsk zawisłaby nad tą ziemią.

Ostatniego dnia przed wymarszem kazał złożyć ofiarę Mau. Odpowiedź bogini nie była jednoznaczna. Wprawdzie Giveen, pierwszy kapłan księstwa, wszystkie znaki przetłumaczył jako symbole zwycięstwa i taką wykładnię podano zgromadzonemu przed świątynią tłumowi, jednak Asti zbyt często miał okazję uczestniczyć w misterium poświęcenia, by dać się zwieść zawiłym słowom kapłana. Drobne szczegóły, nieuchwytne dla gawiedzi oszołomionej atmosferą świątyni i dymem kadzidlanej mieszanki odpowiednio dobranych i spreparowanych ziół, nie uszły wprawnemu oku lorda. Ciemność wciąż okrywała przyszłość, co nie było pomyślną wróżbą.

Na drodze znów pojawił się łącznik. Pochylony nisko nad grzbietem czarnego jak smoła kiseta mknął w kierunku dworskiego taboru. Widać było, jak płazem miecza pogania zwierzę do jeszcze szybszego biegu, choć rumak pędził ostatkiem sił. Coś musiało się stać, ten pośpiech nie był naturalny. Asti spiął kiseta i skoczył mu naprzeciw.

Posłaniec zdarł wodze. Wierzchowiec przysiadł na zadzie. Z jego pyska sączyła się strużka krwawej śliny.

– Są, panie! – wydyszał jeździec.

– Kto? – Asti podjechał bliżej.

– Duży oddział Minnów, wspomagany ghotami!

– Jaśniej! Ilu?

– Według wstępnego szacunku około czterech tysięcy walów i pięć sotni ghotów.

– Gdzie?

– Dwa dni jazdy przed czołem armii. Leżą obozem w pobliżu osady Tigge.

– Wiedzą o nas?

– Złapaliśmy Minna. Mówi, że dotarli do nich wieści o wymarszu wojska, lecz nie wiedzą, jak daleko jesteśmy. Rozesłali czujki, ten schwytany był jedną z nich.

– Wobec tego musimy działać szybko – Asti skinął na dowódcę książęcej gwardii. – Jedź do księcia. Zдай mu relację z tego, co słyszałeś, i powiedz, że obejmuję dowództwo armii.

– Tak, panie – oficer zawrócił kiseta.

– Czy wiadomo, kto dowodzi Minnami? – Asti ponownie zwrócił się do posłańca.

– Lord Gebron, panie.

– Dobrze. Dołącz do orszaku. Gdy odpoczniesz, wrócisz do pułku.

Ostatnie słowa Asti rzucił już w galopie. Za nim jak cienie skoczyli dwaj adiutanci i po chwili cała trójka zanurzyła się w pylistym obłoku.

Niski, garbaty oficer w randze pułkownika wyjechał im naprzeciw. Był to Toemih, dowódca awangardy.

– Witaj, szlachetny Asti. Czy mój wysłannik dotarł do ciebie?

– Tak. Jakie pułki szły za tobą?

– Jako pierwszy lorda Envi, potem czarno-żółty, lekki z Vinv, książęcy Rotha...

– Wystarczy. Wyślij gońców do ich dowódców. Niech podciągną z wojskiem do straży przedniej. W południe chcę ich mieć na naradzie. To wszystko.

O wyznaczonym czasie pojawili się w komplecie. Patrząc po ich twarzach i nagle poczuł się stary. Ta starość malowała się w rysach wojowników – jego towarzyszy broni od czasu, gdy zdołał unieść w ręce miecz. Oto Envi, bohater z pól Cobi, jego pułk wślawił się osłoną odwrotu spod straconej twierdzy; Oteiron, dowódca straszego pułku, którego barwy wywoływały u wrogów trwałą niechęć do czerni i żółci; pułkownik lekkiej chorągwi z marchii Vinv, Griss, obok barona Envi najśłynniejszy mistrz wojny podjazdowej, i wreszcie lord Ulloth, chyba najbardziej palący się do walki, bowiem nad jego rodem, gałęzią czerwonych władców, zawisła hańba wyklętego Ivirotha. Największym sentymentem Asti darzył chorągiew Oteirona, w niej bowiem stawiał pierwsze żołnierskie kroki, zanim stał się godzien szczytu wstąpienia w szeregi rodowego pułku. Oteiron był jego rówieśnikiem. Razem zaczęli służbę, obok siebie toczyli pierwsze bitwy. Potem ich drogi rozeszły się. Asti z racji urodzenia awansował na oficera pułku z wizerunkiem Jasti na proporcu, Oteiron pozostał wierny czarno-żółtym barwom. Ich wzajemny stosunek był zawsze bardzo bliiski przyjaźni.

Otrząsnął się ze wspomnień. Nie było czasu na sentymenty, należało działać.

– Wiecie, po co was wezwałem – powiedział. – Przedstawię mój plan, a potem wysłucham waszych opinii.

Czekali, milcząc. Pięciu starców, którym nigdy nie były dane beztrioska młodość i spokojny wiek dojrzały. Obserwował ich jeszcze chwilę i zaczął:

– Cztery pułki Minnow leżą tu – Asti końcem miecza narysował punkt na piasku. – Spróbujemy wyciągnąć ich z obozu. Jako przynęta pójdzie ze swą chorągwią lord Griss. Gebron jest łasy na łatwe zwycięstwa, powinien nabrać się na samotny pułk. Liczę, że rzuci przeciw wam ghoty i ze dwa tysiące valów. Wtedy Grissowi pomoże Toemih, który uprzednio zajmie pozycje tutaj – kreślił linie na zaimprovizowanej mapie. – Siły powinny być wyrównane, aby Minnowie z obozu byli zmuszeni ruszyć w sukurs swym ziomkom. Podkreślam: nie wolno wam uzyskać dużej przewagi, by nie przyszła im do głowy myśl o wycofaniu się. Czy to jest zrozumiałe?

Obaj pułkownicy skinęli głowami.

– Gdy Minnowie opuszczą obóz – ciągnął Asti – uderzymy z obu skrzydeł – szpic miecza kreślił plan. – Lord Ulloth od północy, Envi z południa. Czarno-żółty przetrnie drogę odwrotu do taboru. Atak na tyły będzie ostatnim w kolejności i musi odbyć się w dokładnie określonym momencie. Dlatego ja pójdę z Oteironem i sam go poprowadzę. To wszystko. Czekam na pytania.

Odezwał się Envi:

– Co będzie, jeżeli Minnowie zostawiają część wojska w obozie? Będziesz ich miał za plecami.

– Jeśli nawet tak będzie, po waszym uderzeniu odwód albo przyjdzie z pomocą głównym siłom, albo wycofa się. Nie zaatakujemy, zanim wszystkie siły Minnow nie będą zaangażowane w walce. Jeśli odwód się wycofa,

uderzymy na nich, wam pozostawiając resztę. Być może wystarczy rzucić przeciw uciekającym tylko część pułku. Zdecyduję w trakcie bitwy.

– Co z jeńcami? – zapytał Toemih.

Asti zastanowił się. Nie, to zbyt opóźni przemarsz armii.

– Brać tylko wyższych oficerów – odpowiedział zimno. Dalszych pytań nie było.

*

Długi rząd jeźdźców wyłonił się z zagajnika. Wyjechali na grzbiet wzgórza i zatrzymali się. Widocznie zmęczeni drogą zamierzali rozłożyć się tu obozem, bo niektórzy już zsiadali z wierzchowców i wyciągali z troków sakwy z prowiantem. Tak to musiał zrozumieć przypnięty w krzakach brodaty val, bo obserwował pułk jeszcze przez jakiś czas, po czym ostrożnie opuścił schronienie i, kryjąc się w trawie, popędził w step.

Rycerze lekkiego pułku z Vinv krzątali się na wzgórzu, pozorując zakładanie biwaku. Spojrzenia biegły ku zachodowi, skąd spodziewali się nieprzyjaciela. Ich dowódca nie zsiadł z wierzchowca. Bacznie lustrował okolicę, przyglądał się wojownikom, pilnując, by w odgrywanej farsie nie posunęli się za daleko. Muszą być gotowi do natychmiastowego działania, inaczej plan Astiego mógłby zostać zniweczony.

Ze szczytu sąsiedniego pagórka poderwał się ptak. Skrzecząc przenikliwie krążył nad wzgórzem, to opadając tuż nad trawę, to znów wzbijając się. Griss z napięciem popatrzył w jego stronę. Tak, nie mylił się. Ptaka spłoszyło coś, co pęzło teraz ku nim wśród wysokiego

łanu, zakłócając łagodne falowanie traw nieznaczną kontrfalą. Zmierzył wzrokiem jej długość. Opasywała miejsce ich postoju szerokim łukiem, którego końce coraz wyraźniej zaginały się ku sobie. Nadszedł czas. Wykonał nieznaczny ruch dłonią. Na ten sygnał wojownicy, snujący się dotąd leniwie, powoli skierowali się do swych wierzchowców. Po chwili stali z jedną nogą w strzemieniu i czekali na znak dowódcy.

Fala rozkołysanych traw zsunęła się w dolinkę między wzgórzami. W powietrzu zadźwięczał chrapliwy wrzask i nagle step ożył. Półkolem ruszyła na Iserów ława czarnych sylwetek. Ghoty, rycząc i wymachując bronią, z olbrzymią szybkością wspinały się pod górę. Griss uniósł się w siodle. Jego sygnałówka wydała przenikliwy świst.

W jednej chwili zdawałoby się bezładnie rozrzuconemu na wzniesieniu żołnierze znaleźli się na grzbietach rumaków i stanęli w szyku bojowym. Na ten widok ghoty jakby zawahały się. Ich impet nieco zmalał, a dowódcy sotni poczęli spoglądać za siebie. Widocznie stwory zdały sobie sprawę, że stanowią zbyt małą siłę przeciw tysiącowi jazdy. Ich obawy rozwiąła wyłaniająca się zza grzbietu pagórka tyraliera.

Minnowie już puścili irmany w galop. Ziemia zadrżała pod uderzeniami tysięcy kopyt i potężna nawałnica jeźdźców runęła w kierunku wciąż stojącego pułku. Po chwili Minnowie dopędzili ghoty, w które wstąpił nowy duch. Z krzykiem wojsko Durlocku ruszyło na przeciwnika.

Nadszedł moment, na który czekał Griss. Kolejny gwizd i kusze wojowników podniosły się do ramion. Chmura strzał pomknęła na spotkanie atakującym. Zmieszały się na chwilę szeregi, lecz już wyrwy w szyku wy-

pełniły się żołnierzami z drugiego rzędu. Griss wyszarpnął miecz z pochwy. Sformowany w klin pułk z nisko opuszczonymi pikami z miejsca ruszył galopem i pomknął w dół po zboczu.

Starli się z łoskotem. Zanim jednak przemieszały się szyki obu walczących stron, rycerze lewego skrzydła pułku z Vinv, którzy naprzeciw siebie mieli sotnie gho-tów, niespodziewanie jak jeden mąż zniknęli z siodeł. Uwolnione od jeźdźców kisety z rykiem rzuciły się na czarne szeregi potworów. Teraz na nic zdała się umiejętność władania maczugami, młotami, mieczami i inną bronią, którą nabyły owe drapieżne istoty. Zostały zmuszone do walki na swój pierwotny, zwierzęcy sposób: pazury przeciw pazurom, kły przeciw kłom. Zakotłowały się sotnie, zniknął żołnierski dryl. Jeden wielki kłęb kosmatych grzbietów przetoczył się po stepie w dolinę, załamując szyk nacierających Minnow i niszcząc linię okrażenia. Ryk, pisk, rżenie przegryzanych gardeł i żalosny skowyt ginących uniósł się nad walczącymi zwierzętami, głuszac nawet szczęk broni walów.

Sytuacja Iserów nie była dobra. Po pierwszym zaskoczeniu Minnowie odzyskiwali z wolna przewagę. Z górą dwukrotnie większa liczba wojowników zamknęła wkrótce pułk szczelnym pierścieniem i chociaż rycerze oraz ich rumaki dokonywali cudów męstwa, sił przecież ubywało i coraz bardziej kurczył się krąg atakowanych. Nagle na tyłach Minnow wybuchło zamieszanie. Rycerze pośpiesznie zawracali wierzchowce ku nowemu przeciwnikowi, który niespodziewanie wyłonił się z zagajnika. Ciężka chorągiew Toemiha szła cwałem, migotały pancerze i łopotały proporce na włóczniach. Uderzenie było piorunujące. W mgnieniu oka rozerwał się krąg wokół

broniącego się pułku z Vinv. Pancerni odrzucili strzaskane kopie i dobyli mieczów.

Obraz bitwy zmienił się całkowicie. Siły zostały wyrównane. Iserowie dzięki impetowi pułku Toemiha używały nawet lekką przewagę. Powoli spychali Minnów w kotlinę.

*

Lord Gebron ze spokojem oczekiwał wieści z pola bitwy. Dwa tysiące jazdy wraz z ghotami powinno łatwo poradzić sobie z pojedynczym lekkim pułkiem Iserów. Jak sądził, wielka armia księstwa, o której już mu doniesiono, wysłała tę chorągiew na rozpoznanie. Zwycięstwo przyhamuje nieco marsz głównych sił, a poza tym przysporzy mu sławy. Gijajastisso nie pożałuje zaszczytów i udziału w łupach swym najdzielniejszym dowódcą. A że będzie to udział znaczny, Gebron nie wątpił ani przez chwilę. Król chlubił się przecież szacunkiem tornów, Timuer Dann zaszczycał go nawet przyjaźnią. Warto więc wykazać się inicjatywą, zwłaszcza że nie kosztuje to zbyt wiele wysiłku. Wszak podbite Przedgórze będzie potrzebować władców, a to może oznaczać... Gebron poczuł, że za daleko zapędził się w marzeniach. Jeszcze chwila, a ujrzałby swych synów w aureolach Rotha lub Jasti. Powrócił do rzeczywistości. Na razie należało zwyciężyć Iserię, co nie będzie proste, gdyż tornowie nie kwapią się angażować w kampanię. A przecież ich udział mógł przyspieszyć zwycięstwo. Gebron nie mógł odgadnąć motywów postępowania władców Durlocku. Wszak wykrywają armię w ciężkich bojach. O ileż dalej byli-

by dzisiaj, gdyby włączyli się tornowie! A może o to chodzi...?

Gwar przed namiotem przerwał rozmyślania. U wejścia stanął adiutant.

– Panie – z ukłonem zwrócił się do wodza – przybył goniec z pola bitwy.

– Wprowadź go natychmiast! – Gebron poderwał się z posłania.

Do namiotu wszedł brudny, zakrwawiony val. Ciężko dysząc zatrzymał się na progu i skłoniwszy głowę oczekiwał przyzwolenia. Gebron kiwnął na niego.

– Mów, już po wszystkim?

Posłaniec zbliżył się. W jego spojrzeniu naczelnego wodza nie znalazł radości zwycięstwa.

– Niestety, panie, walka jeszcze trwa. Co gorsza, szala przechyła się na stronę Iserów.

– Jak to?! – Gebron chwycił żołnierza za ramiona. Ten skrzywił się z bólu, lecz ciągnął dalej: – Mieliśmy ich już w saku, choć początkowo chytrym manewrem wyeliminowali z bitwy ghoty: rzucili na nie kisety. Mimo to wydawało się, że nie unikną klęski, gdy przybył im na pomoc pancerny pułk. Uderzyli z tyłu i rozerwali okrążenie. Kiedy pułkownik Ethor wysyłał mnie z wiadomością, nasi cofali się. Pułkownik prosi o posiłki, bo porażka wisi w powietrzu...

Gebron nie słuchał dalej. Czyżby tak wspaniała okazja miała mu się wymknąć z rąk? Nie mógł do tego dopuścić! Wybiegł przed namiot. Usłużny adiutant natychmiast przyskoczył do niego.

– Wszyscy pod broń! – krzyknął Gebron. – W obozie zostaje stu jezdnych, reszta na irmany! Ethor pokpił sprawę!

Dwa pułki bezładnymi grupkami opuszczały tabor. Dopiero w polu, jako tako uporządkowawszy szeregi, poczęły formować szyk bitewny. Gebron był wszędzie, płazem miecza poganiał maruderów, którzy na widok gniewu wodza nabierali wielkiego zapału do walki. Po chwili irmany rozpedziły się i jazda ławą ruszyła na odsiecz swym pobratymcom.

*

– Wyszli, panie! – zziębnięty obserwator dopadł Astiego.

– Wszyscy?

– Została może setka. Reszta pognęła na pomoc swoim.

– Dobrze. – Asti zwrócił się do adiutanta: – Daj znak Ullothowi i Enviemu, niech zaczynają. I wezwij tu zaraz Oteirona.

Stary pułkownik zjawił się przed wodzem po kilku chwilach.

– Wezmiesz trzystu żołnierzy z twego pułku i pójdziesz na obóz – rozkazał Asti. – Nie wcześniej jednak, niż zamkniemy okrążenie. Gdy zobaczysz, że atakuje, uderzaj i ty.

– Tak, panie – twarz Oteirona rozjaśnił drapieżny uśmiech.

Zza wzgórz dobiegła do ich uszu wrzawa. Doświadczeni wojownicy bez trudu odgadli, co dzieje się na polu walki.

– To Envi i Ulloth – powiedział Asti. – Zaczynajmy więc. Na kisety! – rzucił komendę.

Pułk ruszył. Uformowany w bojowy klin parł przez trawę jak rozpędzony taran. Po chwili przed włóczyniami wojowników ukazał się ogromny, rozfalowany w śmiertelnych zmaganiach tłum. Widać było, jak zbija się coraz bardziej, jakby ściskany potężnymi obcęgami. Szczęki tych obcęgów stanowiły dwa pancerne iserskie pułki, zaś zgniatany bezlitośnie środek – zaskoczony w biegu odwód Minnów. I jak z włożonego między wielkie szczypce świeżego, miękkiego owocu, tak z owych kleszczy zaczęły wyciekać pierwsze krople miazdzonego mięszu: pojedynczy jeźdźcy, grupki, wreszcie całe oddziały pędziły w panice przed siebie, nie widząc nadciągającej śmierci. A była tuż, czarno-żółty nabierał rozpędu, żadna siła nie mogła go zatrzymać. Zmiotł oddziały dezertarów i potężnym ciosem siedmuset włóczyni wbił się w ów rozpaczliwie broniący się środek. Przeszedł przez połowę zajmowanego przez wroga pola, po czym rozłamawszy się na dwoje, rozkroił go na części.

Od tej chwili bitwa zamieniła się w rzeź. Wojownicy Iserii poczęli bezlitośnie wycinać w pień słabo broniących się Minnów. Widząc to, Asti wycofał się z pierwszej linii. Jeszcze tylko pchnięciem miecza dobił rannego wala i pozwolił zamknąć się za sobą szeregowi krwawych żeńców. Należało dopomóc pułkom Grissa i Toemiha gdzieś tam, za linią wzgórz, zmagającym się z przeciwnikiem. Wydał rozkazy. Lord Ulloth wraz z czterystu rycerzami wycofał się z boju, to samo uczyniło blisko trzy setki żołnierzy czarno-żółtego pułku. Powstałą lukę natychmiast wypełnili ich towarzysze, nie zwalniając ani na chwilę tempa bitwy.

Asti zwinął zgromadzony oddział w szyk. Ruszyli pędem w stronę, gdzie dwie chorągwie wciąż trzymały w

szachu część korpusu Gebrona. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzeli, była ogromna sterta włochatych zewłoków. Na miejscu pogromu kręciło się kilkadziesiąt ocalałych kisetów, wspaniałą ucztą pieczętując swe zwycięstwo nad ghotami. Dalej, prawie już na dnie doliny, toczył się wolno ku nim żywy wał. Spychani systematycznie Minnowie nie oddawali pola bez walki, ciosem płacąc za każdy wrogi cios. Przesuwając się na zachód, bitwa zostawiała charakterystyczny ślad, wskazujący miejsce, skąd ruszyła w swój powolny marsz: setki trupów walów i zwierząt w skrwawionej, zdeptanej trawie.

Asti stanął w strzemiionach. Z jego ust wyrwało się bojowe zawołanie Iserów. Okrzyk powtórzyło kilkaset piersi i oddział z wrzaskiem runął na tyły Minnow. Ci stanęli zaskoczeni, zapominając na moment o siedzących im na karkach przeciwnikach, i w osłupieniu patrzyli w stronę, skąd przyjść miały posiłki, a skąd niespodziewanie walił ku nim grzebień pochylonych nad łbami kisetów włóczni. Na ten widok zgasł w wojownikach duch walki. Z krzykiem przerażenia pułki rozprysły się na boki, w panicznym biegu usiłując ocalić życie. Radość zwycięstwa ogarnęła Iserów. Z furią skoczyli za uciekającymi, siekąc bezlitośnie nie stawiających oporu wrogów.

Bitwa była rozstrzygnięta.

*

To było niepojęte... To nie chciało pomieścić się wśród poukładanych i zrozumiałych pojęć, burzyło jasny obraz rzeczywistości. Oto siedzieli na skałach, pod stopami kotłowało się morze, zaś w oddali, jak stado złotych

światlików, jarzyło się miasto. A przecież wczoraj... Tak, to chyba było wczoraj, chociaż czas także dziwnie się poplątał. Cóż więc wydarzyło się w tym umownym czasie, który trzeba nazwać "wczoraj", bo inaczej mogłaby zerwać się napięta do granic wytrzymałości nitka, która trzymała jeszcze świadomość poza granicą obłądu? Pamiętał graniczące z paniką zaskoczenie, gdy wyrwał ich z pierwszego snu alarm podniesiony przez eneików. Nie mieli właściwie szans, nie mieli nawet czasu, by przygotować się na śmierć. Poddali się woli To-sara bezwiednie, nie zastanawiając się, dlaczego mały Zabójca objął dowództwo. Potem nastąpił atak. Nie, to stało się, zanim szarzy uderzyli. Vortar ponownie ujrzał eneikę i to coś, co błysnęło w jego uniesionych wysoko dłoniach na moment przed... Właśnie, przed czym? To, co nastąpiło, trudno nawet nazwać, brakowało pojęć zdolnych wyrazić dziwny stan, w jakim się znaleźli. Też nie tak. Vortar nie pamiętał, by ktoś jeszcze trwał razem z nim w owym bezczasowym zawieszeniu. W tamtym momencie jego zmysły nie istniały. Zdawało się, że nie istniała również przestrzeń, że krople klepsydr zawisły nagle w pół drogi między przeszłym i przyszłym. Był sam.

Potem przybyli... Nie, zmaterializowali się wszyscy, jeśli nie liczyć dwóch milczących eneików, którzy z rozkazu To-sara położyli pewnie głowy w ich obronie. I teraz siedzieli na kamieniach, nie wiadomo jak długo, milcząc i spoglądając w stronę miasta.

Vortar zerknął na towarzyszy. Wszyscy trwali nieruchomo, wpatrzeni w dalekie światła Feneto. Jednak po dłuższej chwili spostrzegł, że co jakiś czas wzrok to Itiego, to Jastihoreno kieruje się ku skulonej na uboczu kosmatej istocie, zatrzymuje się na niej na moment i z peł-

nym zmieszania pośpiechem ucieka. On sam również złapał się kilkakrotnie na tym, że patrzy mimo woli na eneikę. Czuł strach. Zwyczajnie bał się To-sara, a raczej jego niezwyklej i niespodziewanej objawionej mocy, która przeniosła ich z serca stepu nad brzeg Oceanu Ciszego.

Nagle zabrzmiał cichy głos. Wszystkie głowy, jakby ich właściciele tylko na to czekali, równocześnie zwróciły się w stronę, skąd dochodził.

– Dawno temu – mówił monotonna To-sar – gdy Lo-in był szczęśliwym domem eneików, gdy jego stepów i puszczy nie deptały stopy intruzów, ze szczytu Kiddi-ro zstąpił między swój lud wielki Trorr-ud. Przyniósł dar, nagrodę za wierność: Czarny Kryształ. Miał on wspaniałą moc, nigdy do końca niezbadaną. Najwyższy złożył swój dar w podziemiach klasztoru Ibbomi, dziś to miasto nazywa się Sauth, by stamtąd jego siła opromieniała krainy eneików. Od tej chwili kamień stał się jedynym władcą mojej rasy. Pismo mówi, że cała natura poddała się jego panowaniu; woda, powietrze, ogień i ziemia, a także czas i przestrzeń służyły pokornie najpotężniejszemu panu. On kształtował naszą codzienność, on urabiał wszechświat według naszych pragnień. Wygnał wszelkie ciemne moce w najdalsze zakątki Pustyni Śmierci, okiełznał je i ukorzył. Jednak zło jest nieśmiertelne. Pewnego dnia poczerwiano niebo i zatrzęsa się ziemia. Z głębi pustyni przypłynął ognisty obłok. Okrył klasztor Ibbomi rozżarzoną kopułą i w siedzibie Czarnego Kryształu Pan Pustyni złożył swe jajo. W mgnieniu oka wylęgło się tysiące xinxów i rozpełzło po podziemiach, szukając kamienia. Na próżno bracia zakonni oddawali życie w obronie swego pana, na próżno główny kapłan powtarzał

w kółko przekazane przez Trorr-uda zaklęcia, które uruchamiały drzemiącą w kryształach siłę. Pustynia zrodziła monstra nieczułe na moc czarnego kamienia. Jedno tylko słowo działało jeszcze na kryształ i kapłan, widząc bezsens swej walki, wypowiedział je. Potężna eksplozja obróciła w ruinę klasztor, grzebiąc obrońców i napastników pod zwałami gruzu. Czarny Kryształ pękł na osiem części, znaleźli je eneikowie wśród szczątków twierdzy. Każdy z okruchów odziedziczył po swym protopłacie część jego mocy i mógł władać częścią wszechrzeczy, ale nigdy nie udało się połączyć kamienia w całość. Istnieje ponoć zaklęcie, które może to sprawić, nikt go jednak nie zna, bowiem księgi kapłanów Ibbomi zostały zniszczone. Walcząc i kłócąc się, eneikowie podzielili części Czarnego Kryształu między poszczególne plemiona i w ten sposób rozwiła się największa potęga, zdolna tworzyć własny model świata. Przez ellary większość okruchów zginęła, zostały tylko trzy, przynajmniej o tym wiem. Wdzieliście jeden z nich: to Yorvill, Władca Przestrzeni, szósty z ośmiu. Ława Strażników powierzyła mi go, bym doprowadził Itijastiego do celu. Niewiele mocy pozostało w kryształach, jeszcze dwukrotnie zdolny jest panować nad przestrzenią, zanim rozpadnie się w pył. Chyba że wcześniej odnajdzie swych siedmiu braci i zespoli ich zaklęcia. Chcę, byście docenili wagę tych słów. Jesteście bodaj jedynymi obcymi, którzy widzieli kamień i skorzystali z jego mocy. Taki bowiem jest udział To-sara w przeznaczeniu Oll-hirr.

– To-sar, czy wiesz coś o moim przeznaczeniu? – cicho zapytał Iti.

Eneika milczał długą chwilę, po czym odpowiedział:

– Jesteś kroplą, Itijasti, kroplą w oceanie historii. Dana ci jednak będzie szansa, byś stał się kroplą, która przebije skałę ciemności od ellarów drażoną przez wiele jej podobnych. Musisz do tego dojść sam, nikomu nie wolno wpływać na twe decyzje i otwierać ci oczu na cel widniejący przed tobą. Jeśli przejrzysz, zobaczysz swą drogę, a wtedy, gdy tylko wystarczy ci odwagi i wytrwałości, być może udźwigniesz ciężar, którego ogrom pojmiesz. Tak mówi Pismo eneików, święty zakon Trorr-uda. Jesteś już blisko, mały krok dzieli cię od tajemnicy, zrób go, jeśli potrafisz.

– I nic więcej mi nie powiesz?

– Po co? Tam znajdziesz odpowiedź – To-sar wskazał na kłębiący się aż po horyzont ocean. – Zresztą, niewiele więcej mógłbym ci wyjaśnić. Widzisz, ja znam historię Oll-hirr i wiem, jakimi drogami może potoczyć się przyszłość Loinu. Na jednej z tych ścieżek jest miejsce dla ciebie. Taka perspektywa zaciera szczegóły. – Eneika wstał. – Poza tym – dodał – musimy szykować się do drogi. Zaraz przybędzie łódź.

Łódź? Vortar westchnął w duchu. Najwyższy czas przestać się dziwić czemukolwiek, szczególnie wtedy, gdy macza w tym palce ten mały.

*

Zamczysko wyrastało jakby wprost z morza. Dopiero z bliska można było dojrzeć miejsce, gdzie na naturalnym skalnym bastionie wznosił się mur zbudowany rękami śmiertelnych. Jakże mizernie wobec ogromu kamiennego urwiska wyglądała przyklejona doń cieniutka kreska pomostu. Na końcu mola dojrzeli samotną postać

w czarnej sukni. Szowon czekał, stojąc nieruchomo, aż barka dobije do nabrzeża. Dopiero gdy pierwsi przybysze wyskoczyli na pomost, wolno zbliżył się do nich.

– Oni zostaną – wskazał na To-sara i eneików tworzących załogę stateczku.

Iti już otwierał usta, by zaprotestować, ale widząc gest Irgi, przemilczał skierowaną pod adresem eneików zniechęcenię. Kapłan, nie mówiąc więcej ani słowa, odwrócił się w stronę osadzonej w litej skale wąskiej furty. Uznali to za zaproszenie i podążyli jego śladem.

Otoczyła ich ciemność dusznego korytarza. Zatrzymali się, chcąc przyzwyczaić wzrok do panującej w nim ciemności. Mrok wkrótce rozproszyło światło zapalanej przez przewodnika pochodni, więc ponaglieni gestem ruszyli za nim. Tunel był długi, wędrówka zdawała się ciągnąć w nieskończoność, zanim stanęli przed drugą, bliźniaczą bramą. Po jej przekroczeniu znaleźli się na dnie wykutej w kamieniu misy. Miała kształt koła, na którego obwodzie paliły się ustawione gęsto olejne znicze. Powyżej, koncentrycznymi kręgami, wznosił się amfiteatr tarasów; kilka najniższych, podobnie jak dno, rzęsiście oświetlono. Mimo migotliwego światła szczyt amfiteatru ginał w mroku. Zdawało się, że sięgająca nieba skała nie ma końca.

Na tarasach ciemniały zwaliste bryły budowli. Ku jednej z nich, na trzecim od dołu poziomie, zdążył korowod cieni. Przed oczami przybyszów sunął szereg czarnych, zakapturzonych postaci, jakby tańczących w blasku setek ognia. Milczący orszak przeszedł skrajem tarasu i zniknął we wnętrzu budynku. Był to jedyny zauważony przez gości ruch. Gdy zamarł, wokół nich nic już nie zdradzało, że znajdują się na terenie największej świątyni

Loinu, źródła kultu Mau. A przecież gdzieś tutaj, w wydrążonych w skałę celach, żyło kilka tysięcy mnichów-strażników, tu miał swą siedzibę Ponnion, kapłan kapłanów, tu wreszcie mieścił się największy klasztor kasty Totoghi-Mau, z którego bogini zbierała należny jej haczech.

Ktoś w czerni wyłonił się z cienia. Podszedł do prowadzącego ich mnicha i gestem pozwolił mu odejść. Szowon wznosił obie ręce w rytualnym pokłonie i zawrócił w stronę furty. Skrzypnęły zawiasy, czarny habit zniknął w mrocznym korytarzu wejścia.

– Witajcie w domu pierwszej wśród bogów – odezwał się nowo przybyły. – Jestem Tass, kapłan-opiekun. Cóż sprowadza rycerzy Przedgórza w progi świątyni?

– Witaj, czcigodny Tass – Iti wysunął się przed towarzyszy. – Przybyłem, aby poznać swą przyszłość. Ci oto walowie to moi przyjaciele.

Tass patrzył na niego dłuższą chwilę, zanim zapytał:

– Sądzisz, że Święte Tablice zawierają wskazówki dla każdej, najmarniejszej drobiny, której zdarzy się zaistnieć wśród walów? Kim jesteś, że ośmielasz się szukać swej drogi w prorocत्वach wielkiej Mau?

– Nie wyrokuj, czcigodny, nie znając prawdy. Tobie, niestety, nie mogę jej wyjawić. Chcę rozmawiać z Ponnionem.

Kapłan zamilkł, jakby analizował odpowiedź. Widać brak natychmiastowej reakcji na usłyszane słowa był tu regułą.

– Stanie się wedle twojej woli – odrzekł wreszcie. – Przekażę prośbę pierwszemu słudze ołtarza. Jego decyzję poznasz niebawem. Tymczasem pójdźcie za mną, zaprowadzę was do kwatery.

Posłusznie ruszyli za mnichem. Byli zmęczeni, naraz wszyscy zdali sobie sprawę, że bardzo pragną snu. Cela, do której niebawem weszli, była ciemna i ponura, oświetlona jedną, osadzoną w ścianie pochodnią. W jej blasku ujrzeli cztery kamienne legowiska, wyściełane słomą i skórami.

– Rozgośćcie się. I wybaczcie ubóstwo, nie mamy tu wygod, do jakich przywykli przybysze z kontynentu – Tass skinieniem dłoni zaprosił ich do wnętrza. – Zaraz przyniosą posiłek.

– Dzięki, czcigodny. Jesteśmy wędrowcami i odwykliśmy od wygod. To, czego użyczył nam klasztor, w zupełności wystarczy – odpowiedział Iti.

– Żegnam wobec tego. Życzę spokojnej nocy. Spotkamy się rano, być może będę miał już odpowiedź Poniona.

Kapłan opuścił celę, a podróżni natychmiast po kolacji udali się na spoczynek. Zasnęli od razu, tylko Iti przewracał się jakiś czas z boku na bok. Podniecenie nie pozwalało mu zasnąć. Wkrótce miał się dowiedzieć, co wielka Mau ma do powiedzenia na jego temat: czy rzeczywiście jest tylko niegodnym wyrzutkiem, czy też jego przyjście na świat jest znakiem bogów, którzy wyznaczyli mu jakąś szczególną rolę. Usnął w końcu, a sen przeniósł go na faliste stopy Iserii, w bezpieczne i beztraskie dzieciństwo u boku staruszka Besitiego, w czas, który zamknął się za nim na zawsze.

Świt przedostał się do celi przez szczeliny w zasłaniającej wejście kotarze z niewyprawionych skór, znacząc jasnymi smugami brudne klepisko. W powietrzu wisiał ciężki zapach dymu wypalanej do końca pochodni, której

trzon tkwił jeszcze w uchwycie, zaś zwęglone okruchy kopciły na żelaznym popielniku.

Iti obudził się pierwszy. Dłuższy czas gapił się bezmyślnie w sufit, a jego duch z wolna wracał z nocnej wędrówki do rzeczywistości. Powoli przypominał sobie, gdzie jest i co ma przynieść nadchodzący dzień. Gdy dotarło to w końcu do jego świadomości, otrzeźwiał w jednej chwili. Usiadł na posłaniu i, masując zdrętwiałe od twardego łoża mięśnie, rozejrzał się dookoła. Jego druhowie jeszcze spali, ich zmęczenie okazało się silniejsze od ciekawości. Zresztą, to przecież była jego sprawa, trudno więc spodziewać się, by przeżywali to tak samo. Wstał i wyszedł przed próg.

Obok wejścia, na przestrzeni kilku kroków dzielących ich celę od sąsiedniej, ciągnęło się kamienne koryto. Płynęła w nim woda, która strumieniem ciekła z otworu w ścianie i, opływając rynnę, wpadała do dziury w dnie na drugim jej końcu. Iti z ciekawością obejrzał tę oryginalną umywalnię. Nigdzie dotąd nie zetknął się z czymś takim. Stały przepływ wody likwidował konieczność jej wymiany po kąpieli. Również spragniony zawsze mógł napić się z tego źródła. Pochwalił w myślach pomysłowość mnichów i postanowił zaraz wypróbować wynalazek. Rozebrał się do naga i wskoczył do koryta.

Aż mu dech zaparło. Woda była tak przeraźliwie zimna, że poczuł, jak drętwieje mu skóra. Strumień musiał wypływać wprost z podziemnego źródła, bo nie niósł ani odrobiny słonecznego ciepła. W pierwszej chwili miał ochotę wyskoczyć, lecz w miarę jak ciało oswajało się z lodowatą strugą, zaczął odczuwać coraz większą przyjemność. W końcu chlapał się i prychał jak rozbawione

dziecko, zmywając z siebie brud i kurz wielodniowej wędrówki.

Zajęty kąpielą nie zauważył nadchodzącego mnicha. Dopiero jego słowa przerwały mu rozkoszną zabawę.

– Witaj w nowym dniu – odezwał się Tass. – Widzę, że Jasti nie pozwolił ci długo spać.

– Ach, to ty, kapłanie – Iti przetarł dłonią mokrą twarz. – Wspaniała rzecz taka kąpiel. To nawet lepsze niż górski strumień.

– To woda z wnętrza góry. Ale nie o wodzie chciałem z tobą mówić.

Iti wyskoczył z koryta.

– Czy masz dla mnie odpowiedź kapłana kapłanów? – spytał, wciągając ubranie na mokre ciało.

– Tak, rycerzu. Czcigodny Ponnion czeka na ciebie przy śniadaniu.

– Doskonale. Idę obudzić mych towarzyszy – Iti skierował się w stronę wejścia, lecz gest kapłana powstrzymał go.

– Daj im odpocząć. Gdy wstaną, mnisi zaopiekują się nimi. Ponnion chce rozmawiać tylko z tobą.

Posłusznie ruszył za opiekunem. Po wykutych w skale stopniach wspięli się na czwarty poziom. Tu zatrzymali się u wrót przysadzistego gmachu, wykonanego z wielkich, szlifowanych w prostokąt kamieni.

– Pozwól, że wejde pierwszy – powiedział Tass. – Podaj mi swe imię, bym mógł cię zapowiedzieć.

– Rycerz Iti z Księstwa Iserii – Iti z trudem opanował drżenie głosu. Perspektywa spotkania z najwyższym służą Mau przytłoczyła go, odebrała śmiałość.

Kapłan zniknął za bramą. Po jakimś czasie wrota rozwarły się i z głębi budowli ozwał się zwielokrotniony echem głos:

– Wejdź, rycerzu Iti! Wielki Ponnion oczekuje cię!

Szedł przez kolejne komnaty, a wierzeje otwierały się przed nim, wskazując drogę, jakby rozsuwał je potężny podmuch. W końcu uchyliły się niewielkie boczne drzwi, ozdobione symbolem Obojga Słońc. Iti zaskoczony zatrzymał się w progu. Znalazł się w małej izdebce, w porównaniu z ogromem przedsionków tak niewielkiej, że w pierwszej chwili sądził, że zaszła jakaś pomyłka. Kiedy z wahaniem rozglądał się w półmroku, z boku dobiegł go cichy głos:

– Śmiało, rycerzu Iti. Wejdź i zasiądź do stołu.

Spojrzał w stronę, skąd ów głos dochodził. W rogu sali, za niedużym stołem, ujrzał siedzącego starca. Zbliżył się.

– Bądź pozdrowiony, czcigodny Ponnionie – rzekł, kłaniając się nisko.

– Siadaj, siadaj! Nie lubię jeść sam.

Dopiero teraz Iti zauważył, że na stole, między półmiskami z mięsem i kaszą, znajduje się drugie, czyste narkrycie. Zajął miejsce naprzeciw kapłana.

– Jedz, nie krępuj się moją obecnością – Ponnion przysunął w jego stronę misę z parującą pieczenią. – Potem pomówimy o twojej prośbie. Aby rozum usłyszał to, co jest mu przeznaczone, najpierw należy uciszyć żołądek.

Zapach jedzenia obudził w Itim głód. Począł pożywiać się w milczeniu, zerkając spod oka na kapłana. Ten również nie odzywał się, jedną ręką skubał mięso, palcami drugiej przebierał w węzłach tauru. Iti ze zdziwieniem

skonstatował, że w tym siedzącym naprzeciw mnichu trudno doszukać się oznak niezaprzeczalnej przecież wielkości. Ubrany był jak zwykły sługa ołtarza w czarny, zgrzebny habit. Odrzucony do tyłu kaptur odsłaniał dużą głowę, porośniętą rzadkimi kępkami włosów, między którymi przeświecały placki pomarszczonej, brunatnej skóry. Musiał być bardzo stary, zmarszczki pokrywały całą twarz, a wpadnięte wargi kryły niemal bezzębne dziąsła. Jedynie oczy nie pasowały do tego oblicza. Ożywione jakimś wewnętrznym ogniem były prawie młodzieńcze. Iti miał wrażenie, że kapłan go nie widzi, jakby stał się przezrzysty, a za jego plecami działo się coś, co naprawdę było godne uwagi starca. Z trudem powstrzymał chęć obejrzenia się za siebie.

Stwierdził, że nagle odszedł go apetyt. Odsunął miszkę i wyczekująco spojrzął na Ponniona.

– To ty jesteś nieprawym synem Jasti? – słowa były tak niespodziewane, że Iti wzdrygnął się.

– Tak, czcigodny – nie miał odwagi zaprzeczyć.

– I ufasz, że jest w tym znak bogów? – ironiczny grymas przebiegł przez twarz mnicha.

– Mam taką nadzieję. Inaczej jakież sens miałoby moje życie?

– Przecież nie musi go mieć. Możesz być po prostu owocem grzechu twojej matki, żywym dowodem występku przeciw doczesnym prawom.

– I to mówisz ty, pierwszy sługa bogini? Właśnie ty powinieneś wiedzieć najlepiej, że nic nie dzieje się bez jej woli.

– Twoja hardość świadczy tylko o głupocie – Ponnion uśmiechnął się pobłaźliwie. – Wydaje ci się, że zamysły Mau są tak jasne i proste, że każdy śmiertelnik może w

nich czytać jak w księdze? A może tobie przeznaczone jest umrzeć w hańbie?

– Nie dręcz mnie, kapłanie – cicho poprosił Iti. – Wiem, że ścieżki naszych losów są znane tylko bogom, jednak wiem również o zapisie w Tablicach o dwóch synach Jasti w moim kraju. Chcę wiedzieć, czy dotyczą one mnie!

Ponnion, opuściwszy wzrok, milczał długo i zdawało się już, że zapomniał o swym gościu, gdy odezwał się ponownie:

– Jakkolwiek na to nie patrzeć, jesteś synem Jasti i masz prawo wiedzieć. Umożliwimy ci to. Dziś przed południem złożysz ofiarę Mau, ona zdecyduje, czy możesz poznać jej słowa.

Ciężko podniósł się ze stołka i bez dalszych wyjaśnień opuścił komnatę. Posłuchanie dobiegło końca.

*

Iti liczył sztabki cyny, które mu pozostały po opłaceniu ofiarnych irmanów. Sprawa nie wyglądała dobrze: jeśli zapłaci za ofiarę Poświęconego, nie zostanie mu już nic, a przecież życie nie kończy się na przepowiedni. Zaś rytuał bez Totoghi-Mau... Cóż, można zaryzykować, lecz bogini może wzgardzić tak marnym datkiem, szczególnie że rzecz idzie o dostęp do Tablic. Naprawdę nie wiedział, co czynić dalej, a i poradzić się nie miał kogo, bowiem jego przyjaciół gdzieś wymiotło i siedział w gościnnej celi samotnie.

Zasłona podniosła się. W drzwiach stanął książę Jastihoreno.

– Nad czym rozmyślasz? – spytał. Dostrzegł rozłożone na stole sztabki. – Opłaciłeś już ofiarę?

– Z tym bieda... – Iti podniósł na niego zasepiony wzrok.

– Brakuje ci na klasztor – domyślił się Jastihoreno.

– Niestety, chyba oddam im wszystko, a potem zaciągnę się na służbę u mnichów, by zapracować na życie.

Ksiązę usiadł i położył dłoń na ramieniu Itiego.

– Posłuchaj – zaczął – nie mam wprowadzić zbyt wiele cyny, lecz mam coś, co powinno wystarczyć na Totoghi-Mau – sięgnął za pazuchę i wydobył skórzany woreczek.

– Weź to i zapłać Poświęconym.

– Co to jest? – Iti ujął sakiewkę i rozwiązał ją. Ze środka wytoczyła się srebrzystoszara obręcz.

– To klejnot mego rodu, scheda po przodkach. Ma wielką wartość, ale już nie dla mnie...

Iti wziął bransoletę do ręki. W bladym świetle błysnął wyryty w platynie zawity motyw. Położył klejnot z powrotem na stole.

– Nie mogę tego przyjąć, nie mam prawa. Tobie również nie wolno kupczyć symbolami ojców.

– Symbole ojców? – Jastihoreno zaśmiał się gorzko. – Mnie już żadne symbole nie są potrzebne. Przekreśliłem wszystko jednym posunięciem. Nie myśl, że żałuję. Sam podjąłem tę decyzję i teraz z pełną świadomością mówię: bierz! Pomożesz mi tylko zrzucić ciężar wspomnień.

– Nie wiem, czy dobrze robisz – Iti z wahaniem spojrział na księcia. – Możesz się jeszcze wycofać, ród z pewnością ci wybaczy.

– Widać nie znasz praw rządzących wybranymi, a dobrze by było, żebyś je poznał, ostatecznie jesteś jednym z nas. Mnie czeka już tylko wyrok Hoevog, tak jak ciebie.

Dlatego weź to i pozwól mi zapomnieć. Niech ten krążek na coś się jeszcze przyda – Jastihoreno zdecydowanym ruchem włożył obręcz w dłoń Isera.

Iti w zamyśleniu zważył ją w ręce, po czym powiedział:

– Zgoda, ale pod jednym warunkiem: ofiaruj to klasztorowi osobiście. To jest twój rodowy talizman i lepiej, żeby nie przechodził przez zbyt wiele palców.

– Chodźmy więc – książę wstał z ławy. – Załatwmy to jak najszybciej, chcę już mieć to za sobą.

Klasztor Totoghi-Mau wznosił się na szóstym tarasie, gdy pokonali więc wszystkie dzielące ich od niego schody, byli już solidnie zmęczeni. Ciężko dysząc, stanęli przed furtą. Iti uderzył w gong.

Po długim oczekiwaniu w okienku nad wejściem ukazała się głowa.

– Kto śmie zakłócać spokój Poświęconym? – usłyszeli pytanie.

– Mau przysłała nas z darem – odpowiedział Jastihoreno.

Głowa zniknęła i po chwili furtka otworzyła się ze skrzypnięciem. Weszli na dziedziniec. Z podcieni wyłonił się chudy, zgarbiony osobnik w haftowanej w runiczne znaki szacie. Jego wygoloną do czysta czaszkę również zdobiły święte symbole, wytatuowane czerwonym barwnikiem. Jastihoreno skłonił głowę.

– Witaj, mistrzu. Chciałbym w imieniu tego oto rycerza przekazać dar Poświęconym wraz z pokorną prośbą o pośrednictwo u wielkiej bogini.

– To nasza powinność – cicho odezwał się przybyły. – Dar jednak przyjmujemy, by przysporzyć chwały Mau.

Książę wyciągnął sakiewkę. Na widok bransolety na twarzy mistrza pojawiło się zdziwienie.

– Rodowy klejnot Lornin? – zapytał, z szacunkiem ujmując ją końcami palców. – Wielka musi być prośba, dla której poświęcasz tak wspaniały amulet. Tym bardziej że nie prosisz dla siebie.

– Mój przyjaciel pragnie zajrzeć do Tablic. Jego prośba jest wielka, zapewniam cię.

– Nie wątpię, nie wątpię... – mistrz Totoghi-Mau spod oka popatrzył na Itiego. – Nie moja rzecz wnikać w wasze problemy, to sprawa kapłanów. My istniejemy dla wielkiej Mau, jej składamy ofiarę z naszego ciała, by móc połączyć z nią duszę. Stanie się więc, jak pragniecie. Jeden z nas zapyta ją o zgodę. Chodźcie ze mną.

Zaprowadził ich do małej salki na piętrze.

– Tu zaczekacie na wybór Totoghi-Mau. Nikomu z obcych nie wolno uczestniczyć w misterium, wybrańca zobaczycie na nabożeństwie, dana wam jednak będzie możliwość słuchania. Za tą ścianą Poświęceni odprawiają rytualne modły, które wyznaczają godnego połączenia z Mau w waszej sprawie.

Po wyjściu mistrza zapadła cisza. Iti podeszedł do okna. Ciemne chmury kłębiły się nad Pitią, zaczął siąpić deszczyk. Gdzieś w oddali przetoczył się z łoskotem grom.

– Idzie burza – powiedział półgłosem Iser.

Jakby w odpowiedzi niebo rozjaśnił nagły błysk i w górujący nad wyspą szczyt strzelił piorun. Silny podmuch wiatru uderzył o okiennice, a z chmur lunęły strugi wody.

Iti odwrócił się. Miał zamiar jeszcze coś powiedzieć, gdy przez szum deszczu dobiegł do ich uszu stłumiony

śpiew. Niskie zawodzenie płynęło monotonna, stapiało się z jednostajnym biciem kropel o szyby. Czasem z tego niby-jęku wystrzelał ostry, wysoki krzyk, by stopniowo ścichnąć i zlać się z falującymi głosami chóru.

Niezauważalnie śpiew wznosił się na coraz wyższe nuty. Już nie tak wyraźnie wybijały się zeń przeraźliwe okrzyki, coraz trudniej można było odróżnić je od tła. W końcu rozbrzmiał jeden potężny wrzask, od którego zadrdzało powietrze. Trwał, zdawało się, w nieskończoność, jakby wydany nie przez marne płuca żywych istot, lecz przez nieprawdopodobnej pojemności miech, aż urwał się nagle i znów zapanowała cisza.

– Już po wszystkim – szepnął Jastihoreno. – Będziesz miał swojego Totoghi-Mau.

– Dziękuję, bracie – odparł Iti. – Tyle ci zawdzięczam i nie mogę tego wynagrodzić.

– Nie myśl teraz o tym. Przed tobą wielkie chwile.

*

Czekał. Cały był jednym wielkim czekaniem. Obok trwał rytuał poświęcenia – misterium, którego przebieg znał już z Berlanu. Teraz jednak nie poddał się nastrojowi uroczystości. Nie działał na niego nawet tak przecież skuteczny dym kadzideł, myślał tylko o jednym: czy wielka Mau pozwoli... Z roztargnieniem obserwował modły Ponniona, nieuważnie słuchał wstępnych prośb, gdy w otchłań leciały ofiarne irmany. Patrzył z napięciem w martwe oczy posągu, jakby chciał siłą woli wymusić przychyłność bogini. A Mau trwała wyniosłe obojętna, daleka od targających śmiertelnymi emocjami, okrutna i obca.

Przeniósł wzrok na Poświęconego. Tak, tylko on potrafi przemówić do niej, on posiadał jedyny argument, którym można zmusić boginię do dialogu. Własne życie. Właśnie zbliżał się do szczeliny, już nieobecny, już podążający na spotkanie. Był młody, znacznie młodszy niż ten, który skoczył na uroczystościach hołdu w Berlanie. Może dlatego tak niecierpliwie spieszył do celu. Tylko przez krótką chwilę zatrzymał się na krawędzi, by rozpocząć pieśń, spojrzał jeszcze w twarz swej bogini i już zniknął w ustach ziemi, zostawiając za sobą echo ostatniego krzyku.

Mau rozbłysła jaskrawym światłem. Z otchłani strzelił potężny płomień, a pod sklepieniem zahurkotał grzmot. Ogień przesłonił posąg, tylko twarz górowała nad ruchliwymi jęzorami i z twarzy tej spojrzały nagle na Itiego żywe oczy. Ich spojrzenie przenikało każdą cząstkę jego ciała, wciskało się w najdrobniejszy zakamarek jaźni, penetrowało i ubezwłasnowolniało myśli. Nie wiedząc nawet o tym, opadł na kolana. Usta rozszepotały się modlitwą bez słów, modlitwą przeznaczoną tylko dla niej, bo ona przecież zrozumie... I nagle usłyszał odpowiedź. Rozbrzmiała w nim jak triumfalne surmy. Oto był tym, któremu przeznaczono rolę zapisaną w Świętych Tablicach, dla niego wielka bogini niegdyś utrzymała swe słowa. Gdy Ponnion ogłaszał interpretację znaków, Iti stał już z uniesioną wysoko głową, znał bowiem każde następne, niewypowiedziane jeszcze zdanie kapłana. Posąg był znów ciemny i szary, ze szczeliny sączył się leciutki opar.

Po wyjściu ze świątyni Ponnion podszedł do Isera.

– Wybacz, panie, mą poprzednią nieufność. Mau wydała werdykt, co do którego nie można mieć wątpliwości.

Tak jasno przedstawionych, tak łatwych do interpretacji symboli nie było w tej świątyni chyba nigdy. Więc to ty... Nadchodzi dzień zwrotu historii, zjawiłeś się, by dać temu początek.

– Kiedy będzie mi wolno ujrzeć Święte Tablice? – przerwał Iti przemowę kapłana.

– Gdy tylko zechcesz. Permillon stoi przed tobą otworem.

– Chodźmy tam natychmiast. Zbyt długo czekałem na tę chwilę, by ją odwlekać.

Skarbiec mieścił się na tym samym poziomie co świątynia, droga nie trwała więc długo. Itiego zaskoczył niepozorny kształt budowli. Spodziewał się, że miejsce złożenia Tablic cechować będzie dostojność, że testament bogini został otoczony przepychem, tymczasem Permillon był niedużym, prostopadłościennym budyneczkiem bez ozdób i świętych symboli. Jedynym znakiem kultu był malutki wizerunek Obojga Słońc na wykuszu – taki sam, jak na wielu innych obiektach szowonów.

Stojący przy wejściu uzbrojony mnich skłonił się na widok Ponniona i otworzył wrota. Owiał ich chłód i stęchły zapach dawno niewietrzonego pomieszczenia. Znaleźli się w niskiej komnacie o malutkich, zaciągniętych błoną okienkach. Na wprost nich, u stóp małego posążka Mau, stały cztery kamienne sarkofagi. Podeszli bliżej.

– Tu spoczywa przeszłość i przyszłość walów – półgłosem powiedział Ponnion. – Niewielu dotąd miało prawo wejścia w testament Mau, jeszcze mniej znalazło w nim wskazówki dla siebie. Będziesz jednym z nich.

Podniósł wieko skrzyni. Wewnątrz, pokryte zielonym nalotem, leżały ułożone w równe sterty mosiężne płyty.

Z trudem można było dojrzieć na nich ryt dziwnego, krągłego pisma.

– Czy potrafisz to odczytać? – spytał Iti.

– Tak.

Kapłan ostrożnie wyjął pierwszą Tablicę.

"... i nadejdzie czas Świętej Wędrowki, a wy – naznaczeni wskazaniem naszym – będziecie ją wiedli do Nowej Ziemi, gdzie czeka was pokuta i oczyszczenie. I wiele ellarów trwać będzie czas pojednania, śmierć i krzywdy pukać będą do waszych okien, a ciemność północy zniszczenie przyniesie i pożogę. Bo przykazał Pierwszy, byście pojednanie uczynili dla odkupienia win ich i waszych ojców. Wiele razy wzejdą oba słońca, zanim czas poświęcenia waszego zaowocuje nadzieją. On narodzi się w grzechu i pojednaniu powołany będzie dać początek, tron prawowitego władcy waszego objawszy przed nastaniem dnia przełomu. Jeżeli stanie się czyn jego, pojednanie będzie spełnione, bowiem oni również tego chcą. Tak powiedział Pierwszy, który zrodził się z tych, co przybyli ze starej ojczyzny. Dziecię nieprawnie poczęte spadkobiercą naszym będzie, dla idei pojednania przeznaczonym. Złamać musi Moc północy, którą oni władają, a której źródłem jest Wieża Życia. Będą wśród nich tacy, co Moc wykorzystają dla zguby synów Pierwszego; im to Moc wybraniec winien odebrać, na śmierć wśród nich i was nie bacząc, a pojednanie mając za cel jedyny. A potem nadejdą dni oczekiwania, nim bracia z niebios przywrócić więzi zerwane ze światem przodków obojga narodów przybędą i do wielkiej rodziny wrócicie wy i oni. Ja, Mau, córka wnuków Pierwszego, przekazuję to posłanie z przykazaniem wiary, a wstępując między bogi, ku plemieniu potomków Isera słowa testamentu mego

kieruję: nie bacząc na krzywdy od własnej rasy doznane, nieście wolę przodków w przyszłość, bo szansa dana będzie właśnie wam..."

– Tyle mówią o tobie Tablice – Ponnion odłożył płytę na miejsce.

– Niewiele z tego rozumiem – westchnął Iti. – Co to jest Wieża Życia, co znaczy pojednanie, kim są ci "oni"...?

– Te słowa występują w Tablicach wielokrotnie, nie tylko we wzmiance o Iserach. Trzeba zajrzeć do najwcześniejszych zapisów – kapłan sięgnął w głąb sarkofagu.

"... wyklęci przez własne plemię osiedli w płomieniach na północnym skraju Loinu. Widziały żrenice synów tych, co przybyli ze starej ojczyzny, spadające gwiazdy i trwoga zagościła w ich sercach. Nie było im dane umknąć przekleństwu Mocy, odszczepieńcom panowanie dającej nad wszechświatem. Wiedzieli bowiem, iż tam, gdzie osiadą rydwany przybyszów, musi wyrosnąć Wieża Życia. Bez niej plemię tornów jawi się jedynie społecznością śmiertelnych jak ich szlachetni ojcowie..."

"... postanowił Pierwszy, iż czas pojednania nadchodzi, bowiem ellary minione od dnia zstąpienia odmienić winny dusze ich potomków, tak jak odmieniły nasze. I powstał plan Świętej Wędrówki, której wiele pokoleń walów poświęciło życie. Wieści z Nowej Ziemi płynące obróciły wniwecz zamysły mych braci. Wieża Życia istniała i garść wyrzutków Moc z niej płynącą wykorzystwała w imię zbrodni. Śmierć rządziła Loinem. Dlatego my, dzieci potomków Pierwszego, dlatego ja, wyniesiona przez braci na jęgo tron, składamy w ręce tych, co przy-

będą, posłanie Świętej Wędrowki, niech pojednania dopełnią. W dniu odejścia, na poły złączona z bogami, zaklinam dzieci nasze: uczynicie to, na co sił waszym ojcom nie stało..."

– Ona mówi, że mamy zbliżyć się do tornów? Przecież to szaleństwo! Mamy oddać dusze w pacht Mocy?

– Dlatego trzeba zniszczyć Wieżę Życia – Ponnion uniósł wzrok znad Tablicy.

– I to ja mam uczynić? W jaki sposób? Nie wiem przecież, gdzie jej szukać, a nawet gdybym ją odnalazł, skąd będę wiedział, że to właśnie ona?

– Musisz iść między tornów. Tylko oni mogą ci pomóc.

– Oni? Dobrowolnie pozbawią się możliwości władania duszami? – Iti wzruszył z rezygnacją ramionami.

– Mau mówi, że oni chcą pojednania. A Moc służy właściwie tylko tornom z Morv. Ani Shonnowie, ani mieszkańcy Torivii nie korzystają z niej przeciw nam. Ich Moc jest dziś słaba, niegdyś przegrali wojnę z Durlockiem.

– Powiedz mi, skąd właściwie wzięli się w Durlocku tornowie?

– Jeśli dobrze pamiętam Tablice, te zakazane strony były miejscem zsyłki różnej maści złoczyńców z Królestwa Shonnów i Torivii. I tak się to zaczęło. Zesłańcy doszli do doskonałości we władaniu Mocą, a ich sędziowie niemal o niej zapomnieli.

– Wykuli miecz na swe głowy.

– Tak, los bywa mściwy.

– Dlaczego więc nie zniszczą sami swej Wieży?

– Na to pytanie mogą odpowiedzieć tylko oni.

Noc minęła na rozmowach, a wczesnym rankiem wędrowcy byli gotowi do drogi.

– Przyszliśmy się pożegnać – Iti wkroczył do komnaty Ponniona, a za nim skromnie wsunęli się Vortar i Jastihereno.

– Więc jedziesz... – starzec odłożył czytana właśnie księgę.

– Tak, czcigodny. Najwyższy czas zacząć wypełniać przykazanie Mau, choć mówiąc szczerze, nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać.

– No cóż, ja mogę udzielić ci tylko błogosławieństwa, lecz ufam, że odnajdziesz właściwą drogę.

– Dziękuję za wszystko. Zachowam Pitię we wdzięcznej pamięci, a kiedyś może odpłacę się hojniej.

– Spełniłem tylko swą powinność. Chciałbym jeszcze zadać ci jedno pytanie: wiem, że z wielu względów pragniesz zachować przybrane miano przynajmniej do czasu wykonania swego dzieła, zdradź mi jednak, jako strażnikowi Świętych Tablic, swoje prawdziwe imię. Zapewniam cię, że ustrzegę twej tajemnicy tak długo, jak długo nie pozna jej Loin.

Iser uklonił się z szacunkiem.

– Wybacz, że nie uczyniłem tego wcześniej. W dniu nadania imienia otrzymałem miano Itijasti.

– Itijasti... – powtórzył kapłan. – Piękne imię. Zapamiętam. Jestem dumny, iż dane mi było poznać je jako jednemu z pierwszych. Kiedyś to imię będzie sławił cały świat, lecz już dziś wkroczyło ono do historii.

– Oby twe słowa były prorocze.

– Żegnajcie, przyjaciele, i niech Mau strzeże waszej ścieżki, bo nie będzie prosta ani łatwa.

Wyszli z kwatery Ponniona na taras. Był pusty, ani jeden val nie pojawił się na ich drodze aż do furty. Dopiero gdy zastukali w nią, ukazał się milczący odźwierny. Znów przeszli przez duszny tunel i przed nimi rozszu- miało się morze. Przy pomoście kołysała się barka, a na jej dziobie dostrzegli sylwetkę To-sara. Iti odwrócił się. Odźwierny zniknął. Twierdza była cicha i jakby wymar- ła, jedynie wysoko, nad zrębem muru, krążył samotny ptak.

*

Jeździec w szarym płaszczu wolno włókł się przez step. Jego kiset z trudem stawiał łapy w gęstej, splątanej trawie. Jeździec kierował się na północ, chociaż nietrud- no było poznać, że nie jest to jakiś ściśle określony szlak. Trafne byłoby określenie: podążał, gdzie niósł go wierz- chowiec.

Tak było w istocie. Esighen nie miał żadnego planu. Nie mógł go mieć po tym, co się stało. A co się stało, nie potrafił do tej pory zrozumieć. Wiedział tylko, że poniósł klęskę. Największą z możliwych. Dawno rozpuścił swych zbrojnych, którzy skwapliwie skorzystali z okazji, by wrócić do domu. Nie dziwił się im. Sam również miał chęć to uczynić, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma po co wracać. Rodzinna Iseria raz na zawsze była przed nim zamknięta.

Jako świadectwo hańby, a może na pocieszenie, został mu ten kiset. Jedyne, co wpadło w ręce jego valów – pa- miątka po wrogu. Zabrał go, być może po to, by ciągle

przypominał mu dziwne zdarzenie, chociaż tak naprawdę pragnął zapomnieć. Musiał jednak patrzeć na to zwierzę, by nie wygasła w nim nienawiść. Esighen chciał umrzeć, lecz umrzeć z myślą, że ten, który zrobił błazna z najlepszego sługi księstwa, padł razem z nim. To już nie była sprawa iserskiej dynastii Jasti. To była osobista klęska Esighena.

Próbował trafić na choćby cień śladu, lecz ścigani jakby rozplynęli się w powietrzu. Analizował wszelkie możliwe warianty, by dojść w końcu do wniosku, że tylko czary mogły tak skutecznie usunąć wszystkie znaki na ziemi. Czary? Esighen od wielu kari trudnej służby był sceptykiem, choć jak każdy val z krwi i kości nie przyznawał się do tego nawet przed sobą samym. Teraz przyjdzie zrewidować "materializujące" rzeczywistość poglądy, bo na własne oczy widział coś, co wytłumaczyć można było tylko działaniem magii. Zaraz, zaraz... magia... i eneikowie...? Jak przez mgłę pamiętał stare, słyszane w dzieciństwie bajania, opowiadające o czasach, gdy w Loinie nie było jeszcze ani valów, ani tornów, światem władał boski Trror-ud, a ziemia i niebo mieszały się ze sobą i łączyły w całość. To była dziedzina eneików. I pamiętał baśń o ośmiu władcach... Czyżby tkwiło w niej ziarno prawdy? Czyżby rzeczywiście istniało osiem boskich kamieni...? Jeśli tak jest, rzecz będzie trudna, ale pojawił się jakiś punkt zaczepienia. Musi to sprawdzić. Skierował wierzchowca na zachód.

Kiedy po długim czasie, spędzonym wśród dzikich górskich pustkowi, znów wyruszył w drogę, jego postępowanie cechowały pewność i spokój. Wiedział już wszystko. No, może nie wszystko, lecz wystarczająco dużo, by ponownie zacząć działać. Był prawie szczęśli-

wy. Brawurowy rajd w głąb Związku Irgów i porwanie jednego z kacyków klanu Zabójców przyniosło niespodziewane rezultaty. Metodycznie, po kawałeczku rozrywany na strzepy eneika wyznał w końcu wszystko, co wiedział. Z wdzięczności Esighen skrócił jego męki jednym pchnięciem jego własnego garnaga, a potem zatarł ślady, rzuciwszy zwłoki kisetowi.

Nawiasem mówiąc, nie przypuszczał, że kryjące się po górach karzełki posiadają tak świetną sieć informacyjną. Valijskie tajne służby to smarkate podrostki w porównaniu z nimi. Żałował trochę, że zdobytego doświadczenia nigdy już nie wykorzysta. Ale Esighenkapitan umarł w tamtym jarze, pozostał Esighenmściciel.

Jaskinia wyglądała niepozornie. Ot, zwykła szczelina w monumentalnej skalnej bryle. Nawet przez chwilę zastanawiał się, czy ten kosmaty starzec przed śmiercią z zemsty nie wprowadził go w błąd. Jego obawy wkrótce rozwiąły się. Na półce w pobliżu wlotu dostrzegł ślady obozowiska. Esighen czytał ślady równie biegle jak wszelkie rodzaje pisma. Cztery osoby, w tym eneika. To chyba ten sam, który towarzyszy Iserowi niemal od początku. W jaki sposób uciekinier wkradł się w łaski Zabójców? Mógł to wyjawic ów porwany, lecz Esighen miał wtedy inne problemy. Zresztą, czy to istotne? Ważne, że wspierają go, i to nader skutecznie. Do tego stopnia, że zdradzili mu system przejść pod górami. Przez chwilę zastanawiał się, dokąd kieruje się jego wróg, jaki cel ma ta pogmatwana wędrówka? Najpierw wizyta na Pitii, teraz przejście na drugą stronę Gór Smocznych... Majaczenia torturowanego eneiki o jakimś wybranym spośród walów zlekceważył, sam pewnie gadałby podob-

nie podczas tortur, którym poddał swą ofiarę. Chociaż...? Kto wie, co zawierają mistyczne wierzenia kosmatego ludu.

Postanowił od razu zapuścić się w podziemia, nie tracąc czasu na odpoczynek. Nie czuł lęku, jedynie podniecenie wywołane świadectwem bliskości, zdawało się, straconego już przeciwnika. Trochę obawiał się zabłądzenia w labiryncie, liczył jednak na instynkt: swój i zwierzęcia. Opowieści o zamieszkujących jaskinie stworach nie brał poważnie, żyły tam tylko xinxys, a ich miał nadzieję uniknąć. Zresztą idący przed nim, sami o tym nie wiedząc, utorowali już i wytyczyli szlak.

Zanim zanurzył się w ciemność, sporządził zapas pochodni. Droga będzie z pewnością długa, trudno byłoby przebyć ją po omacku. Będzie musiał oszczędnie korzystać ze światła, nie potrafił wyliczyć, jak długo przyjdzie mu kręcić się we wnętrzu ziemi. Odetchnął głęboko i ostatni raz spojrzął na słońce. Południe już minęło, ale Jasti stał jeszcze wysoko. Zdąży przebyć szmat drogi, zanim organizm kierowany pamięcią pierwotnego cyklu dnia i nocy zacznie domagać się odpoczynku. Pchnął piętami boki kiseta i obaj zniknęli w czarnej czeluści.

Mrok otaczał go zewsząd. Żółty krąg pochodni wędrował po lśniących od wilgoci ścianach, otwierając granicę widzialnego świata na kilka kroków przed pyskiem kiseta i zamykając ją tuż za jego zadem. Nie wiedział, jak długo idzie, czas skończył się z chwilą, gdy szczelina wlotu zniknęła za pierwszym zakrętem. I chyba mrok sprawił, że zaczął się bać. Lęk przekradł się ku niemu niedostrzegalnie, przeniknął krawędź światła, by powoli rozlać się w ciele, sadowiąc się w nim na stałe. Sama ciemność była marną pożywką strachu i pewnie zdołałby

otrząsnąć się z niego, gdyby nie powstało nowe źródło: poza linią blasku coś żyło. Początkowo szmery, chrobotania i piski brał za wytwór wyobraźni, rychło jednak przekonał się, że nie ona je stworzyła. Raz i drugi odważniejsze coś przemknęło przez świetlne koło, kilkakrotnie dojrzał na tle czerni jeszcze ciemniejszy cień. Nie był to zwykły piwniczny drobiazg, czarny kształt niemal dorównywał wielkością kisetowi.

Widać było, że mieszkańcy podziemi boją się ognia. To uspokoiło trochę Esighena, szybko jednak uświadomił sobie, że przyjdzie chwila, gdy pochodnię trzeba będzie zgasić. I po raz pierwszy załamał się. Chciał w przyпадzie paniki rzucić wszystko i zawrócić wierzchowca ku zbawczemu wyjściu. W samą porę przyszło niespodziewane pokrzepienie, przywracające świadomość celu, dla którego zdecydował się zmierzyć z wieczną nocą. Trafił na ślad: pusty skórzany bukłak, w jakim wędrowcy zwykle noszą wodę. Sam miał takich kilka. Był więc na dobrej drodze. A skoro ci, którzy go wyprzedzali, przeszli tędy bezkarnie, potrafi tego dokonać i on.

Podniósł bukłak z ziemi. Na pierwszy rzut oka wydawał się cały, po bliższych oględzinach Esighen odkrył coś, co znów odebrało mu odwagę. Dno worka było pocięte, widniały na nim długie rysy. Takich śladów nie zostawia żadne narzędzie ani przypadkowy, choćby najostrzejszy kamień.

Ruszył dalej. Korytarz począł dzielić się na odnogi. W takich miejscach przeżywał rozterki, nie zawsze potrafił odnaleźć znak wskazujący właściwy kierunek. W końcu zdecydował się na wyjście najprostsze: jeżeli nie znajdował żadnych śladów, zdawał się na instynkt kisetu. Chowane wśród walów zwierzę zawsze będzie ciągnąć ku

nim, tym bardziej że z pewnością czuło zapach swego dawnego pana. Kiset był świetnie wyszkolony. W chwilach wahania jeźdźca tak pewnie wybierał drogę, że Esighen poczuł, iż może zaufać mu całkowicie.

Znużenie przyszło nagle. Naraz zdał sobie sprawę, że traci kontrolę nad ciałem. Zwyczajnie zasypiał w siodle. Nie miał siły walczyć, nawet strach cofnął się w głąb jaźni, wyparty przez senność. Nagle, po kolejnym przebudzeniu, wydało mu się, że stracił wzrok. W pierwszym odruchu przetarł oczy, ale zaraz uświadomił sobie, że po prostu wypuścił z ręki pochodnię. Przeraził się. Pojął, że nic nie broni go przed żadnymi jego truchła potworami. Dygocącymi rękoma sięgnął do sakwy, lecz wydobyć nowej zagwi już nie zdążył. Jakiś lepki ciężar runął na niego z góry, aż przestraszony kiset przypadł do ziemi. Esighen poczuł, że siodło wymyka mu się spod kolan. Zwierzę skoczyło do przodu zrzucając jeźdźcę i z kwikiem pognąło przed siebie. Uczuł wpijające się w kark ostre igiełki. Krzyknął i szarpnąwszy się rozpaczliwie zrzucił napastnika. Teraz zaatakowały zewsząd. Ledwie zdołał ciosami pięści uzyskać taką swobodę ruchów, by móc wydobyć miecz. Zakręcił nim młyńca, czując, jak ostrze zagłębia się w coś miękkiego. Lecz już dopadły go od dołu. Setki kleszczy zacisnęły się na jego nogach, szarpały ubranie i wyrzywały żywe kawały mięśni. Ciał na oślep tam, gdzie kłębiły się ciała podstępnych agresorów, równocześnie zrzucając z siebie falangi nowych, atakujących z góry.

Naraz zrobiło się jakby luźniej. Zanim nadzieja zdążyła wstąpić w serce Esighena, pojął, że zbliża się koniec. Nadciągały główne siły. Poczuł na twarzy ohydny dech potężnych paszczy i zrozumiał, że nigdy już nie zobaczy

blasku słońca. Uprzedził atak. Z wyciem rzucił się między niewidzialne monstra. Po chwili jego krzyk zamarł wśród mlasków i chrobotu gruchotanych kości.

*

Patrzyli wokół zdumieni. Któż mógł przypuszczać, że w jądrze gór, otoczona kamiennymi graniami, znaleźć się może prawdziwa oaza zieleni i błękitu. Brązowo-zielone hale opadały spod szczytów ku kotlinie, której środek wypełniało wielkie rozlewisko jeziora. Wzdłuż brzegów usadowiły się małe osady drewnianych domków. Wszystkie drzwi zatrząskiwały się na wieść o nadciągającym konwoju.

Bez oporu dali się rozbroić. Żaden z nich nie miał zamiaru go stawiać, gdy otoczył ich oddział kilkunastu zbrojnych eneików o dzikim wyglądem. Nie przybyli tu, by walczyć. To-sar odbył krótką rozmowę z dowódcą oddziału, a jej ton, ku zaskoczeniu walów, nie był zbyt przyjazny. Uzyskał jednak obietnicę, że zostaną doprowadzeni do siedziby palatyna. Jakich użył argumentów, tego nie wyjawiał, lecz wrogie spojrzenia żołnierzy świadczyły, że nie przekonał ich do końca.

Wsie były biedne. Ubóstwo widzieli w obejściach, skromnie prezentowali się także ich mieszkańcy. Eskortujący żołnierze również nie wyglądali imponująco. Ubrani byli w wytarte skóry, oręż stanowiły kamienne topory, maczugi i drewniane piki z ostrymi końcami. Tylko garnagi miały ostrza z brązu, takież topór tkwił za pasem dowódcy. Eneikowie różnili się od dobrze walom znanych Irgów. Byli mniejsi i bardziej krępi, o mocno osadzonych na krótkich, krzywych nogach korpusach. I

nie chodzili boso jak ich pobratymcy z widel Karii i Su-anu. Na stopach mieli łapcie wykonane z kilku warstw skóry, przywiązane do łydki rzemieniami.

Przed wieczorem przybyli do dużej osady, w której domy rozmieszczono wzdłuż zbiegających się promieniście ulic. W samym centrum, przy niedużym placu, stał okazały parterowy budynek, otoczony ostrokołem z nieociosanych pni. Dowódca eskorty powiedział coś do To-sara, a ten zaraz przetłumaczył. Znajdowali się w stolicy państwa Ceranów, budynek przed nimi był siedzibą palatyna.

Ulokowano ich w ciasnym pomieszczeniu bez okna. Grube drzwi z bali zatrzęsły się głucho i zostali sami.

– Zapalcie pochodnię – rozległ się w ciemnościach głos Jastihoreno.

Vortar sięgnął do torby i wydobył smolną szczapę.

– To przedostatnia – powiedział, krzesząc ogień. – Jeżeli potrzymają nas dłużej, będziemy świecić oczami.

– Nie witają nas tu simalem – mruknął lornińczyk. – Czy naprawdę nie ma innej drogi do krain tornów? – zwrócił się do To-sara.

– Owszem, przez całą Agrenię i Morze Wewnętrzne. To przecież twoje strony, powinieneś wiedzieć lepiej. Czy możesz zagwarantować, że nikt nas nie rozpozna? – odpowiedział eneika.

– Masz przecież ten kamień...

– Wolno go używać tylko w ostateczności. Poza tym, kto potrafi ściśle określić miejsce, gdzie Yorvill miała by nas przenieść? Bez tego czar nie skutkuje.

– Tutaj też nie mamy gwarancji, że Ceranowie puszcza nas wolno, nie mówiąc już o pomocy.

– To stare górskie plemię. Musi tu istnieć klasztor Zabójców, oni pomogą.

– Jesteś pewny? – Jastihoreno z powątpiewaniem pokręcił głową. – To przecież również Ceranowie.

– Reguła Zabójców jest ponadplemienna. Jestem Geue, a wy sprzymierzonymi. Klasztor musi wypełnić swój obowiązek. To zasada, której nie wolno naruszyć.

– Oby tylko tutejsi władcy zechcieli wskazać do niego drogę...

Rano obudził ich wartownik. Nie dano im czasu na pobieżne choćby ogarnięcie się. Przybyszów poprowadzono do siedziby palatyna. Długo musieli czekać otoczeni kordonem straży, zanim władca Ceranów zdecydował się ich przyjąć. Wreszcie otwarły się drzwi i weszli do środka.

Znaleźli się w długiej, wąskiej sali o tak niskim stropie, że bez trudu można było dotknąć dłonią surowych belek. Wzdłuż ścian stali w dwuseregach gwardziści, a przy końcu szpaleru, naprzeciw nich, na półkolistym stołku siedział bogato ubrany eneika. Był dość młody, miał szeroką twarz z ponurymi oczami i potężny kark. Patrzył na nich badawczo przez dłuższą chwilę, po czym warknął kilka słów. To-sar dumnie podniósł głowę i odpowiedział mu tym samym tonem. Rozpoczęła się szybka wymiana zdań, w której trudno było doszukać się cieplejszych nut.

– Ciekawie mówią, szkoda tylko, że tak mało rozumiemy – mruknął półgłosem Vortar.

– Zamiast zbójować, trzeba było poznawać kulturę obcych ras – pouczył go Jastihoreno z powagą.

– A wasza książęca dostojność to niby wszystko rozumie? – Vortar nie pozostał mu dłużny.

– Cicho bądźcie! Patrzcie, co się dzieje! – Iti ruchem głowy wskazał dwuszeręg zbrojnych.

Zamilkli i spojrzeli we wskazanym kierunku. Z szeregu gwardzistów wystąpił silnie zbudowany, przygarbiony eneika. Powoli zdjął okrywającą barki kolczugę, odłożył topór i tarczę. Stał w lekkim rozkroku przed To-sarem i kiwając się na piętach, przyglądał mu się spod przy-mrużonych powiek. Do Irgi podszedł jeden z eskortujących. Zza pasa wydobyl garnag i podał go Zabójcy.

– Zwrócili mu nóż! Co to wszystko znaczy? – zapytał szeptem Vortar.

– Wygląda, że będą ze sobą walczyli! – odparł zdziwiony Jastihoreno.

Przeciwnicy stali nieruchomo naprzeciw siebie. Zrobiło się cicho, nawet oddechy nie zakłócały zapadłego nagłe milczenia. Valowie z natężeniem obserwowali zaskakującą scenę, nie mogąc odgadnąć, co powiedzieli sobie To-sar i palatyn. Niespodzianie stali się świadkami pojedynku, którego stawki nie znali.

A tamci trwali jak dwa posągi, bez najdrobniejszego grymasu, bez drgnienia powieki. Raptem nabrzmiała napięciem przestrzeń między nimi rozciął przenikliwy okrzyk. Dalszego ciągu nie zdołało uchwycić oko, bo już w następnej sekundzie obaj eneikowie przywarli do siebie. Zdawało się, że ciężko zmęczeni odpoczywali, wspierając się nawzajem. Po długiej chwili gwardzista lekko ugiął kolana. Osuwał się powoli, ciągle z kamien-nym wyrazem twarzy, aż ukląkł, a potem runął na plecy. Z jego piersi sterczała rękojeść garnaga. To-sar pochylił się nad leżącym i wyciągnął nóż, po czym ze spokojem odwrócił się i ruszył ku oniemiałym valom. Stanawszy między nimi, nieznacznie pochylił głowę przed palaty-

nem. Powiedział coś cicho, a władca popatrzył na niego odmienionym wzrokiem, w którym oprócz dotychczasowej wrogości pojawił się szacunek. Odpowiedział krótkim zdaniem i skinął na eskortę. Zostali wyprowadzeni.

– Dlaczego walczyłeś? – odezwał się Iti, gdy ponownie znaleźli się w ciemnej klitce.

– Zwątpili w moje słowa – odparł chłodno eneika. – Zażądałem sądu prawdy.

– A teraz już wierzą?

– Wierzą.

– To dlaczego nas tu trzymają? Co ci powiedział palatyn?

To-sar zerknął na Isera i po raz pierwszy od bardzo dawna uśmiechnął się.

– Lepiej, żebyś nie wiedział. To nie były przyjemne słowa.

– Ale kiedy nas wypuszczą? – Iti nie dawał za wygraną.

– Jak tylko czcigodnemu palatynowi Gerhe-pho minie złość.

– To może trwać nieskończenie długo!

– Może – eneika spokojnie wyciągnął się na słomie.

– Przecież nie mają powodu, aby nas trzymać w zamknięciu! Mówiłeś palatynowi, że jesteśmy sprzymierzeńcami?

– Dla nich jesteście przede wszystkim valami. Musisz to zrozumieć. Oni od czasu klęski pod Sattą nie mieli kontaktu z waszą rasą. Żyją tu od pokoleń w prawie zupełnej izolacji, karmiąc dusze nienawiścią.

– W takim razie po co to wszystko? Po co sprowadziłeś nas tutaj? Lepiej już było spróbować obejść Góry Smocze.

– Nie martw się na zapas. Palatyn mimo wrogości zobowiązany jest zawiadomić Zabójców o moim przybyciu. Widział tiris i spełni żądanie.

– Bractwo nas uwolni? Gerhe-pho może się nie zgodzić.

– Nie może. Już ci mówiłem, że nie podlegamy jego władzy.

– A mimo to nas zamknął. Dziwne są wasze zwyczaje – westchnął Iser.

– Tak samo jak wasze dla eneików. Jesteśmy sobie obcy.

Po tym stwierdzeniu zamilkli na długo. Siedzieli w ciemnościach, gdyż ostatnia pochodnia już dawno się wypaliła. Zatopieni w myślach, niekiedy drzemiąc, czekali, aż stanie się cokolwiek, co przerwie otepiającą bezczynność. Jednak nie działo się nic. Wydawać się mogło, że zupełnie o nich zapomniano, gdyby nie regularnie dostarczany posiłek. Był to ich jedyny kontakt ze światem i światłem. Jedzenie stanowiło rozrywkę w monotonnym oczekiwaniu. Powoli tracili nadzieję, że cokolwiek może odmienić ich los, gdy wreszcie, po kolejnym otwarciu wrót, nastąpiła owa długo oczekiwana zmiana. Na progu zamiast strażnika stanął ktoś obcy.

– To-sar? – rzekł pytająco.

Eneika podniósł się. Podeszedł do ciemnej postaci i obaj jakiś czas patrzyli na siebie bez słowa. Potem Irga sięgnął do piersi. W jego dłoni zalśnił malutki promyk. Powoli przybysz powtórzył ten sam gest; dwie identyczne igły zetknęły się na moment w krótkim błysku odbitego światła.

*

– Chodź za mną – Kki-daar dał znak ręką.

To-sar posłusznie podążył jego śladem. Doskonale wiedział, dokąd kierują się kroki wielkiego mistrza. Wspinali się coraz wyżej, mijając kolejne piętra klasztoru, odprowadzani ukradkowymi spojrzzeniami zza przysłaniających okna kotar. Irga uśmiechnął się w duchu, znał bowiem te spojrzenia. Sam nie tak dawno słał identyczne za wielkimi Bractwa, których tajemnicze ścieżki niekiedy raczyły przeciąć jego, czekającego, drogę. Dziś on był tym, który wzbudzał ukrywaną starannie ciekawość młodszych braci. Ciekawość, podziw i szacunek.

Wspinaczka zakończyła się na płaskiej półce, stanowiącej dach ostatniej kondygnacji, wykutej w litym kamieniu siedziby Zabójców. W głębi, gdzie sztucznie poszerzona płaszczyzna stapiała się z górą, wznosiły się trzy gigantyczne skalne ostrza. Rozpoznał je, choć nigdy dotąd nie było mu dane ich widzieć. Threkhte-n-Uoso, Zęby Góry, terytorium wiecznej tęsknoty, miejsce symbolicznych obrzędów jej spełnienia. Rytuałów rzadko odprawianych, bo historia znała nieliczne wypadki, gdy splot wydarzeń sprowadzał w to miejsce niezbędne rekwizyty. Tu, do odciętej od świata enklawy Oll-hirr.

Kki-daar zniknął w cieniu skalnych ostrzy. Do uszu To-sara dobiegł stamtąd szum. Zza ołtarza wypełznął kłęb jasnej mgły. Rozlał się po całej półce, odgradzając ją od eneiki nieprzejrzystym welonem. Irga miał wrażenie, że się wznosi. Nie, nogi nadal tkwiły na kamiennej opoce, a zenit i nadir pozostały na swych miejscach. Nic się nie zmieniło, ogarniało go tylko jakieś dziwne, irracjonalne uczucie. Jakby zdolność percepcji podzieliła się:

jednocześnie był na dachu klasztoru i leciał wsysany przez potężny, sinosrebrny wir.

Mistrz wyłonił się z mgły jak zjawa. W złożonych, wyciągniętych przed siebie dłoniach trzymał coś, co z nieodpartą mocą przyciągało wzrok Irgi. Mały, ciemny, lekko zakrzywiony stożek. Deuryon.

To-sar sięgnął do sakwy. Poczuł chłód szorstkiego kamienia. Zacisnął kurczowo palce, czując mimowolną ulgę, że wolno mu wreszcie bezkarnie to uczynić. Chłód Yorvilla stopniowo łagodniał wchłaniany przez ciepłą dłoń. Wydobył kryształ. Trzymając go koniuszkami palców, zbliżył rękę do uniesionych dłoni Kki-daara. Szept zaklęcia rozbrzmiał w chwili, gdy kamienie zetknęły się. Błękitna iskra rozjaśniła na ułamek sekundy ich ciemne wnętrza i zgasła, nim zdążyli dojrzeć cokolwiek więcej.

– Poznały się – szepnęła To-sar.

– Tak, lecz zabrakło sześciu, by mogły zespolić się na nowo – Kki-daar zamknął Deuryon w dłoni.

– Po co to wszystko? Przecież wiadomo, że do zespolenia potrzeba wszystkich ośmiu. I nie wystarczy zaklęcie poznania! Czy jest w tym...

– Mamy obowiązek próbować. I wierzyć, i mieć nadzieję, i tęsknić... Tak kazał Trorr-ud.

Mgła rozwiewała się z wolna.

*

– Gdzie się podział To-sar? – spytał niewyraźnie Jastihoreno, żując leniwie żdźbło trawy. Jego ton wskazywał, że wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Siedzieli na tarasie przed wejściem do komnaty, wystawiając twarze do ciepłych promieni Jasti i rozkoszując się ostatnimi

chwilami bezmyślnego nieróbstwa. Następnego dnia mieli ruszyć dalej. Znowu w podziemia. Wędrówka przez ciemność i strach stawała się czymś powszednim. Początkowo mieli nadzieję, że zdołają przedostać się przez tereny Urum do Torivii, gdzie Iti chciał dowiedzieć się czegoś o tajemniczej Wieży Życia, o której wspominały Tablice. Okazało się to jednak niemożliwe. Krótka granica między państwem Ceranów a księstwem eneików Urum była zamknięta. Władca z Worh, łamiąc odwieczną, świętą regułę nienawiści, przyjął zwierzchnictwo Durlocku. Poza tym próba penetracji Torivii w poszukiwaniu śladów Wieży skazana była na porażkę: Torirowie dawno ulegli wpływom imperium, do powstania którego walenie się niegdyś przyczynili. Jedyne, co mogli zrobić wędrowcy, to przejść przez terytorium Durlocku wzdłuż jego wschodniej rubieży, omijając Torivię, do Królestwa Shonnów. Wbrew pozorom była to najbezpieczniejsza droga po tej stronie Smoczyc Gór. Lesiste pogranicze nad Urtem rzadko odwiedzali zbrojni z Morv. Zbyt wiele strasznych legend krążyło o tych stronach, zbyt wyraźny był oddech Pustyni Śmierci. Ziemia na wschodnim brzegu Senny, choć formalnie podlegała Durlockowi, była właściwie niczyja. Czasem spotykano tam zdziwaczałych samotników, wywodzących się spośród eneików lub tornów bez przynależności plemiennej, których przodkowie przywędrowali w owe strony po klęskach poniesionych przez oba torneńskie narody z rąk bezwzględnych pobratymców z zachodu. Tam powinni znaleźć przewodnika, który przeprowadzi ich do granic ostatniego wolnego bastionu niebiańskiej rasy. Jedno stało planom na przeszkodzie: aby przedostać się nad Urt, omijając księstwo Urum, należało jeszcze raz zagłę-

bić się w labirynt pod górami, a potem pokonać Pustynię Śmierci.

Na razie o tym nie myśleli. Korzystali z chwil wytchnienia, otrząsając się powoli z napięcia towarzyszącego im od czasu ucieczki z Kvit. Niebawem znów wróci, by zadomowić się w sercach na nie wiadomo jak długi czas. Ale to dopiero nastąpi, na razie cieszyli się słońcem. Tylko Iti naciągnął kaptur na głowę. Nie miał żadnych szczególnych powodów, Ceranowie nie przywiązywali wagi do lśniącej czupryny. Był to odruch.

Błądząc myślami, wodził wzrokiem po rozległej poło-
ninie, wznoszącej się łagodnie ku skalistym graniom. Jakiś ruch zwrócił jego uwagę. Przyjrzał się uważniej. Na stoku odbywało się polowanie. Wyraźnie widział półkolistą linię nagonki i biegnące zwierzę. Obława zbliżała się. Mógł już odróżnić szczegóły postaci łowców i sylwetkę uciekającego stworzenia.

– Spójrzcie tam – usłyszał głos Vortara. – Karzełki bawią się w myśliwych.

– Co to za zwierzę? – Jastihoreno pochylił się nad krawędzią tarasu i, przysłoniwszy oczy dłonią, bacznie obserwował scenę na dole. – Wygląda na kuara.

– Jest za duże na kuara, zresztą one nie żyją w górach – zastanowił się Vortar.

– Przecież to... kiset! – Iti zerwał się na równe nogi. – Chodźmy tam! – skierował się w stronę schodów.

– Bywają jeszcze dzikie kiset? – zdziwił się stary, podążając za Iserem.

– Nie bywają, nigdy nie było w Loinie dzikich kisetów. Zostały przywiezione przez Iserów podczas Świętej Wędrówki. Musimy dowiedzieć się, do kogo należało to

zwierzę i co stało się z jego właścicielem. Przecież podobno żaden wal nie gościł w tych stronach przed nami.

Zeszli z tarasu i ruszyli w stronę, skąd słyhać było odgłosy nagonki. Kępa niskich krzewów zasłaniała widok, lecz dobiegające ich uszu wrzaski świadczyły, że myśliwi są już niedaleko. Gałęzie rozchyliły się z trząskiem. Zwierzę wypadło na otwartą przestrzeń i zatrzymało się zaskoczone widokiem nowych przeciwników. Refleks miało znakomity. Błyskawicznie oceniło szanse i z rykiem skoczyło w stronę walów. Raptem kiset stanął jak wryty. Ze świstem wciągnął powietrze w nozdrza, po czym po chwili wahania z gardłowym pomrukiem począł zbliżać się ku nim. Vortar uniósł do oka kuszę.

– Zaczekaj – głos Itiego brzmiał dziwnie, jakby Iser z trudem tłumił wzruszenie. – Nie do wiary, ale... to mój kiset!

Puścił się biegiem, z naprzeciwka w tanecznych podskokach pędziło ku niemu nieprzytomne ze szczęścia zwierzę. Jeszcze moment i przypadli do siebie, a potem długo trwali, dotykając się czołami.

*

To-sar zjawił się na tarasie, gdy jeszcze trwało powitanie cudownie odnalezionego zwierzęcia. Zaskoczony patrzył na rozgrywającą się w dole scenę, aż pojął jej sens i zdziwienie zmieniło się w szacunek, a potem zabobonny lęk. To-sar wiedział coś, czego jeszcze nie wiedzieli walowie: Gór Smoczych nie sposób przebyć inaczej niż przez jaskinie. I nigdy nie zdarzyło się, by dokonał tego ktokolwiek, nie mówiąc o zwierzętach, bez udziału Zabójców. Do tej chwili.

Zszedł na dół. Nie reagując na pytania valów, obszedł kisetą dokoła. Zwierzę było wynędzniałe, ledwie trzymało się na nogach. Jego boki pokrywały głębokie, ropiejące szramy i zakrzepłe plamy zielonkawego śluzu. Najgorzej wyglądał łeb. Głębokie cięcie rozpruło skórę od nasady czaszki aż po wargi, przechodząc przez lewe oko. Pusty oczodół przerażał widokiem czarnej jamy z grubymi naroślami skrzepów. Z lewego ucha zostały strzępki, czego można było się jedynie domyślać, bo miejsce po nim również pokrywał wielki, szcerniały strup.

– Kirvi so! – szepnął do siebie To-sar, zaś głośno powiedział: – Trzeba, by zajął się nim zielarz. Inaczej nie dożyje nocy. Jego krew jest zatruta.

– Skąd te rany? – spytał Iti.

– To znak kirvi. Twój wierzchowiec spotkał drugiego po xinksie pana podziemi wraz ze świtą. I pokonał go.

– Jak to: "spotkał"? Sądziś, że przebył labirynt? To niemożliwe...

– To prawda. Dotrzeć tu można wyłącznie tamtędy. Jesteś posiadaczem niezwykłego zwierzęcia. Musimy opóźnić nasz wyjazd.

– Z powodu jego ran?

– Nie tylko. Istnieje tradycja, że każda z żywych istot, która samodzielnie przebędzie podziemia, ma prawo zostać przyjęta do klanu Zabójców. Do tej pory byli to wyłącznie eneikowie, lecz dziś ich monopol złamał twój kiset.

– Przecież to zwierzę!

– My nie dzielimy życia w taki sposób. Kiset jest synem Trorr-uda jak każdy z nas i, jeśli przeżyje, może dostąpić zaszczytu wstąpienia w szeregi Bractwa. Ponieważ nie umie sam wyrazić zgody, wolno ci będzie uczy-

nić to za niego. Teraz, jeśli chcesz uratować mu życie, chodź ze mną.

*

Dwie tercje seves minęły, nim kiset wylizał się z ran. W ciągu tych dwunastu dni Iti dwukrotnie tracił nadzieję, że zabiegi eneików ocalą życie rumaka. Zielarz był jednak dobrej myśli i, jak się okazało niebawem, nie bez podstaw. Dziesiątego dnia zwierzę odzyskało dawny wigor, zaś przez następne dwa z takim zapałem odrabiało zaległości w jedzeniu, że z trudnością udawało się jego opiekunom nadążyć z dostarczaniem mięsa. Wieczorem pierwszego dnia trzeciej tercji Iti wypuścił kisetę na polowanie. Według zapewnień zielarza nadszedł czas, by zaczął radzić sobie sam. Iser miał wątpliwości, które jednak zniknęły wraz ze wschodem słońca, gdy zwierzę zjawiło się pod bramą klasztoru. Było zmęczone, lecz syte i wyraźnie zadowolone.

W południe do kwatery walów przybył To-sar. Po zdawkowym powitaniu wziął Itiego na stronę.

– Przysyła mnie wielki Kki-daar-Diie. Nadszedł czas, byś odpowiedział w imieniu swego kisetę. Bractwo Zabójców otwarło przed nim szeregi. Odpowiedz, czy chce być jednym z nich?

– Zasłużył na to.

– Pozwól zatem zabrać go na ceremonię inicjacji. Tobie, niestety, nie wolno wziąć w niej udziału.

– Obawiam się, że beze mnie trudno wam będzie nakłonić go do posłuszeństwa.

– Załóż mu kaganiec i pomóż spętać. Później jakoś sobie poradzimy.

Czterech eneików z wysiłkiem dźwignęło nosze z kandydatem na Zabójcę. Patrząc za nim, Iti żałował, że nie może być świadkiem ceremonii. Trochę go śmieszyło to równouprawnienie, jednocześnie był ciekaw, jak eneikowie poradzą sobie z trudnym do poskromienia zwierzęciem. Nie mieli przecież wprawy, byle irman sprawiał im kłopot, a cóż dopiero bojowy kiset, którego potrafili ujarzmić, poza nielicznymi wyjątkami, wyłącznie Iserowie.

Rytuał trwał długo. Zbyt długo jak na niecierpliwą naturę Itiego. Wreszcie pojawił się To-sar. Jego ubranie przesiąknięte było dymem, w ręce trzymał małe zawiniątko.

– Już po wszystkim – powiedział. – Zabójcy zyskali niecodziennego brata.

– Gdzie on jest?

– W swej nowej kwaterze. Nie uchodzi, by Zabójca mieszkał w stajni.

– Opowiedz mi, jak to się odbyło – poprosił Iti. – Przypuszczam, że narobił wam kłopotów.

– Nie tak wiele. Trudno streścić w dwóch zdaniach rytuał przyjęcia. W każdym razie twój wierzchowiec od dziś nosi imię Kirvi-ginn, co znaczy Pogromca Kirvi. A oto symbol jego przynależności do klanu – podał Iserowi zawiniątko.

– Co to jest? – Iti z ciekawością rozwinął tobolek. Ze środka błysnęło ciemne ostrze noża. – Garnag?

– Nie jest to zwykły nóż – odrzekł eneika. – To święty garnag Zabójców. Jego ostrze wykonano z metalu ngorhi wydobytego z wnętrza gór. Ma tę szczególną właściwość, że staje się przezroczysty i świeci czerwono, gdy znajdzie się w kręgu blasku xinxa. Metal ten podarował

Torr-ud... – urwał, jakby zorientował się, że mówi zbyt dużo.

Iti spojrzał na niego zaskoczony nagłą przerwą.

– Co się stało? Czemu zamilkłeś? – zapytał, konstatując ze zdziwieniem zmieszanie eneiki.

– Nie... nic. Nie wszystko w podaniach eneików jest przeznaczone dla obcych uszu, wybaczyć... Przechowaj nóż swego wierzchowca. On usłyszał wszystko, również to, czego tobie wiedzieć nie wolno.

Iti poszedł do kiseta. Łatwo go odnalazł, gdyż wejście do izby otaczał wianuszek ciekawskich. Zwierzę widać budziło respekt, bo promień wianuszka był dość duży. Przepchnął się między eneikami i wszedł do środka. Kiset stał wciśnięty w kąt i warczał złowrogo. Najwyraźniej nie podobało mu się ani zamieszanie, ani nowa siedziba. Na widok Isera chrapnął radośnie i przypadł do ziemi, zamiatając piasek ogonem. Spod uchylonych warg błysnęły zęby.

Iti przykucnął przy nim, ujmując w dłonie okaleczony łeb.

– I jak ci się to wszystko podoba, Kirvi-ginn? – wyszeptał do ucha zwierzęcia.

Kiset łypnął na niego jedynym okiem, szeroki jęzor zostawił na policzku wał ciepły, wilgotny ślad.

*

Chybotliwy płomień rzucał rozedrgane cienie na żółconą naciekami caliznę. Rozłożyli się w głębokiej wnęce, u jej wylotu rozpalili trzy duże ogniska. Dawało to pewność spokojnego odpoczynku przynajmniej do czasu ich wypalenia. Aby nie nastąpiło to zbyt szybko,

rozdzielili warty. Właśnie przyszła kolej na Itiego. Zwolnił Ro-nona, przewodnika przydzielonego im przez Bractwo dla przeprowadzenia karawany pod górami, i usadowiwszy się wygodnie między głazami, począł wpatrywać się w płomienie. Senność ustępowała z wolna. Jeszcze czuł ją w kościach rozleniwionych krótką drzemką, za to umysł miał już trzeźwy, chłód ciągnący od wilgotnych ścian przepędził resztki snu całkowicie.

Było cicho. Moszczący się na posłaniu Ro-non wreszcie znieruchomiał i zapadł w sen. Nic już nie mąciło spokoju podziemi. Jedynym dźwiękiem był trzask iskier w ogniskach. Musieli oszczędzać suche drwa, bo ich zapas był niewielki. Palili więc dziwne, białawe kłacza, porastające tu i ówdzie ściany tunelu. Płonęły łatwo, ale ponieważ zawierały znaczną ilość soków, dawały gęsty dym i strzelały, gdy żar rozsadzał ich twarde korzenie. Płoszyło to zwierzęta, które reagowały na fajerwerki iskier niespokojnym tupotem.

Był to ich trzeci postój. Labirynt wiodący z państwa Ceranów w kierunku Pustyni Śmierci wił się i pętił, tworzył gmatwaninę korytarzy, których nie przeszliby, gdyby nie dany im przez klasztor przewodnik. Ale nawet on, znający tę część jaskiń, tracił czasami orientację i już kilkakrotnie zmuszeni byli zatrzymać się do czasu, aż Ro-non odnajdzie drogę.

Oprócz przewodnika otrzymali również dwa juczne irmany. Nie były to dobrze znane na Przedgórzu, rosłe zwierzęta o rozłożystych rogach, lecz niewielkie, skarłate stworzenia, silne jednak i zaprawione w górskich wędrówkach. Na ich grzbiety załadowano wszystkie pakunki oraz zapas drewna na ogniska. Również kiset musiał pożegnać się ze swą zwykłą rolą, zamiast jeźdźca przyjął

na siodło toboły z żywnością. Nieprzywykłemu do juków niezbyt się to podobało, ale po krótkim oporze przestał protestować, godząc się z przydzieloną funkcją.

Czas sączył się z wolna, cisza ponownie usypiała. Byłby w końcu zasnął, gdyby nie jakiś ruch poza linią światła. Nawet nie ruch, jedynie uczucie czyjejs obecności tam, gdzie nie sięgał blask ognia. Ośmieleni bezruchem intruzów nadciągali mieszkańcy mroku. Dotąd trzymali się z daleka, tabor był zbyt liczny. Odwagi nabierali dopiero podczas odpoczynku wędrowców. Zacieśniali wtedy pierścień na granicy ciemności, nadając jej materialny wymiar. Najsilniej na ich obecność reagował kiset. Nic dziwnego, miał sposobność poznać je z bliska. Również teraz Iti usłyszał basowy pomruk zwierzęcia. Odwrócił się.

Kiset stał naprężony jak struna, drgające wargi odślaniały długie kły. Po jakimś czasie począł zbliżać się do wylotu wnęki. Każdy jego krok zdradzał olbrzymie napięcie, ale nie było w tym, ku zdumieniu Isera, ani kropli strachu. Choć zwierzę pozornie było spokojne, Iti wiedział, że ogarnęła je bezwzględna żądza zabójstwa. W pierwszym odruchu chciał go przywołać, lecz patrzył tylko z zapartym tchem na pełen zimnej determinacji marsz zwierzęcia ku mrocznemu kręgowi.

Tuż przy granicy, tam, gdzie światło ognisk wchłaniała ciemność, kiset zatrzymał się. Stał długą chwilę, wpatrując się w mrok. Nagle runął w noc z chrapliwym rykiem. Zakotłowało się i do uszu Itiego dobiegły przejmujące wrzaski i skowytania. Zerwał się na nogi i, chwyciwszy płonące polano, z wyciągniętym mieczem skoczył w ślad za zwierzęciem. Nie zdążył nawet minąć linii ognisk, gdy kiset pojawił się ponownie. Pełznął tyłem,

włokąc bezkształtny łachman. Iti zatrzymał się ogarnięty przerażeniem i wstrętem. To, co taszczył kiset, nie dawało się porównać z żadnym ze znanych mu stworzeń. Olbrzymi, rozedrgany poleć zielonkawej galarety wił się setkami cienkich macek, w bezsilnej wściekłości siekąc zaciśniętą na swym ciele paszczę. Każde smagnięcie zostawiało krwawą pręgę na łbie i bokach zwierzęcia, które jednak nie rozluźniało uchwytu, nieubłaganie wciągając potwora w zasięg blasku. Broniące się rozpaczliwie stworzenie zostawiało za sobą smugę błyskawicznie parującej, burej cieczy. Gdzieś spomiędzy jego macek dobywał się przenikliwy, wibrujący bulgot.

Iti obserwował śmiertelne zmagania w zupełnym bezruchu. Przerażony nie mógł wykonać najmniejszego gestu, by dopomóc kisetowi. Ten jednak najwyraźniej nie potrzebował pomocy. Jego działania były pewne i celowe. Krok za krokiem, nie luzując chwytu ani na moment i nie zważając na palące razy, ciągnął swego przeciwnika w stronę ogniska. Dzieliła go od niego długość włóczni, gdy z potworem zaczęło dziać się coś dziwnego. Żalсны wrzask przeszył powietrze i galaretowate ciało zaczęło się kurczyć. Wydawało się, że światło i ciepło rozpuszczają je. Jak ogrzewany oddechem sopel, monstrum zmieniało się w kałużę cuchnącej brei. Kiset nie musiał nawet otwierać pyska: to, co niedawno było jeszcze żywym, twardym połciem, przeciekło mu między zębami dwiema strugami sinego śluzu. Odskoczył od swej ofiary i, ocierając mordę łapą, przyglądał się jej agonii tak spokojny i obojętny, jakby nic się nie stało, jakby przed kilkoma chwilami nie stoczył walki na śmierć i życie.

Zaszokowany tym widokiem Iti nie zauważył dotąd, że nie jest jedynym świadkiem zdarzenia. Obudzeni od-

głosami walki towarzysze stali za nim i w milczeniu przyglądali się topniejącemu w oczach zewłokowi.

– Dosh! – szepnął po dłuższej chwili Ro-non.

– Tak, to był dosh – odezwał się To-sar. – Kirvi-ginn udowodnił, że godzien jest swego imienia.

– Rozpuścił się! – Vortar w zdumieniu oglądał śmierdzącą kałużę. – Rozpuścił się jak kawał łożu nad ogniem!

– Dosh to autochton podziemi, jeden z tych, którzy byli tu zawsze. Niegdyś podobne mu stworzenia władały jaskiniami. Kirvi jest z nich największy. Dopiero przybycie xinxów położyło kres ich panowaniu w labiryncie.

– To xinx nie pochodzi stąd? – zdziwił się Iti.

– Smoki są dziećmi Pustyni Śmierci. Bardzo dawno temu zadomowiły się w jaskiniach. Dzięki swemu blaskowi stały się nietykalne dla tutejszych stworów, które zabija światło.

– Lecz skąd o tym wiedział kiset?

– W tym zwierzęciu lęk zastąpiła nienawiść. A nienawiść jest najlepszą pożywką dla jego instynktu, który potrafi podpowiedzieć więcej niż najtęższy rozum. Skoro kiset zauważył, że jego wrogowie boją się światła, pierwszym odruchem było wciągnięcie przeciwnika w zabójczą dla niego strefę.

– To już jest logiczne myślenie, przypisujesz mu chyba zbyt wiele – Jastihoreno nie był do końca przekonany.

– Kirvi-ginn przeszedł zwycięsko szkołę ciemności. Nie sposób nawet domyślić się, czego musiał się nauczyć. A że był dobrym uczniem, miałes okazję widzieć.

– Nie zdziwię się, jeśli następnym razem przywlecze tu xinx – mruknął Vortar i, choć w jego głosie brzmiały nuty podziwu, dodał złośliwie: – Zresztą, nawet powinien, przecież zrobiliście go Zabójcą...

To-sar pominął milczeniem kpiącą aluzję starego. On znał podziemia i wiedział, że żartować z nich nie wolno.

*

Wędrowka miała się ku końcowi, tak przynajmniej twierdził znający dość pobieżnie te jaskinie Ro-non. Nadszedł czas, by opuścić podziemia, gdyż wszystkie zapasy były już na ukończeniu. Największą groźbę stanowiła szybko malejąca liczba łuczyw, dlatego do rozpalania ognisk nie używali już drewna, zastępując je rosnącymi gdzieś w wąskich szczelinach roślinami. Rachityczne kłaczka dawały nikły blask, nie grzały zupełnie, ale resztki drzewa należało oszczędzać na wypadek, gdyby przedwcześnie skończył się zapas pochodni.

Tego dnia, o ile można było mówić o dniach i nocach, napotkali pierwszy znak świadczący o rychłym końcu drogi. Niespodziewanie w zasięg światła wpadł griios, mały mieszkaniec jaskiń i lochów. Trzepotał się rozpaczliwie, oślepiony blaskiem płomieni, bił błoniastymi skrzydłami to po ścianach, to po głowach podróżnych. Opędzali się ze wstrętem, witając go jednak z radością. Bo griios, choć był synem nocy, polował zazwyczaj na otwartej przestrzeni. To stworzenie z krwi i kości nie lubiło co prawda światła, lecz nie ulegało jego niszcycielskiej sile.

Kłapaniecie paszczy kiseta zakończyło obłąkańczy lot stworka. Wędrowcy przyspieszyli kroku. Perspektywa ujrzania dziennego światła dodała im sił. I właśnie wtedy ujrzeli kolejną odnogę podziemnego korytarza. Może nawet minęliby ją, gdyby nie To-sar. Idący za przewod-

nikiem eneika zatrzymał się raptownie, aż Vortar wpadł na niego z impetem.

To-sar jakby tego nie zauważył, bacznie wpatrywał się w czarne oko odgałęzienia. Wydawało się, że dostrzega tam coś, co było niewidoczne dla pozostałych wędrowców. Spojrzeli w głąb korytarza. Początkowo nic. Ot, zwykła dziura, jakich setki minęli do tej pory. Dopiero gdy oczy przywykły do panującej w niej ciemności, gdzieś w oddali dojrzeli nikłą poświatę. Wiedzieli, co jest jej źródłem.

– Jest – Vortar mimowolnie ściszył głos.

– Chodźmy już, na szczęście nie stoi na naszej drodze – Jastihoreno ruszył naprzód, lecz nikt nie poszedł w jego ślady.

Iti i Ro-non czujnie obserwowali zmienioną twarz To-sara, Vortar jak zauroczony patrzył w czeluść odnogi. Na jego kurczowo zaciśniętych szczękach pojawiły się kropelki potu. Irga westchnął. Był to przeciągły, niespieszny wydech, zakończony słowem tak cichym, że ledwie słyszalnym:

– Idę...

Ro-non przyskoczył do niego, na lawinę szybkich słów odpowiedzią był przeczący ruch głowy i gest wskazujący najpierw na valów, potem na szlak ku wyjściu. Ceran opuścił głowę z grymasem zawodu, ale nie nalegał. Irga zwrócił się do towarzyszy:

– Ro-non wyprowadzi was z podziemi, idźcie za nim.

– A ty? – zapytał Iti.

– Ja...? Ja jestem Geue. Xinx mnie wzywa – ruszył w głąb korytarza.

– Zaczekaj! – krzyknął za nim Iser. Eneika zatrzymał się, spoglądając ze zniecierpliwieniem na vala.

- Cóż jeszcze?
- Chciałem ci powiedzieć... Będziemy czekać, To-sar. Irga uśmiechnął się.
- Jeżeli Trorr-ud zechce, dogonię was jeszcze przed wyjściem, jeśli nie... czekanie będzie stratą czasu. Iti zacisnął dłoń na jego ramieniu.
- Wierzę, że zwycięzysz. Bądź mężny, eneiko – odwrócił się. Nie chciał, by Irga zobaczył teraz jego twarz.
- Jeszcze jedno, Itijasti – usłyszał jego głos. – Mam coś dla ciebie. – Spojrzał przez ramię. Eneika wyciągał ku niemu swoją sakwę. – Jako powiernikowi Kirvi-ginna wolno mi przekazać ci Yorvilla.
- Iti z wahaniem popatrzył na torbę.
- Chyba nie mam prawa... Daj to lepiej Ro-nonowi.
- Wolę tobie. Być może tobie bardziej się przyda. Musisz mi tylko obiecać, że gdy tylko osiągniesz swój cel, zwrócisz kamień Irgom.
- Przysięgam.
- Nachyl się teraz. Chcę przekazać ci zaklęcie, a znać je może jedynie posiadacz Władcy Przestrzeni.
- Przyciągnął głowę Itiego do swych ust i szepnął jedno słowo, a następnie powiedział głośno:
- Zapamiętaj je. Pamiętaj też, że wolno ci użyć go tylko raz, bo chociaż kamień jeszcze dwukrotnie może panować nad przestrzenią, powtórne użycie zniszczy go. Yorvill musi połączyć się z braćmi, a do tego potrzebna jest przynajmniej jedna doza mocy.
- Obiecuję spełnić wszystko, czego żądasz, ale wierzę, że niedługo będę mógł ci go zwrócić.
- Żegnaj – Irga uśmiechnął się i zagłębił w tunel.
- Patrzyli za nim, aż migocące światelko pochodni skryła czerń. Potem ruszyli w dalszą drogę. Panowało

milczenie. Trwoga i niepokój ścisnęły gardła i serca. Szli wolno, coraz wolniej. Wreszcie zatrzymali się. Stali, patrząc jeden na drugiego z poczuciem winy.

– Niech moce Zranna pożrą moją duszę! – wrzasnął w końcu Vortar. – Nie zostawię go samego! – zawrócił i pognął z powrotem.

Iti, jak gdyby tylko czekał na sygnał, dopadł kisetą. Zrzuciwszy juki skoczył na siodło i spiał zwierzę do galopu. Po chwili wyprzedził Sorva i popędził w głąb odnogi. Jastihoreno jeszcze się wahał. Popatrzył za znikającymi w ciemności, zamyślił się nad czymś, zerknął na nieruchomo stojącego Ro-nona i, niedbale poprawiwszy rzemienie miecza, ruszył za nimi początkowo niespiesznie, potem szybciej i szybciej, aż i on pobiegł, porzucając swą książeczką dumę. Byli coraz bliżej, świadczyła o tym obecność jasnej poświaty na ścianach, ale odgłosów walki nie słyszeli. Napięcie zaczęło odpływać i, choć nie zwolnili kroku, spokojniej biegli na spotkanie. Cisza oznaczała, że do starcia chyba jeszcze nie doszło. Nie spodziewanie natknęli się na zaporę. Korytarz wyglądał na ślepy. Zbliżyli się zdezorientowani, bo nie dostrzegli rozgałęzień w jaskini, i nagle zrozumieli. Droge przegradzało olbrzymie cielsko martwego xinxu. Wpatrywali się w potężne truchło zaskoczeni niesamowitym widokiem.

Vortar otrząsnął się pierwszy.

– Zabił go! – sapnął z ulgą. – Zabił go, diabelski niedorostek! – z rozmachem walnął obuchem topora w skałę, dając upust rozpierającej go radości.

Jastihoreno podszedł do xinxu i zaczął oglądać go ze wszystkich stron.

– Ten poprzedni to przy nim niemowlę! – nagle zamilkł i jeszcze raz obszedł smoka, badając uważnie jego skórę.

– A gdzie podział się zwycięzca? – Iti rozejrzał się wokół.

– Iti, Vortar, chodźcie tu! – w głowie Jastihoreno zabrzmiała trwoga.

Podeszli bliżej. Książę odwrócił się. Twarz miał zmartwiałą, bez kropli krwi.

– Na ciele... nie ma rozcięcia...

Nie dowierzając słowom Jastihoreno, kilkakrotnie okrążyli smoka. Wreszcie pojęli.

– Hes givr niidde To-sar-Diie – rozległ się cichy głos za nimi. Ro-non stał z pochyloną głową, intonując gardłową pieśń.

Zrozumieli to zdanie bez tłumaczenia.

*

Wzgórza, jak fala powodzi niosąca ogrom kolorowych gałganków, mieniły się i drgały. Pokrywała je nieprzebrana masa różnobarwnych ruchliwych punkcików, wypełniających niemal każdy skrawek stepu. Z miejsca, gdzie stał Asti, trudno było dostrzec większą niż na kilka kroków połąć trawy, całą przestrzeń pochłonał olbrzymi obóz koczującej armii.

Daleko w przedzie tęczyowy łąn urywał się prostą jak od cięcia linią. Były to fortyfikacje piechoty, wzniesione naprędce, bo czasu mieli niewiele. Ten fakt nie martwił naczelnego wodza, nie w piechocie tkwiła moc jego wojska. Ci, którzy stanowili o jego potęgę, tworzyli jądro owej barwnej fali, przemieszczającej się ze środka obozu

ku przodowi. Asti oczyma wyobraźni widział wilgotne od potu grzbiety kisetów, słyszał ich pomruki i szcęk panczerzy. Prawie czuł zapach rozgrzanej słońcem skóry zwierząt. Charakterystyczna woń łoju, którym zbrojni zwykle smarowali rzemienie uprzęży i troki blach, niemal realnie drażniła powonienie. Bo choć z tej odległości chorągwie przypominały migocące węże, choć nie sposób było odróżnić sylwetek pojedynczych jeźdźców, Asti był wśród tych, którzy od dzieciństwa stanowili jego najbliższe otoczenie, wśród swych opiekunów, towarzyszy i przyjaciół.

Przed czołem fortyfikacji rozciągał się szeroki, ledwo widoczny wśród mglistego oparu, równinny pas stepu, tuż nad nim kłębiła się mgła. Rozwiewane lekkimi podmuchami wiatru snuły się jej przezroczyste pasma. W oddali, tam, gdzie rozmywał się kontur ziemi, odkrojona od niej siwym obłokiem czerniła się mroczna wstęga, która zdawała się spinać niebo i ziemię. Przypominała odległy cień lasu, lecz doświadczeni żołnierze nie dali się zwieść pozorom. Nawet jeśli nie znali tych stron i nie wiedzieli, że lasów tu nie ma. Bo każdy val, który miał okazję widzieć kiedyś krajobraz wojny, rozpoznał lub przeczuł, czym jest ciemna smuga na horyzoncie.

Cień wrogiej armii.

Dalej wzrok nie sięgał, ale gdzieś tam, za plecami stojących przed Iserami pułków, wznosiły się mury Kormu. Górowały nad pierścieniem oblegających wojsk niczym wyspa. Na rozmieszczonych wokół twierdzy bastionach załamywały się idące jeden za drugim szturmy. Spełzły na niczym próby drażenia podkopów, gdyż fortyfikacje wzniesiono na litej skale. Jednak same mury, choćby najpotężniejsze, nie mogą się opierać nawale w nieskoń-

czoność, a siły obrońców wyczerpywały się. Mimo to, zamknięta w twierdzy od pierwszych kari złotego przełomu, załoga nadal stawiała opór. Dziś obrońcy trzymali się już tylko dzięki desperacji.

Przybycie wielkiej armii księstwa obudziło nadzieję, albowiem wśród oblężonych krążyły nie wiadomo gdzie powstające i przez kogo rozgłaszane wieści o nadciągających tornach. To zwiastowało ostateczny upadek. Teraz, chociaż armia stała o dwa dni drogi od bram, choć aż po Góry Smocze sięgał złowieszczy krąg, ze spokojem oczekiwali ich przybycia. Wiara w boską siłę słonecznych książąt dodawała otuchy. Obecność wybrańca zneutralizuje Moc, pozwoli przeżyć i zwyciężyć.

Lecz złoty książę był jeszcze daleko, a na jego drodze stała potężna armia Durlocku.

Asti znał myśli obrońców jak własne, potrafił wczuć się w sytuację targanych skrajnymi uczuciami wojowników. Dlatego parł ku bitwie, która miała przesądzić o wszystkim, z największym, na jaki stać było wojsko, pośpiechem. I stanęli w końcu oko w oko z wrogiem. Okazał się przebieglejszy, niż przypuszczano. Nie udało się dotrzeć pod mury twierdzy, armia Durlocku wyszła Iserom naprzeciw.

Była wielka. Nie na tyle, by nie dało się jej pokonać, nie w tym tkwiła groźba. Do uszu wodza również doszły informacje o nadchodzących tornach. Jeśli nie zdoła zwyciężyć przed ich przybyciem, Korm ugnie się przed Mocą, a i los głównych sił zawiśnie na najcieńszej z nittek. Bo wówczas wszystko będzie zależeć od Anutajastiego. Czy wystarczy słabemu księciu woli, by odeprzeć zwielokrotnioną przez liczne umysły Moc...? Armia w to wierzyła, tak być musiało, lecz Asti wiedział, że trzeba

niezwyczajnej siły, by zrównoważyć potęgę umysłów wielu tornów osłoną jednej aureoli. I zdawał sobie sprawę, że takiej próby nie przeżyłby nawet największy spośród minionych władców, a cóż dopiero Anutajasti. Dlatego musiał wygrać tę bitwę i, jeśli bogowie będą sprzyjać, zdążyć na odsiecz twierdzy, zanim dojdzie do starcia z tornami. Potem rzuci im na pożarcie słonecznego księcia i dzięki jego poświęceniu odeprze nawałę. To była jedyna droga ocalenia, widział ją jasno od czasu, gdy doniesiono mu o podążającym od strony Morv srebrzystym orszaku.

Nie wiadomo, ilu tornów zmierzało ku Iserii: kilkunaśtu czy kilkuset. Im bliżej granicy znajdował się ów pochód, tym większa była liczba podawana przez szpiegów. Jak gdyby orszak mnożył się po drodze, z każdym krokiem pęczniąc i przybierając na sile. Byli jeszcze daleko, tak przynajmniej mu doniesiono, lecz odległość zmniejszała się nieubłaganie. Aby móc myśleć o zwycięstwie, należało zaczynać.

Rozesłał już wstępne rozkazy. Miał zamiar uderzyć pierwszy, nie czekając na inicjatywę przeciwnika. Wiedział, że wodzom z północy zależy na odwleczeniu bitwy. Czas był ich sprzymierzeńcem. Stosunkowo łatwo udało się rozeznaczyć ich siły: trzon armii stanowili Minnowie, zaś główną masę ghoty. Widziano również Nissków rozłożonych obozem nieco na uboczu. Nie opodal stacjonowali inni eneikowie, których narodowości nie udało się jeszcze ustalić. Sądził początkowo, że to drugi kontyngent żeglarzy zimnych mórz, ale różnili się od tamtych zarówno strojem, jak uzbrojeniem. Po namyśle doszedł do wniosku, że muszą to być eneikowie Urum. Był tym zaskoczony, nie przypuszczał, że Durlock objął swymi

wpływami również tę krainę. Dotąd zachowywała pozory neutralności, choć bardziej sprzyjała imperium niż valom. Tak oto Moc rozlewała się wzdłuż i wszerz Loinu, ogarniając coraz to nowe kraje, narody, rasy. Czy zdoła ją powstrzymać?

Dość tego. Musi skoncentrować się na najbliższej przyszłości. W dole, u stóp wzgórza, czekają najwyżsi dowódcy księstwa. Czekają na niego. To starzy, doświadczeni wodzowie, nie będzie musiał wiele tłumaczyć, zrozumieją w pół słowa. Jednak powinien do nich zejść i wydać szczegółowe dyspozycje. Przez chwilę poczuł niechęć. Był zbyt stary na wojaczkę, miał prawo oczekiwać od życia spokoju. Wiedział jednak, że jeszcze nie czas, jeszcze musi podjąć tę próbę.

*

Jazda szła ławą. Kołysały się rytmicznie długie szeregi kisecich łbów, drgały i migotały ostrza bodących niebo pik. Wydawać się mogło, że to ożył step i wzrosłymi nagle do monstualnych rozmiarów żdźbłami rozgarnia przepływające z rzadka obłoki. Natarcie wiodły lekkie pułki. Rozciągnięte w pięć szeregów po bez mała cztery tysiące jeźdźców każdy mieniły się wielobarwną tęczą ubiorów i kisecich rzędów. Przykrywała je chmura łopocących na wietrze chorągwi i buńczuków, za wojskiem płynął łomot wojennych bębnow.

Za nimi, o trzecią część lotu strzały, podążały chorągwie pancerne. Uformowane w kliny wyglądały jak rozwarłe przed atakiem potężne szczęki olbrzymiego zwierza. Szły w ciszy, dodający animuszu harmider pozostawiając lekkim i piechocie. Ta cisza miała im towarzyszyć

aż do chwil bezpośrednio poprzedzających starcie, kiedy to armia ożywała wielkim krzykiem wojennego zawołania. Tak nakazywała tradycja pancernych. Ich milczenie było straszniejsze niż bojowe okrzyki.

Przed nimi czerniały szeregi wrogiego wojska. Z tej odległości były bezkształtną masą, pokrywającą wzgórza ruchliwym nalotem. Jeszcze nie dało się wyróżnić w niej poszczególnych zbrojnych, jeszcze jawiła się złowrogą chmurą, nabrzmiąłą ładunkiem piorunów. Chmura ta rozpoczęła właśnie powolny marsz w stronę armii walów. W miarę jak malała rozdzielająca wojska przestrzeń, zmieniała się w morze głów, które wypełniało step od krańca do krańca.

Na ten widok mocniej zabiły serca rycerzy. Ten i ów zaczął popatrywać na dowódców, czekając na znak do zmiany tempa marszu. Lecz znaku nie było. Jazda szła stępą, jak gdyby nieświadoma nadciągającej nawały, która sunęła ku niej coraz szybciej.

Odległość zmniejszała się błyskawicznie. Już można było rozróżnić rozwarłe we wrzasku czarne paszcze ghotów, już niemal przed nozdrzami kisetów śmigały młyńce mieczów i toporów, gdy jezdni doczekali się upragnionego sygnału. Zadźwiewały gwizdki. Ława rozłamała się na pół, z miejsca ruszając galopem. W środku otwierała się coraz szerzej pusta przestrzeń, w której pojawiły się pierwsze kliny pancernych. Lekkie pułki starły się z nieprzyjacielem. I znów, jak pod Tigge, zanim zadźwiewała broń, jeźdźcy w pełnym pędzie zeskoczyli z siodeł, uwalniając kisetę. Między ghoty wdarła się podwojona liczba przeciwników, z czego tylko połowa zbrojna była w żelazo i mosiądz, reszta miała kły i pazury.

Wrogi szereg pękł. Oba skrzydła powstrzymane atakiem jazdy stanęły w miejscu, zaś środek, nie napotkawszy przeszkody, pędził dalej siłą bezwładności, zanim pojęto manewr Iserów i dowódcy zaczęli przegrupowywać szyki. Odezwały się rogi. Ghoty zwolniły bieg. Skrajne sotnie zaczęły odwracać się ku skrzydłom iserskich pułków, próbując zamknąć je w okrążeniu. Lecz przednie szeregi nie powtórzyły manewru. Oto dostrzegły prawdziwy cel rozłamania armii: zabrzmiał potężny krzyk i pancerne chorągwie runęły na najeźdźców. Jak podcięty łań legły zgniecione zastępy z pierwszej linii, prawie w całości zmiażdżone ciosem tysięcy kopii. Pancerni wbili się w środek regimentów, nie zwalniając prawie biegu. Tu dopiero masa, bo nawet nie oręż, przeciwników poczęła hamować pęd chorągwi, jak gęste błoto oblepiwszy brzegi klina. Rozpoczęły się krwawe zapasy. I chociaż liczba ghotów wielokrotnie przewyższała liczbę jezdnych z księstwa, olbrzymi tłum zachwiał się, a potem z wolna począł się cofać. Górę brało mistrzostwo oręża Iserów, którzy mieli przeciw sobie jedynie krwiożerczy instynkt tych na wpół rozumnych stworzeń, wyszkolonych na bitewne mięso i o taktyce mających mgliste pojęcie. Ich armia, rozbijana przez wgryzające się coraz głębiej pancerne ostrza, rozszczepiała się na dwie części. Już tylko kilka szeregów dzieliło czoło iserskiego klina od przebicia jej na wylot, gdy na tyłach ghotów wybuchło zamieszanie. Ze znajdującego się za ich plecami wzgórza pędził wielotysięczny regiment Minnow. Ghoty pryskały na boki, otwierając drogę jeździe i ratując się przed stratowaniem przez rozpędzone irmany.

Oddział z wielką siłą uderzył na odsłoniętych Iserów. Impet ataku zachwiał zmęczonymi pułkami i powstrzy-

mał ich pochód. Jeźdźcy z pierwszego rzędu natychmiast zostali zastąpieni przez rycerzy z drugiej linii, bitwa wyrównała się. Zaczęła przypominać zmaganie dwóch mocarzy, z których żaden nie może pochwalić się przewagą siły.

Asti obserwował walkę ze szczytu wzgórza wraz z otoczonym świtą księciem. Szarzę Minnów dostrzegł wcześniej niż walczący. Zaraz też dał znak Ullothowi, któremu powierzył dowództwo odwodu. Sześć doborowych pułków ruszyło galopem, by po kilku chwilach zniknąć w gęstym тумanie kurzu. Uderzyli nieco z boku, po przekątnej wielkiego prostokąta, w który uformowała się bitwa. Od razu ścięli jej najdalej na wschód wysunięty narożnik, wbijając się weń jak pięść w rozmiękłą glinę. Lewe skrzydło ghotów ugięło się pod ciosem, chwilę drgało jeszcze, olbrzymim wysiłkiem próbując zachować całość szeregów i skruszone prysnęło. Jeźdźcy Ullotha wydali okrzyk triumfu. Nie zmniejszając naporu, poczęli spychać przemieszane sotnie ku środkowi, gdzie pancerni zmagali się z Minnami.

Tłum cofających się ghotów naparł na valów z Durlocku, zakotłowały się i splątały szeregi. Nie pomogły wściekłe okrzyki, wrzask rozkazów i cięcia mieczów, wzmogło to tylko panikę. Po chwili z karnych linii pozostał wielki, kłębiący się bezładnie wał. Tego trzeba było Iserom. Mocniej nacisnęły pancerne chorągwie, wspomagając idącego jak burza Ullotha, i już nie wytrzymali Minnowie. Pękł mur żelaznych piersi. Bitwa zmieniła się w szereg potyczek, w których zaczęli górować Iserowie.

Wodzowie Durlocku dostrzegli groźbę klęski. Bo-
wiem jeszcze tylko prawe skrzydło w ordynku biło się z

lekkimi chorągwiami Iserów. Reszta armii albo walczyła małymi grupkami w okrążeniu, albo cofała się bezładnie spychana w stronę wzgórza. Czas był najwyższy na użycie ostatniego odwodu. Stanowili go eneikowie.

Pierwszy zauważył ten manewr dowódca pałacowej gwardii. On to wskazał wodzowi tyralierę małych sylwetek, ogarniającą prawe skrzydło książęcej armii. Asti zaklął. Zapomniał o tych karłach, a przecież obserwatorzy donieśli... Nie wolno dopuścić, by dołączyli do walczących. Musi zrezygnować z zabezpieczenia taborów i żelaznej rezerwy. Bez namysłu pchnął gońca w stronę szańców piechoty. Jednocześnie przywołał Oteirona.

– Weźmiesz oba pułki i gwardię i zaatakujesz południowy koniec tego pierścienia – wskazał na idących eneików. – Od zachodu dostaniesz wsparcie piechoty, oni mają bliżej, uderzycie więc jednocześnie. Za wszelką cenę musicie odciąć eneików od pola bitwy. Postaram się wycofać kilka chorągwi z walki, by wyrównać siły, ale nie spodziewaj się, że nastąpi to szybko. Pamiętaj, liczę na ciebie – klepnął rękawicą zad kisetu pułkownika. Zwierzę skoczyło do przodu i posłuszne wodzom skierowało się w stronę stojących nie opodal chorągwi.

Patrzył, jak Oteiron sprawnie zwija czarno-żółty i książęcy pułk Jasti w klin. Jego środek wypełniło trzystu jeźdźców pałacowej gwardii. Spojrzał na fortyfikacje. Piechota już opuszczała szańce, podążając ławą w kierunku nadciągających posiłków wroga. Po chwili ruszyła jazda. Oteiron prowadził klin po wydłużonym łuku, aby obejść eneików i uderzyć w najważniejszym miejscu pierścienia. Tak, to było zgodne z jego, Astiego, planem. Nisskowie, czy kto tam jeszcze z nimi jest, nie zdążą odwrócić się frontem ku rozpędzonym pułkom i Oteiron

powinien rozbić skrzydło bez większego wysiłku. Zabawa zacznie się, gdy dotrze do głównych sił. Eneikowie słyną ze sprawnego manewrowania wojskiem i zapewne, nim jazda upora się ze skrajnymi oddziałami, będą gotowi na jej przyjęcie. Zaś liczbą przewyższali szczupły korpus Iserów co najmniej trzykrotnie. Jedyna w takim wypadku broń – impet – stępi się w pierwszym starciu, potem Oteiron może liczyć tylko na sprawność własnych żołnierzy i na piechotę. I czekać na wsparcie.

Skinął na adiutanta.

– Pojedziesz w pole. Zbierz wszystkie siły, które nie są bezpośrednio zaangażowane w walkę i ruszaj z pomocą Oteironowi. Stąd widać, że część oddziałów zabiera się już do obdzierania poległych. Zgarnij ich do kupy. Weź mój buńczuk, on da ci władzę.

– Tak, panie – adiutant smagnął wodzami kiseta i popędził w stronę pola bitwy.

Teraz należało tylko czekać. Jeśli adiutant dobrze się spisze, bój powinien przed zmrokiem dobiec końca. Widać szczęśliwe gwiazdy nadal świecą nad Iserią.

Coś wydarzyło się na pierwszej linii. Asti wyteżył wzrok. Minnowie nie cofali się już, a i ghoty poczęły formować szyki. Za to dziwny popłoch ogarnął iserskie pułki. Już nie parły do przodu, wręcz przeciwnie, oddawały pole coraz szybciej, coraz bardziej bezładnie.

– Co to jest?! – Asti stanął w strzemionach. Dojrzał kilku jeźdźców gnających na złamanie karku ku księżcemu orszakowi. Już pierwszy z nich dopadł stojących.

– Panie... – wydyszał – tornowie...!

Zimny dreszcz jak miliony owadzich nówek przebiegł Astiemu wzdłuż kręgosłupa. A więc stało się. Nie zdążył... Na ogniste moce Zranna, niech ciemność pochłonie

świat! Zacięta, bezlitosna wściekłość opanowała duszę wodza. Spiał kiseta.

– Wasza wysokość – cicho, głosem, w którym zabrzmiała determinacja, zwrócił się do księcia – Czas, byś wypełnił swą powinność.

Anutajasti popatrzył nań nieobecny wzrokiem. W jego spojrzeniu Asti zobaczył strach.

– To... już?

– Tak, książę, czas!

Chwycił wodze kisetę władcy i pociągnął go za sobą. Jeszcze tylko strącił kaptur z książęcej głowy i już zwierzęta wpadły w cwał. Z prawie bezchmurnego nieba Jasti rozjarzył swym blaskiem odsłonięte włosy.

Byli w połowie stoku, gdy ich zobaczył. Długi, rozciągnięty rząd srebrnych postaci na szczycie wzgórza za plecami armii. Nie zdążymy! Przerazająca myśl sparaliżowała Astiego na moment. Dźgnął wierzchowca mieczem. Kisetę jęknął i stuliwszy uszy, niemal pofrunął naprzód. Pole bitwy było coraz bliżej. Nie, to już nie było pole bitwy: Iserowie nie cofali się nawet, Iserowie uciekali w panice. Ci, którzy zdołali.

Poczuł jakby zimne, oślisze macki obejmujące mózg, wdzierające się między myśli, penetrujące jaźń, walczące z wolą. Moc... Jemu nie groziło nic, był w zbawczym kręgu Anutajastiego, ale armia... Zobaczył zsuwających się z wierzchowców rycerzy, idących nieprzytomnie przed siebie i padających na ziemię, gdzie już czekały na nich pazury ghotów, widział klęczących z głowami w dłoniach i tak umierających, zanim dopadło ich wrogie ostrze, dostrzegł pułki zmiecione z siodła jakby podmuchem strasznego wiatru. Widział to i bódł kisetę piętami, ciągnąc za sobą księcia. Poświęcał go z całą świadomo-

ścią, poświęcał dla armii i zwycięstwa. Poczuł nagle piekące uderzenie w dłoń trzymającą wodze książęcego kisetu. Syknął z bólu i wypuścił je.

– Co robisz?! – odwrócił głowę.

Anutajasti ściągnął cugle.

– Asti... Ja... nie chcę umierać! – krzyknął pełnym łeku głosem. Zawróciwszy w miejscu, ruszył galopem.

Asti rzucił się za nim.

– Na litość bogów, zaklinam cię, przekleństwo sił piekielnych! – ryczał z rozpaczą, usiłując dopędzić oddalającego się szybko księcia. – Stój! Miej siłę zmierzyć się z Mocą, życie twoje i twej armii zależy tylko od ciebie!

Anutajasti nie słuchał. Nisko pochylony nad karkiem śmigłego zwierzęcia uciekał od swego przeznaczenia, od nałożonego przez bogów świętego obowiązku. Nagły spokój ogarnął wodza. Zatrzymał wierzchowca. Zdecydowanym ruchem sięgnął za siebie i odpiął kuszę. Przez moment w oczku celownika widział zgarbione plecy w czerwonej opończy. Nacisnął spust.

Potem zsiadł i uklękawszy pochylił głowę ku ziemi. Gdzieś tam, przed nim, tysiące walów zginało karki w śmiertelnym pokłonie, z tysięcy czaszek Moc wysysała ostatnie błyski świadomości. W pustym, martwym stepie skulona postać kryła twarz w trawie.

*

Kamienista pustynia otaczała ich zewsząd. Zdawała się nie mieć końca w żadnej ze stron świata. Od wielu dni nie napotkali żywego stworzenia: zwierzęcia ani rośliny. Dokoła panowała martwota. A jednak czuli tu życie: niesamowity, nierealny dech trupiego życia. To pły-

nęło z głębi ziemi, spod stawianych ostrożnie, szybko stóp, które jakby lękając się zetknięcia z ukrytą pod cienką skorupą skały siłą, nie chciały dotykać jej wcale. Powietrze stało nieruchome, a przecież czuli na twarzach podmuch, w powolnym rytmie sączący się między częstkami atmosfery. Opływał ciała, wciskał się w zakamarki, niemal w pory w skórze, jak gdyby szukał miejsca, gdzie mógłby posiać zarodki niewidzialnego, martwego życia.

I cisza. Równie martwa jak wszystko wokół, oblepiająca ciała i myśli kleistą mazią, głusząca nawet szum krwi w skroniach. Słyszeli co prawda stukot kopyt irmanów, własne oddechy, brzęk uprząży, ale jakby z oddali, oddzielone grubą, rozmiękłą warstwą niewidzialnego szlamu. Cisza grobów, cisza odejścia. Cisza tamtej strony.

Tak witała żywych Pustynia Śmierci.

Było zimno. Na niebie obserwowali niezwykle zjawisko: na błękitach nie pojawił się żaden obłok, nie było śladu mgły, a Jasti wydawał się rozlazłą, galaretowatą kulą o postrzępionych brzegach. Ciepła nie dawał wcale, jakby ożywcze promienie załamywały się na krawędzi osłaniającej pustynię kopuły, która zdawała się ją chronić. Szczególnie nocą mieli wrażenie, że przestrzeń ogranicza niewidzialna czasza. Zaraz po zachodzie słońca niebo zasnuwała nieprzenikniona czerń bez gwiazd, bez zwykłego blasku Rotha. Noc spadała nagle jak czarna płachta, bez zwykłych półcieni zmierzchu, a rano znikwała w kilka chwil po pierwszym błysku wstającego zza horyzontu dnia.

Byli intruzami. Czuli to od momentu, gdy po rozstaniu z Ro-nonem postawili pierwsze kroki na skalistej równinie. Pustynia ich nie chciała i mówiła to, a oni ją rozu-

mieli. Nie mieli jednak wyboru, choć teraz wątpili w słuszność powziętej decyzji. Czyż bowiem bardziej niebezpieczna mogła być droga między wrogimi, lecz materialnymi istotami od wędrówki przez krainę, gdzie natura emanowała śmiercią, gdzie czyhał nieprzyjaciel, którego nie potrafili określić, a który budził w sercach trwogę większą niż każde realne zagrożenie?

Ot, choćby niedawne zdarzenie. Wędrowali jak co dzień kamienistą równiną, która nie różniła się od tej już przebytej i tej rozciągającej się przed nimi, gdy późnym popołudniem, kiedy rozglądali się za miejscem na odpoczynek, krajobraz zaczął się zmieniać. Niespodziewanie znaleźli się w półkolistym wąwozie. Stanęli niezdecydowani, zaskoczeni i zdumieni, bo nikt wcześniej nie zauważył, by wkraczali w jakikolwiek jar, a zdziwienie zaczęło zmieniać się w strach, kiedy spostrzegli, że ściany wąwozu rosną. Rosną i stają się coraz bardziej strome, jakby potężne ciśnienie wypychało je z głębi ziemi. Już ze wszystkich stron otaczały ich ogromniejącym wałem. Instynktownie pognali wierzchowce, lecz nie zdało się to na nic. Zdawało się, że pędzą dnem wielkiej kuli, toczącej się razem z nimi. Wciąż mieli przed sobą zbocza, które zaczęły zamykać się nad nimi i ciągle znajdowali się w najniższym punkcie niecki. Ziemia dookoła przemieniała się w gigantyczny pęcherz, więzący ich, przerażone, szamocące się bezsilnie owady, w swym wnętrzu. I raptem, gdy tracili już nadzieję, rozległ się melodyjny dźwięk, niby brzęk pękającego na mrozie lodu, i wszystko zniknęło. Znow przed oczami roztaczała się bezkresna, płaska jak stół równina.

Nie wiedzieli, co to było. Wyglądało na to, że pustynia chciała ich wchłonąć, zamknąć w sobie jak w kieli-

chu kwiatu, lecz coś jej w tym przeszkodziło czy może rozmyśliła się i zostawiła wędrowców na pastwę lęku, niby smakosz odkładając upolowaną już zdobycz.

Innym razem, a było to zaledwie dwa dni po opuszczeniu gór, po długim, intensywnym marszu, gdyż chcieli jak najdłuższy etap pozostawić za sobą, zobaczyli ślad karawany. Radość przemieszana z niepokojem ustąpiła wkrótce miejsca zaskoczeniu, a potem przestraszowi, kiedy okazało się, że trafili na własny trop. A przecież kierowali się słońcem, które choć dziwne, zachowywało się dotąd zwyczajnie! Długo stali skonsternowani, zanim odważyli się ruszyć w dalszą drogę. Kierunek nadal wskazywał Jasti i był to jedyny drogowskaz, któremu mogli wierzyć. Po niedługim czasie trop łagodnie skręcił na zachód, a oni, posłuszni słońcu, podążyli na północ. Tego również nikt nie umiał wyjaśnić.

Drobnych, niewyjaśnionych zdarzeń nie potrafiliby już zliczyć. Do takich rzeczy, jak znikanie i pojawianie się wody w bukłakach czy nocne paniczne ucieczki zwierząt, co wieczór starannie pętanych, a rano zjawiających się z powrotem z rzemieniami na nogach, zdążyli się przyzwyczaić. Pustynia postanowiła ich dręczyć tak długo, aż oddadzą się jej dobrowolnie.

Ten dzień był spokojny. Niepokojąco spokojny. Od świtu wędrowali bez przygód, nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego, choć przygnębienie i lęk towarzyszyły wędrowcom. Wolno przesunął się monotonny krajobraz, aż gotowi byli uwierzyć, że moc rządząca pustkowiem zrezygnowała w końcu z prób zastraszenia ich i już bez przeszkód dotrą do krańców tej niesamowitej krainy. Ale pustynia nie wypuszczała zdobyczy tak łatwo.

Zaczęło się niewinnie. Na zachodzie, tuż nad horyzontem, pojawiło się na niebie cieniutkie, czarne pasemko. Jak smużka smolistego dymu snuło się leniwie po czystym jak kryształ błękicie. Sunęło w ich stronę tak wolno, że jego ruch mógł ujść uwagi bardziej roztargnionego obserwatora. Zmysły wędrowców po dwóch secesyjnych walki z pustynią były jednak wyczulone na każdą zmianę w zwykłym martwym krajobrazie. Zmiana zawsze zwiastowała niebezpieczeństwo. Dym pełznął już nad ich głowami. Zdawał się wisieć nisko i nieruchomo, lecz było to tylko złudzenie. Przemieszczał się wraz z nimi, nie pozostawiał w tyle za karawaną. Podążał na wschód, jakby chciał połączyć przeciwległe brzegi widnokręgu.

Tknieci złym przeczuciem popędzili wierzchowce. Ruszyły galopem równie niespokojne jak jeźdźcy. Krępe cierańskie irmany okazały się niezwykle szybkie, niemal nie ustępowały kroku kisetowi. Pędzili więc na złamanie karku, a ciemny pas nad nimi rozszerzał się coraz bardziej. Potężniejący cień obejmował rosnącą szybko powierzchnię. Na zachodzie pojawiła się żółta luna. Początkowo blada, stopniowo nabierała intensywniejszej barwy, aż horyzont zapłonął pomarańczową poświatą. Jaskrawy blask zataczał coraz szerszy krąg, w którego centrum znajdowali się walowie i którego, mimo wysiłku zwierząt galopujących ostatkiem sił, ciągle nie mogli opuścić.

I nagle znaleźli się w piekle. Czerwone płomienie lizały im twarze, tliły się ubrania i włosy, żar zapierał dech. Przerażone wierzchowce wpadły w panikę. Przestały słuchać jeźdźców, miały się nieprzytomnie, a ogień palącym kołem krążył wokół nich. Tylko niewielka szczelina, szeroka na dwakroć wyciągnięte ramiona, po-

zostawała wolna od płomieni, ale przesuwiała się wraz z obrotami piekielnego kręgu. Ucieczka przez nią wymagała posłuszeństwa zwierząt, a te, czując śmierć, wypowiedziały je.

Walcząc ze znarowionym kisetem, Iti począł rozglądać się wokół, zafascynowany otaczającym ich fenomenem. Mimo szalejącego żaru ogarnęła go jakaś gorączkowa ciekawość. Jakby przed śmiercią chciał nasycić oczy widokiem pochłaniającego ich żywiołu. Spostrzegł, że tańczące płomienie przybierają niezwykle kształty. Szeroki górą wał stopniowo zmieniał się w wąskie, wijące się po ziemi języki. Gdy przyjrzał się dokładniej, rozróżnił nie jednolitą masę, ale mnóstwo ognistych kolumn, zakończonych smagającymi piasek płomieniami. Jak gdyby wbrew naturze ogień buchał z góry. To niebo zdawało się być źródłem płomieni, ziemia zaś ich karmicielką. Nigdy nie zetknął się z takim zjawiskiem, znał je tylko z opowieści.

– Ogniste meduzy! – wyszeptał z trwogą.

I jakby wypowiedziane słowa były magicznym zaklęciem, krąg zatrzymał się. Kolumny poczęły sunąć promieniście ku środkowi, wzrastał się piekielny upał. Kamienie, których dotknęły pomarańczowe języki, rozżarzały się do białości. Kiset pierwszy znalazł ratunek. Chyba dlatego, że szczelina w otaczającym ich pierścieniu zatrzymała się na wprost jego pyska. Rzucił się w nią, teraz tak wąską, że płomienie omiotły jego boki, i rycząc z bólu i przerażenia wypadł na zewnątrz. Gnał na oślep, a półprzutomny Iser trzymał się kurczowo jego szyi, by nie spaść. Niewiele później z płomieni wybiegły oba irmany z jeźdźcami na grzbietach. Popędziły w ślad za kisetem, cudem unosząc z ognia nadpaloną skórę. A

krańg zacieśniał się coraz bardziej, przemieniał się w potężny, sięgający przestworzy słup. Potem wolno, jakby wsysany w głąb ziemi, poczał znikać między kamieniami, ciągnąc za sobą czarny warkocz dymu.

*

"Sollirion. Przyjdź, Sollirion!"

"Słyszysz?"

"Tak, czuję pole".

"Ktoś tu jest. Ktoś obcy..."

"Tu nie ma obcych, Sollirion. Tu nie może być niko-go".

"Przecież jest pole, czujemy je oboje".

"Może to złudzenie? Pustynia wiele potrafi".

"Może... Sprawdźmy to. Widziałaś ślady? Meduzy nie budzą się bez powodu".

"Jeśli nawet, to już za późno. One rzadko odchodzą bez łupu".

"Krańg nie zamknął się. I to pole..."

"Chodźmy stąd. Nie ufam pustyni, boję się".

"Jesteśmy poszukiwaczami, Danaskee. Powinniśmy pomóc innym poszukiwaczom. Są po spotkaniu z meduzami".

"Skąd wiesz, że to poszukiwacze?"

"Nie ma tu nikogo innego".

"Przecież to nasze terytorium!"

"Teraz to nieważne, musimy ich odszukać. Na rozliczenie przyjdzie czas. Później".

"Ale to pole... Sollirion, czy ty też odbierasz je tak dziwnie?"

Sen...? Jastihoreno otworzył oczy. Dziwny to sen, nigdy dotąd nie śniły mu się głosy. Same głosy, bez postaci. Usiłował przypomnieć sobie, gdzie jest. Leżał na wznak, przed oczami miał najczystszy błękit. Powoli wracały wspomnienia. Syknął z bólu. Odzyskiwał również czucie. A więc udało się... A inni? Pojękując przez zaciśnięte zęby, usiadł.

Najpierw zobaczył irmany. Stały łeb w łeb, wylizując sobie nawzajem poparzone grzbiety. Około dwudziestu kroków od nich leżała nieruchoma, podobna do zwęglonego tłumoku postać. Vortar. Nie miał siły, by sprawdzić, czy żyje. Zamierzał wstać, ale przeszywający ból odebrał mu całą wolę. Ostrożnie usiadł z powrotem. Musi trochę odpocząć, potem spróbuje dotrzeć do Sorva. Rozejrzał się. Poza nimi dwoma nie było nikogo. Iti zniknął. Pewnie kiset poniósł go dalej. Poczuł wielkie znużenie. Opadł na kamienie i zamknął oczy. Później, wszystko później... Zbierze nieco sił i spróbuje coś zrobić. Może Iti wyszedł bez szwanku i już ich szuka? Wcześniej wyskoczył z ognia, musiał ucierpieć najmniej. Ogarnęła go nagła słabość. Czarne płatki zawirowały przed jego oczami, czuł, że zaczyna spadać w jakąś bezdenną studnię, i wówczas usłyszał. Tak mu się przynajmniej w pierwszej chwili zdawało, lecz to nie dzięki słuchowi odebrał owe dźwięki.

Wśród własnych myśli zlokalizował nagle obce, jakby ktoś szeptał w jego głowie:

"Sollirion, czy to możliwe? Widzisz te zwierzęta?"

"Tam ktoś leży!"

"To valowie, Sollirion Gedo! Skąd na pustyni valowie?"

"Nie wiem, jak zaplątali się tutaj, ale to z pewnością sługusy Mervona Saott. Minnowie... Zabiorę im dusze!"

"Oni chyba nie żyją. To niemożliwe, żeby Minnowie dotarli aż tutaj. Boją się nawet pogranicza".

"Żyją, przecież jest pole. Słabe, ale jest. Ale masz rację, najpierw sprawdźmy. Nie wyglądają groźnie".

"Po spotkaniu z meduzami nikt nie wygląda groźnie. Wiesz o tym, Sollirion".

"Wiem, Danaskee. Podejźmy".

Odpywająca świadomość powróciła w jednej chwili. Nie zważając na ból, Jastihoreno uniósł nieco głowę. W oddali pojawiły się dwie niepozorne figurki. Nawet z tej odległości i pod słońce dostrzegł lśniąco srebrzyście stroje. Tornowie.

Stracił przytomność.

*

Szedł, potykając się o kamienie, nie dbając o kierunek, byle dalej od tego strasznego miejsca. Potworny szum rozsadzał mu czaszkę, nie potrafił pozbierać myśli. Od czasu, gdy spadł z siodła, męczyły go nudności i zawroty głowy, a potłuczone kości i poparzona skóra bolały przy każdym kroku. Miał nadzieję, że kiset wróci. Przestraszył w końcu minie i zwierzę zacznie go szukać. Bez niego skazany był na śmierć. Nie ujdzie daleko pozbawiony wody, żywności i wierzchowca. Dobrze, że nie ma upału. I tak czuł żar gorączki. Niekiedy krew uderzała mu do głowy i oczy przesłaniała czerwona mgła. Szedł jednak dalej, coś bowiem nakazywało mu wędrować. Jak gdyby ów niekończący się marsz miał przynieść ocalenie.

Gdy gorączka słabła, powracały obrazy ostatnich wydarzeń. Zastanawiał się, co mogło stać się z towarzyszami. Widział ich ucieczkę z płomiennego kręgu, lecz co było później, nie wiedział. Zmysły odmówiły mu posłuszeństwa. Ocknął się w chwili upadku, zdążył jeszcze dostrzec uciekającego kiseta i został zupełnie sam. Wówczas podjął wędrówkę, bo czuł, że musi coś robić, choćby nie miało to żadnego sensu.

Znów potknął się. Tym razem kamień był większy, stopa, szukając oparcia, zaczęła o jego ostry brzeg i Iti, straciwszy równowagę, runął na ziemię. Świat zawirował mu przed oczami. Tracił świadomość, resztkami sił walczył z ogarniającą go niemocą, wiedząc, że jeśli się podda, będzie to początek końca. Każdy przejaw słabości organizmu oddawał jego część we władanie nadchodzącej śmierci. Tym razem jeszcze wygrał. Słabość ustąpiła. Otworzył oczy.

Leżał z policzkiem przytulonym do gruzelkowatego żwiru. Przed oczyma miał kamienne ziarna, układające się w skalisty mikrokrajobraz, jakby pomniejszone górskie gołoborza. Wędrował wzrokiem przez malutkie kaniony, prześlizgiwał się między ostro zakończonymi odłamkami, mimowolnie oczekując, że zaraz wyłoni się zza nich postać górskiego gнома. Mógłby znaleźć go odpoczywającego po mozolnej wspinaczce na skalnej półeczce czy choćby tam, w cieniu wysmukłego drzewa. Drzewa...?

Spojrzał uważniej. To, co zobaczył, sprawiło, że wykrzywił spękane usta w słabym uśmiechu. Między kamykami strzelało ku słońcu żdźbło trawy. Mobilizując wszystkie siły, uniósł głowę. Zobaczył żółtoszarą, martwą płaszczyznę, lecz jakże różną od tej, którą dotąd

przemierzał. Na jednobarwnej dotąd pustyni pojawiły się zielonkawe skazy. Było ich niewiele. Znaczyły ziemię pojedynczymi, rozrzuconymi punktami, dalej gęstniały, tworząc na horyzoncie jasnozielony pas. Pustynia została pokonana.

Zapominając o bólu i znużeniu, zerwał się na nogi. Począł iść w stronę tej zieleni i, choć postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że widzi wędrowca wlokącego się półprzytomnie, on czuł, że pędzi na jej spotkanie. Trawa pokrywała już całą ziemię, pojawiły się pierwsze krzewy. Teraz biegł naprawdę. Nie wiedział, skąd czerpie siły. Przed nim ciemniała długa, zielona smuga, na twarzy poczuł wilgotny powiew. Woda.

Strumień wił się zakolami, ginał w cieniu wiszących nisko gałęzi. Zamknął oczy i rozłożywszy ręce, skoczył. Rozkoszny chód zamknął się nad nim. Wartki prąd opływał ciało, zmywał zeń kurz, krew i zmęczenie, przywracał moc na wpół obumarłym tkankom, na nowo napełniał je życiem. Wytrzymał pod wodą długo, aż zabrakło mu powietrza w płucach. Wreszcie wynurzył głowę, łapiąc spazmatycznie oddech, i po chwili wstał. Z żalem spojrzął w krystalicznie czystą strugę, zawahał się nawet, czy nie opaść w nią na powrót.

Usłyszał parsknięcie. Znowu czujny i gotów do obrony obejrzał się. Kilka kroków od niego jak gdyby nigdy nic chciwie chleptał wodę zwany Pogromcą Kirvi kiset. Ogarnęła go czułość. Podeszedł do zwierzęcia i przytulił twarz do jego boku. Zobaczył przypaloną sierść i podbiegłe ropą pęcherze. Kiset drgnął pod dotknięciem, sprawiło mu ono ból. On sam nie ucierpiał aż tak, choć, gdyby nie ubranie, odniósłby pewnie cięższe rany. W każdym razie jazda wierzchem nie wchodziła w rachubę. Do cza-

su aż obaj wyleczą się z poparzeń, trzeba będzie poszukać miejsca na dłuższy postój. W takim stanie ani on, ani kiset nie zniosą trudów wędrówki. To nawet lepiej, rozejrzy się po okolicy. Musi również odszukać towarzyszy, jeśli jeszcze żyją. Nadzieja była nikła, sam do tej pory nie wiedział, jaki cud wybawił go ze śmiertelnej opresji.

Ujął wodze i ruszył w dół rzeki. Liczył, że strumień zaprowadzi go w żyźniejsze i, być może, zamieszkane okolice. Przede wszystkim musi zapolować. Żywności wystarczy na jakieś dwa dni, zakładając, że racje będą oszczędne. Dzień chylił się ku końcowi, gdy dotarł do niewielkiego zagajnika. Zobaczył ptaki, znak, że definitywnie pożegnał Pustynię Śmierci. Wszedł między drzewa. Lasek był gęsty, o bujnym runie. Spod jego nóg umknęło jakieś zwierzątko, w oddali zaskowyczał hang. Postanowił rozłożyć się na noc, musiał tylko znaleźć odpowiednie miejsce. Przeciskał się między niskimi krzewami, bezskutecznie szukając wolnej od nich przestrzeni. Masa gałęzi i listowia tworzyła tak zwarte zarośla, że musiałby włożyć wiele wysiłku w przygotowanie noclegu. Czuł, że nie starczy mu sił.

Między drzewami ukazał się prześwit. Trafił na polankę, przestronną w porównaniu z gęszczem zagajnika. Z ulgą wyszedł na jej skraj i raptem skamieniał. Pośrodku, otoczona płotem plecionym z kolczastych gałęzi, wznosiła się kopuła. Wykonana z jakiegoś szklatego materiału lśniła w promieniach słońca padających spomiędzy liści.

Stał dłuższą chwilę, lecz żaden ruch nie zdradzał obecności żywych istot. Zostawił więc kiset w zaroślach, sam zaś począł ostrożnie zbliżać się do niezwyklej budowli. Doszedł do ogrodzenia. Wciąż panowała cisza.

Dom, czy co to było, wydawał się pusty. Wkroczył w obejście i okrążył budynek. Po jego przeciwnej stronie znalazł łukowaty otwór, zamknięty metalowymi drzwiami. Po chwili wahania pchnął je i wszedł do środka.

Znalazł się w przestronnym pomieszczeniu o przezroczystych ścianach. Widocznie budulec, z którego wykonano ów dom, przepuszczał światło tylko w jedną stronę, z zewnątrz nie można było zobaczyć wnętrza. Wyposażenie stanowiły dwie prycze, stół i ława, palenisko z miedzianą rurą do odprowadzania dymu, jakieś kufry i skrzynie. W podłodze, pod ścianą, znajdowała się kłapa, prawdopodobnie włącz do piwnicy. Wszystko nosiło ślady użytkowania, brakowało tylko mieszkańców. I nie wiadomo, czy bezpiecznie było na nich czekać. Pospieszenie wyszedł przed próg. Rozejrzał się. Cisza. Ruszył w stronę miejsca, gdzie zostawił wierzchowca. Wprowadził go głębiej między drzewa, a sam zapadł w krzewy na skraju polany.

Zjawili się tuż po zmierzchu. Dwie postacie prowadzące objuczone dużymi tobołami irmany. Poznał ich po stroju. Każde dziecko w Iserii poznałoby ich również. Tornowie zdjęli juki z irmanów i, uginając się pod ich ciężarem, ruszyli w stronę kopuły. Gdy przechodzili obok niego, zerknął na niesione pakunki. W pierwszej chwili sądził, że wzrok go zawodzi w ciemności. Niekształtne wory z bliska przybrały kształty... valów! Za moment nie miał już wątpliwości, tornowie dźwigali Jastihoreno i Vortara.

Nie miał szans: dwóch roślących osobników przeciw rannemu i wycieńczonemu wędrowkowi. W dodatku mieli Moc, a nocą nie chroniły go włosy. Dziwne, że do tej pory nie wykryli jego obecności. To by znaczyło, że

przyjaciele żyją, zresztą, po cóż tornowie dźwigałoby zwłoki. To również świadczyło, że nie mają wobec nich złych zamiarów. Nie znosi się nieprzyjaciół do domu, jeśli nie zachodzi jakaś szczególna konieczność. Vortar i Jastihoreno byli nieprzytomni, tornowie mogli więc bez wysiłku pozbawić ich życia. Jeśli nie uczynili tego, nic jeńcom nie grozi. Postanowił zaczekać do rana. Spróbuje wtedy dotrzeć do rannych i uwolnić ich. Nie wiedział, czy ci tornowie mają coś wspólnego z władcami imperium. Musiał zachować ostrożność. Ostatecznie był w Durlocku. Gdyby należeli do rządzących tą krainą, będzie udawał Minna. Tylko włosy mogą go zdradzić, ale od czego ma kaptur...

Obudził go oślepiający blask bijący wprost w zamknięte powieki. Odwrócił głowę i otworzył oczy. Był słoneczny dzień. Jasti świecił mu prosto w twarz. Zaklął w duchu. Zmęczenie spowodowało, że przespał świt. A miał od świtu obserwować dom tornów. Teraz nie wiedział, czy są jeszcze w środku, czy już go opuścili. Ten fakt skazywał go na dalsze, kto wie na jak długie, coraz ryzykowniejsze czekanie. Zdawał sobie sprawę, że pozostawanie w krzakach przez cały dzień jest niebezpieczne, wycofać się jednak nie mógł. Ba, nie mógł nawet zmienić pozycji, na każdy gwałtowniejszy ruch krzew odpowiadał drzeniem. Miejsce jego ukrycia było doskonale widoczne, a ściany kopuły przezroczyste. Zamarł, usiłując stopić się z trawą, rozpląnąć między grudkami ziemi.

Ile czasu przeleżał, nie wiedział. Otrząsnął się z podobnego do snu odrętwienia, gdy słońce minęło zenit. Nie ocknął się sam. Czułość przywrócił mu ruch w zagrodzie tornów. Wyszli obaj i po krótkim wahaniu, niby rozmowie bez słów, zniknęli w krzewach po przeciwnej

stronie polanki. Leżał jeszcze chwilę, by upewnić się, że odeszli na dobre, a potem ruszył w kierunku kopuły. Był przy płocie, kiedy niespodziewanie zaszeleściły krzaki. W mgnieniu oka skrył się w cieniu gęstej plecionki. Na polanie pojawił się jeden z tornów. Ledwie zdążył pomyśleć, że z pewnością go nie zauważył, gdy torn zatrzymał się nagle. Okręcił się wolno wokół własnej osi, uważnie lustrując okolicę.

I nagle w głowie Itiego zaszemrał potok obcych myśli: "Jesteś... Czuję. Kim jesteś? Odpowiedz. Nie mogę znaleźć twego imienia. Szukam... Dziwne, dwa imiona... Które twoje...? Nie bój się, valu, pokaż się. Nie masz złych pragnień, czuję to. Wyjdź. Mogę zabić cię tam, gdzie jesteś, nie czynię tego. Wyjdź".

O Mau! W samą porę przypomniał sobie o mocy stojącego przed nim osobnika. Zerwał z głowy kaptur. Myśl urwała się raptownie. Potem znów popłynęła, ale jakby z oddali, jak głos wydobywający się spod sterty płócien-nych szmat. Wstał.

"To ty... Syn żółtej gwiazdy" – teraz z trudem rozróżnił słowa. – "Skąd się wzięłeś? Tak, już znam twe imię. Nie jesteś Minnem, tam rządzi Gijajastisso. Skąd jesteś? Odpowiedz".

– Jestem Iserem. Przebyłem z towarzyszami Pustynię Śmierci. Oni są u was. Chcę ich widzieć – odpowiedział.

"Nie mów, myśl, tak łatwiej. Nie znam twojego języka, obce słowa przeszkadzają rozumieć. Myśl o Dana-skee Tabbi, to moje imię. I proszę, zakryj głowę, trudno mi dotrzeć do ciebie".

"Nie znam cię, aureola chroni moje życie" – przekazał myśl.

"Nie lękaj się, nie użyję Mocy. Nie jesteś z Durlocku, nie jesteś wrogiem".

"A ty? Tutaj władają tornowie z Morv. Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś jednym z nich?"

"Ramiona Morv nie sięgają w te strony. To rejon poszukiwaczy zeqr. Nikt inny nie zapuszcza się tak daleko".

Postanowił mu zaufać. Naciągnął kaptur na głowę. Rdzawa poświata zniknęła.

"Tak, teraz lepiej. Podejdź bliżej. Mówiłeś, że przebyliście pustynię? Jesteś dzielny, tego nie dokonał nikt z żywych. Po co przyszliście tutaj? Szukam... Wieża...?"

Szybkim ruchem odsłonił głowę.

"Wybacz, Danaskee Tabbi, jeszcze nie wiem, czy wolno ci znać moje wszystkie myśli".

"Szukasz Wieży? Po co?"

"Nie szukam Wieży" – zaprzeczył szybko. – "Szukam drogi do Królestwa Shonnów. Wieży się lękam, ona jest źródłem waszej Mocy". – Miał nadzieję, że torn da się nabrać na wymyślone naprędce kłamstwo.

"Lękasz się. Po co idziesz do Shonnów?"

"Tego właśnie nie wolno mi ujawnić, wybacz" – brnął dalej, nie wiedząc, jak wyłgać się i uniknąć dalszych natarczywych pytań. Na szczęście jego rozmówcy taka odpowiedź widać wystarczyła.

"Uszanuję twą tajemnicę, ufam, że skrywasz ją w dobrej wierze" – odebrał w odpowiedzi.

"Czy mógłbym zobaczyć przyjaciół?" – zapytał.

"Oczywiście. Wejdz".

Iti przekroczył ogrodzenie i poszedł za tornem w stronę drzwi kopuły. Zanim przestąpił jej próg, przystanął. Tu kończyła się boska władza Jasti. Jakby w odpowiedzi na te wątpliwości dobiegła go myśl:

"Wejdz do środka. Powiedziałam, że uszanuję twoją tajemnicę. Nie będę szukać".

Pomyślał, że źle zrozumiał. Nie o treść chodziło, a o formę. Powiedziałam...? Wszedł i przyjrzał się sylwetce torna. No tak, że też wcześniej nie zauważył.

"Jesteś kobietą!"

W jego głowie rozbrzmiał śmiech. Nie sądził, że myśli także potrafią się śmiać. Skrzywił się ogłuszony, bo rozbawione dźwięki niemal fizycznie załomotały o sklepienie czaszki.

"Dziwisz się? Między nami również bywają kobiety. Tornowie nie rosną jak liście".

Danaskee zsunęła ciasno opinający głowę srebrny kaptur. Na ramiona wysypały się białe, przetykane błękitnymi pasmami włosy. Jak zauroczony spoglądał na jej drobną twarz. Zerknęła na niego i znów się roześmiała.

"Cóż tak patrzysz, nie wierzysz oczom? Jestem prawdziwa!"

Zmieszany odwrócił głowę. Jego wzrok padł na rozścielone na podłodze skóry. Leżeli na nich Vortar i Jastihoreno.

"Żyją?" – z ulgą zmienił temat. – "Co z nimi?"

Podążyła za jego spojrzeniem.

"Młody najgorsze ma już za sobą. Za kilka dni wydobrzeje. Teraz śpi. Napoiłam go ziołami. Za to niewiele brakowało, by starego meduzy zabrały ze sobą. Niebezpieczeństwa już nie ma, ale długo jeszcze będzie musiał tu pozostać".

"Jak długo?"

"Seves, może półtora. Poparzenia są rozległe, dotąd nie odzyskał przytomności".

"Nie mogę tyle czekać. Zostanie tutaj".

"Bądź cierpliwy, Itijasti. Nie znasz drogi. Za trzydzieści dni przybędą kupcy po zeqr. Pójdziecie z nimi".

"Zawiodą nas do Królestwa Shonnów?"

"Oni są z Zottor. Stamtąd biegnie gościniec do królestwa. Także tam..."

"Co to za kupcy? Tornowie?"

Danaskee nie odpowiedziała. Patrzyła w gąszcz skrywający ścieżkę za płotem. Spojrzał tam również, lecz nic nie dostrzegł.

"Sollirion wraca" – odebrał. – "Wyjdę mu na spotkanie, lepiej, żeby nie był zaskoczony".

Wybiegła na zewnątrz. Zobaczył, jak znika wśród gałęzi. Ogarnął go niepokój. Sollirion... To pewnie ten drugi. Jak go przyjmie? Danaskee mu zaufała, tamten nie musi być tak przyjazny. Był mężczyzną, wywnioskował to z jej słów, i z pewnością nie uwierzy tak łatwo, jak ona. Danaskee myślała o tym samym, dlatego poszła go uprzedzić. Lepiej wyjdzie przed chatę. W razie czego szanse będą równe.

– Iti... – usłyszał za plecami szept. Odwrócił się.

– Nie śpisz?

Jastihoreno uniósł się na łokciu.

– Nie, od jakiegoś czasu. Słuchaj, musisz uważać... – głos rwał się i widać było, że mówienie sprawia mu ból. – Odebrałem waszą rozmowę, niestety, nie w całości, ale wystarczająco dużo... Musisz wiedzieć, zanim przyjdą oboje. Ona przejęła część twej tajemnicy, więcej, niż byś chciał... Tłumi to, chyba odruchowo, nie wie przecież, że czytam jej myśli. Podejrzewa jednak, że ma to związek z Wieżą i niepokoi się... Uważaj, nie myśl o tym w obecności tornów, oni nie wnikają w sferę osobistą, ale nie wierz im zbyt łatwo... Staraj się myśleć tylko do nich, rozu-

miesz, w ich kierunku, zwłaszcza tutaj, w kopule... Pamiętaj, że chroni cię jedynie aureola... – Zmęczony długą przemową opadł na skóry. Dyszał ciężko, na jego czole pojawiły się krople potu.

– Skąd to wszystko wiesz? Ja nie potrafię odczytać nic ponad to, co Danaskee chce mi przekazać!

Jastihoreno spojrzał na niego i uśmiechnął się z trudem.

– Ja... jestem z Lornin... W moich żyłach płynie kilka kropli torneńskiej krwi... Pewnie słyszałeś... Wiele ellarów temu, gdy żyli jeszcze walowie pamiętający Świętą Wędrówkę, tornowie mieszkali między nami... Zdarzały się przypadki mieszania ras... Potem, po klęsce królestwa, nadeszli Agrenowie i Shonnowie musieli odejść. Byli łagodni, ich Moc była za słaba dla odparcia inwazji. Zostawili po sobie synów, mieszańców, a w nich trochę swych zdolności... Stąd moja umiejętność. Ta i kilka innych...

– A Vortar? Jego myśli nic nie chroni. – Iti przypomniał sobie o Sorvie.

– Na razie jest nieprzytomny, to nie pozwala tornom przeniknąć do jego umysłu. Później w ich obecności będziemy go chronić. A jest to możliwe jedynie w promieniach Jasti, wiesz, co to znaczy...

– Tak, rozumiem. Pomówimy o tym później, gdy wyzdrowiejesz. Teraz odpocznij. – nie mógł pozwolić, by Jastihoreno kontynuował męczącą go rozmowę. I tak należało ją kończyć. Zobaczył wychodzących na polanę tornów.

*

Nie wiedział, co sądzić o tym wszystkim. Zbyt łatwo tornowie zgodzili się na udzielenie im pomocy. Tym bardziej, że w końcu wyszło na jaw pochodzenie Jastihoreno. Jak przypuszczał, ich gospodarze i tak domyślali się tego wcześniej. Dwaj walijscy książęta po tej stronie gór – to już powinno wydać się podejrzanе, a jeszcze przypuszczenia Danaskee, o których mówił lornińczyk... To musiało stać się wtedy, gdy podczas pierwszego spotkania ufnie zakrył głowę. Postąpił nierozsądnie, zachował się jak naiwny podrostek, lecz nie wiedzieć czemu, od razu jej uwierzył. I obecnie, chociaż rozsądek nakazywał ostrożność, gotów był zdradzić wszystko tej kobiecie, która przecież była przedstawicielką obcej, nieprzyjaznej im rasy. Czyżby znalazł się pod wpływem jakichś nieznanых czarów? Niewiele wiedział o możliwościach tornów. Jastihoreno nie wyjawiał już nic więcej, a i okazji do poufnej rozmowy nie mieli. Stale czuli wokół siebie niewidzialną sieć, kontrolującą każde ich poruszenie, każdą myśl. To chyba jednak nie były czary, do Solliriona nie miał zaufania. Raczej przeciwnie: w obecności mężczyzny dominowała niepewność, czuł do niego niechęć. Tylko Danaskee... Coś innego musiało być przyczyną uczuć ogarniających go na jej widok. Onieśmienie to jedno z niewielu, które potrafił nazwać. Dla reszty nie umiał znaleźć określenia, tak mało miał dotąd do czynienia z kobietami...

Gdy Vortar odzyskał przytomność, pod pretekstem uwolnienia gospodarzy od obowiązku gościnności przenieśli się z kopuły na polanę. Prawdziwe powody były inne, Iti pamiętał o ostrzeżeniu lornińczyka. W kopule nie zdołaliby się obronić, szczególnie Vortar. Biwak na

zewnątrz zapewniał ochronę Jasti, a to było ważniejsze od wygody.

Jeszcze osiem dni pozostało do zapowiedzianego przybycia karawany kupców. Powoli gotowali się do odjazdu, naprawiali oporządzenie i uzupełniali zapasy żywności. Jastihoreno wyzdrowiał, Sorv także od paru dni zaczął wstawać. Iti często wychodził z księciem na polowania, powierzając staremu pieczę nad ich dobytkiem. Zwierzyny było w bród, nigdy nie wracali z pustymi rękami. Dzielili potem mięso na cienkie pasy, które suszyli na słońcu bądź wędzili w dymie ogniska. Mistrzem w tym okazał się Vortar. Zdawali się na niego chętnie obaj, zauważyli bowiem, że praca dobrze wpływa na jeszcze nie całkiem zdrowego Sorva. Dla niego bezczynność była zabójcza.

Tego dnia Iti wyruszył sam. Jastihoreno został na polanie, pomagał Vortarowi w szyciu namiotu ze skór dzikich irmanów. Mieli jechać na północ, w krainy zimna i deszczu, gdzie nie będą mogli nocować pod gołym niebem. Właściwie nie musiał już polować. Zapasy były wystarczające, nawet gdyby po drodze nie mieli okazji ich uzupełnić. Szukał samotności. Pragnął przemyśleć wszystko do końca, a w towarzystwie Jastihoreno czy Vortara czuł się skrępowany. To również było dziwne: dotąd nie miał przed nimi tajemnic. Musiał sobie wszystko uporządkować, bo jeśli nie zdoła jasno określić swego stanu, jego cel rozmyje się w gmatwaninie wątpliwości i sprzecznych, niejasnych uczuć.

Kołysząc się na człapiącym wolno kisecie, zatopiony w myślach nie spostrzegł, kiedy dotarł nad rzekę. Otrzeźwił go chłodny powiew. Rozejrzał się. Stał w odległości kilkunastu kroków od miejsca, które znał. To

tutaj wracał do przytomności w lodowatym prądzie strugi, tutaj odnalazł kiseta. Odruchowo spojrzał na południe. W oddali, tam gdzie kończyła się zieleń, zobaczył szarą równinę Pustyni Śmierci. Podobna do cięciwy linia widnokręgu zdawała się zamykać wykrzywioną ku niemu w upiornym, ironicznym uśmiechu paszczę. Wzdrygnął się. Nie wszystko chciał pamiętać. Zsiadł z wierchowca. Przykucnął na brzegu i popatrzył w przejrzystą wodę. Drobne fale skrzyły się w promieniach słońca, pluskały cicho, przyjaźnie. Zapomniał o czającej się za plecami złowrogiej krainie.

Drzemiąca tuż pod cienką skorupką spokoju czujność kazała mu zerwać się na nogi, zanim cokolwiek usłyszał. Spojrzał dokoła. Nikogo. Czyżby pustynia? Nie, to chyba niemożliwe, jej moc nie sięgała tak daleko. A jednak uczucie czyjejś obecności nie ustępowało. Już odbierał ją świadomie, już potrafił zidentyfikować. Podobnie czuł się na polanie, wśród tornów.

Odebrał myśl, która przywróciła mu spokój.

"Witaj, Itijasti! To ja, Danaskee".

Zaszeleściły krzewy. Spośród gałęzi wyłoniła się sylwetka kobiety. Udając obojętność, usiadł ponownie.

"To ty... Cóż robisz w tych stronach?" – zapytał, starając się nadać przekazowi pozory jedynie grzecznej ciekawości. Stwierdził, że łatwiej to uczynić w mowie niż w myślach.

"Raczej ja powinnam o to zapytać" – usłyszał śmiech. Podeszła i przykucnęła obok. – "Jesteś sam?"

"Tak, Jastihoreno został w obozie".

"Nie boisz się?" – chyba nie kpiła. – "Niewielu zdobyłoby się na powrót tutaj po tym, jak wyrwali się z objęć pustyni".

"Nie jestem aż tak odważny" – nie chciał kłamać. – "Trafiłem tu przypadkiem, szukałem samotności".

"Czy zakłócam ci spokój? Powiedz, jeśli tak, odejść" – spojrzała na niego badawczo.

"Nie, nie, zostań" – zaprzeczył pośpiesznie. Zganił się w duchu, że zbyt pośpiesznie. Nauczył się już myśleć na dwóch poziomach: dla tornów i dla siebie.

Wycofała się z jego umysłu. Odczuł to jak ciszę, choć przecież żadne słowo jej dotąd nie zmaciło. Bezmyślnie liczył kamienie pod stopami, starając się ukryć drżący go niepokój. Ten sam co zawsze w jej obecności.

Po długiej chwili znów była.

"Iti..." – dobiegła go myśl tak słabiutka, że przypisał to własnemu zamknięciu, potęgującemu widać działanie Jasti. – "Chcę ci coś wyjaśnić..."

"Tak?" – z zaciekawieniem odwrócił się ku niej.

"Ja wiem..."

Nie odezwał się, wiedział, że dokończy. Zaczynał się domyślać, co chce mu przekazać.

"Wtedy, podczas pierwszej rozmowy... Wybacz, nie wolno tak czynić... Zrobiłam to odruchowo, byłeś taki otwarty".

"Wiesz o Wieży" – stwierdził raczej, niż zapytał.

"Tak".

"Co wiesz?"

"Wszystko".

Nie miał pojęcia, jak powinien zareagować. Jeśli rzeczywiście wie tyle co on, musi zdawać sobie sprawę ze skutków jego zamierzeń. Nie czekała na reakcję.

"Niepotrzebnie się lękasz, Sollirion nie wie" – wyjaśniła prędko. – "On jest dumny ze swej Mocy, potraktowałby cię jak zbrodniarza".

"A ty?"

"Ja? Widzisz, wielu tornów już zrozumiało, jaki ogrom zła niesie władanie siłą Wieży. Należę do nich".

"Czemu więc sami jej nie zniszczycie?"

Przez chwilę panowała cisza.

"To nie takie proste. Wieża to świętość. Tyle pokoleń utrzymywało ów dogmat w świadomości naszej rasy, że nikt nie zdobędzie się na taką zbrodnię. Nawet Loża. Lecz my przynajmniej wiemy i staramy się działać. Próbujemy uniemożliwić wykorzystanie całej siły Wieży, a to przecież niemało. Stąd moja obecność tutaj".

"Nie rozumiem".

"Zeqr to pokarm dla niej. Występuje tylko na pustyni. Dlatego pogranicze zamieszkują tacy jak Sollirion poszukiwacze. I dlatego między nimi jest kilku spośród nas. Musimy dbać, by pokarmu nie znaleziono zbyt wiele".

"Dziwnie mówisz o swym towarzyszu. Myślałem, że jesteś jego kobietą".

Znów usunęła się na moment, lecz zaraz powróciła.

"Nie mylisz się, jestem z nim. Inaczej nie mogłabym tu przebywać".

"Poświęcasz się?" – Zabrzmiało to złośliwie, choć wcale nie miał takiego zamiaru. Dlatego zaraz dodał: – "Przepraszam, nie chciałem cię urazić".

"Nie myśl, że jest mi lekko. Jestem tu na polecenie Łoży. Tylko w ten sposób można było wejść między poszukiwaczy. To przeważnie niezależni od króla i Durloc-ku Torivowie. Sollirion nienawidzi tych z Morv jak ja. Tylko wydaje mu się, że można ich pokonać Mocą. A ona służy przede wszystkim tamtym. To jest zaklęty krag, w którym błądzi większość tornów".

"Wspomniałaś o Łoży..."

"Popatrz" – wskazała na sterczący z wody głaz. – "Czy jeden kamień może zatrzymać bieg rzeki? Jesteśmy takim kamieniem w rwącym nurcie, hamujemy go, lecz nie potrafimy zawrócić. A tam gdzie pędzą owe tłukące gniewnie o kamień fale, czeka otchłań wodospadu. Ale one o tym nie wiedzą, zaślepione pędzą ku zatraceniu. To zabrzmi jak paradoks, lecz chcąc uratować rzekę, trzeba odciąć jej źródło, by prąd nie przeszkadzał w budowie tamy. Dopiero wówczas, gdy z tych rozrzuconych bezładnie skalnych okruchów powstanie szczelny mur, wodę będzie można uwolnić i zamienić rwący strumień w spokojne jezioro".

"I do tego potrzebny jest ktoś obcy?"

"Ten kamień nie znajdzie się sam w źródle. Wejdziesz w wodę, weź go i zanieś. Rzucony w miejsce, skąd bierze początek oszalała rzeka, nie pozwoli jej płynąć. Lecz wcześniej potrzebna jest twoja pomoc".

"Pomożesz mi?"

"Już powiedziałam: ani kamień bez ciebie, ani ty bez kamienia. A poza tym..." – przerwała nagle.

Zaskoczony niespodziewaną ciszą popatrzył na nią. Wyglądała na zmieszaną, jakby w ostatniej chwili udało się jej zawrócić wymykające się myśli. Była bardzo ładna. Dziwne, ale dopiero teraz to sobie uświadomił, chociaż fascynowała go od dawna. Przez psychiczny z nią kontakt dotąd nie zauważał jej ciała. Postrzegał ją niby istotę niematerialną, przypadkiem jedynie skojarzoną z dotykálną powłoką, niezależną od obrazu, jaki sobie stworzył. Patrzył teraz na jej kruchy profil, jak gdyby nagle znalazł się obok kogoś całkiem obcego. Nie było to przykre odkrycie. Siedząca obok kobieta to przecież ta sama Danaskee, która istniała w jego wyobraźni.

Poczuła jego wzrok. Oczy spotkały się na krótko i spłoszone uciekły, szukając ratunku w roziskrzonej wodzie. Usłyszał jej cichy śmiech. Tak, usłyszał, gdyż dźwięczny głos po raz pierwszy nie rozbrzmiał pod czaszką, lecz dobiegł do jego uszu. Odnalazł w nim nutki zmieszania i jakiejś tajemniczej radości, której źródła nie potrafił jasno określić, a którą ze zdumieniem odkrywał w sobie samym.

"Pójdę z wami, Itijasti" – odebrał swe imię przekazane jakoś inaczej: ciepło i pokornie.

*

Karawana podążała wzdłuż granicy na północ, mijając ciągnącą się aż po horyzont pustynię Naim. Szlak prowadził wąskim pasem stepu, oddzielającym terytorium nominalnie należące do Durlocku od leżącej na wschodzie Torivii. Czoło karawany tworzyli trzej ponurzy tornowie w zniszczonych kombinezonach, wiodący dwa poszóstne irmanie zaprzęgi. Ładunek wielkich, wyładowanych po brzegi wozów stanowiły ciężkie, metalowe skrzynie o grubych ścianach, w których wnętrzu kryły się niepozorne, szare grudki cennego minerału, będącego plonem trwającej wiele seves harówki grupki pustynnych poszukiwaczy.

Orszak zamykali czterej jeźdźcy ubrani w srebrne kombinezony, choć tylko jeden, a raczej jedna z nich miała prawo do noszenia tego stroju z racji przynależności do rasy tornów. Valowie przywdziali je za namową Danaskee, by nie rzucać się zbytnio w oczy w krainach zamieszkanym przez lud władający Mocą. Była to mistyfikacja łatwa do rozszyfrowania, ale nie mieli zamiaru

nawiązywać bliższych kontaktów z mieszkańcami tych stron. Jak dotąd wszystko szło doskonale. Kupcy nie poznali w trzymających się na uboczu "ziomkach" valów, intrygował ich jedynie kiset, lecz widać byli niezbyt bystrzy, gdyż nie podejrzewali niczego. Valowie nie mieli podstaw, by sądzić, że jest inaczej.

Sollirion spokojnie przyjął wiadomość o odejściu Danaskee. Nikt nie wiedział, jak kobieta uzasadniła ten fakt, tornowie nigdy nie dyskutowali na ten temat i nawet zdolności Jastihoreno nie przydały się na nic. Gdy nadeszła chwila odjazdu i Danaskee dołączyła do karawany, Sollirion potraktował to tak naturalnie, jakby od dawna znał i akceptował jej zamiary. Iti nie zdradził towarzyszom treści swej rozmowy z dziewczyną, byli więc trochę zdziwieni jej postanowieniem, a Jastihoreno miał nawet pewne zastrzeżenia. Wyjaśnienia Isera przyjęli jednak bez komentarzy. Do tej pory nie mieli powodu wątpić w trafność jego decyzji. Przewodnik z plemienia tornów z pewnością może być użyteczny, zwłaszcza że od Zottor będą musieli radzić sobie sami.

Iti zdawał sobie sprawę, że w końcu będzie zmuszony wyjawić towarzyszom tajemnicę Danaskee. Czekał tylko na sposobność. Musiał być pewien, że nikt spoza ich grona nie pozna sekretu. Kupcy trzymali się z dala, lecz nie na tyle, by nie odebrać sensu rozmowy. Myśl niesie dalej niż słowa.

Przez ostatnie trzy dni padał deszcz. W końcu zza burych chmur wyrzrzało słońce. Ziemia była nawilgła i grząska, tabor posuwał się wolno, często przystawał, gdy koła wozów tonęły w błocie i zaprzęgi bezsilnie szarpały uprzęże. Praca przy wyciąganiu ich z topieli dawała się mocno we znaki, toteż każdy popas przyjmowali z ulgą.

Ledwo starczało sił, by rozstawić namioty, zaraz potem padali niemal bez ducha na naprędcie rozłożone posłania. Zasypiali od razu, a rano budzili się prawie tak samo zmęczeni, jak byli wieczorem. Pierwsze nieśmiałe promienie wśród szarości kłębiącej się na niebie powitali więc z radością. Jasti szybko osuszy drogę i można będzie przyspieszyć.

Gościniec skręcał na wschód. Zbliżali się do granicy. Valowie obawiali się chwili, gdy będą ją przekraczać. Straż na przejściu nie była zapewne zbyt czujna, granica od dawien dawna była fikcją, lecz nawet najbardziej leniwy celnik przypadkowo mógł zauważyć, że nie wszyscy podróżni są tornami. Okazało się, że kupcy nie mają zamiaru przejeżdżać przez graniczny posterunek Torivii. Tabor zjechał z ubitej drogi i, omijając ryzykowną strefę szerokim łukiem, pociągnął przez step. Sprawa ładunku nie była widocznie czysta. Nie wnিকali, co kupcy mogą mieć na sumieniu. Na nocleg rozłożyli się już po drugiej stronie granicy. Było jeszcze dość wcześnie, mieli więc dużo czasu na odpoczynek i doprowadzenie sprzętu, zwierząt i siebie do porządku po trzydniowej ulewie i wędrówce przez błota. Mieli też czas na rozmowę.

*

Gannieth Ossi, kupiec z Zottor, od wielu ti przemierzał szlak między rodzinnym miastem a tymi zakazanymi stronami, które zwą pograniczem. Nie był to łatwy sposób utrzymania: wiecznie w drodze, wiecznie narażał życie, przebywając wśród wyrzutków żyjących na obrzeżu pustyni, bez rodziny, bez chwili wytchnienia. W dodatku ten towar... Nawet pancerne skrzynie nie chroniły

przed zabójczym działaniem zeqr. Nie rozumiał, jak znoszą to poszukiwacze. On sam dawno stracił włosy, ciało pokryły brunatne plamy, a skóra pomarszczyła się. Wiedocznie jest prawdą, że zeqr śpi na pustyni, budzi się dopiero wyrwany ze swego macierzystego otoczenia, a im bardziej się od niego oddala, tym staje się groźniejszy, jakby mścił się na sprawcach swego porwania. Gannieth wielokrotnie widział tych, którzy wożą zeqr do Wieży; nikt z nich nie dożywa pięciu kari.

Za każdym razem obiecywał sobie, że wyrusza w ostatni kurs, a potem wycofa się i zacznie normalne życie w domu, który odziedziczył po ojcu. Gdy wracał, zaczynał liczyć. I ciągle wychodziło, że jeszcze ten ostatni raz. Więc jeździł już prawie trzecie kari. Dawniej uważał kupców za bohaterów, za wybrańców pełniących szczytną misję. Na nich spoczywał obowiązek dostarczenia strawy Wieży Życia – dziełu genialnych ojców. Wieża zapewniała całym pokoleniom władzę nad innymi. Był dumny, że jest tornem – synem nieba. Jak większość jego pobratymców z zachodniego wybrzeża Morza Wewnętrznego uważał się za istotę doskonałą. Czczył i podziwiał potężnych tornów z Morv, gardził łagodnymi Shonnami. Ta pogarda, cechująca wszystkich Torivów, miała wynagrodzić przykrą, głęboko skrywaną prawdę, że to Shonnowie przybyli na te ziemie pierwsi.

Obecnie miał inny stosunek do swego zawodu. Zmieniał się on stopniowo, w miarę jak poznawał tych, których niegdyś uwielbiał, kiedy będąc chłopcem, obserwował z progu rodzinnej kopuły pokryte kurzem tysiąca dróg karawany. Dziś był jednym z nich i wiedział już, jak wątłe podstawy ma legenda, którą się otaczali. Z mitu o świętym posłannictwie zostały strzępki, nieważny margi-

nes, o tyle istotny, że umożliwiający właściwą działalność. Stał się, wzorem swych współników, przemysłowcem z gatunku tych najgorszych, co to i kradzież, i rozbójem nie pogardzą dla uzupełnienia kiesy. Taka była prawda o kupcach wożących zeqr z pustyni i on ją zaakceptował.

Ten transport różnił się od innych. Początkowo nie nie zapowiadało sensacji. Objechali wszystkie punkty odbioru, przejmując ładunek i zawierając przy okazji sporo niezbyt legalnych, a dochodowych transakcji. Tak było zawsze, na pustyni znajdowano nie tylko zeqr. Dopiero u Solliriona... Już to, że Danaskee wyraziła chęć wyjazdu, było zaskakujące. Gdy zaś Gannieth dowiedział się o tamtych... Byli dziwni. Ani Gannieth, ani jego towarzysze nigdy nie spotkali ich na pograniczu, a przecież znali tu niemal każdego. Poza tym było w nich coś, co niepokoiło. Nie byli Torivami, to pewne. Na Shonnów też nie wyglądali, w każdym razie nie przypominali żadnego z tych, których Gannieth znał. Kilku Shonnów mieszkało wśród poszukiwaczy, czasami pojawiali się również w Zottor, choć kontakty z królestwem były ograniczone. Czyżby przybyli z Morv? W takim razie co stanowiło cel ich wędrówki? Gannieth nie wdawał się w politykę, nie lubił jej. A tu cuchnęło polityką z daleka. Bo czego tornowie z zachodu mogą chcieć od Shonnów?

Zamiar zrodził się dawno, gdy tylko stwierdził, że obcy trzymają się z boku i nie wdają w żadne rozmowy ani z nim, ani jego pomocnikami. Niezbędne sprawy załatwiała wyłącznie Danaskee; z niej również nie zdołał nic wydobyć. Doskonale wiedział, że kodeks zabrania świadomego naruszania strefy poza pasmem kontaktu. Było to i bezprawne, i niemoralne. Gannieth zdawał sobie

sprawę, ile może kosztować go wpadka. Lecz od tak dawna przywykł łamać prawo, zaś moralność traktować z pogardą, że nawet przez chwilę się nie wahał. To, że czekał tak długo, spowodowane było wyłącznie brakiem stosownej okazji, nie skrupułami. A dziś okazja była wymarzona. Obcy po raz pierwszy byli aktywni, czuł pulsowanie ich pól, najwyraźniej o czymś rozprawiali.

Był ostrożny. Miał w tym niezłą wprawę, nie pierwszy raz włamywał się w obcą strefę. Nie znał siły blokady stosowanej przez władców Durlocku i lękał się trochę, że jakimś nieostrożnym posunięciem może się zdradzić. Słyszał bowiem coś niecoś o nich i, nawet biorąc poprawkę na legendę, mógł okazać się za słaby. Czułości pola nie znał również.

Wyczekał, aż pomocnicy zasną. Nie żeby bał się zdrady, znał ich przecież, niejedno mieli na sumieniu. Instykt podpowiadał mu, że tajemnica nieznajomych tornów może ich przerosnąć. Trudno przewidzieć reakcje kompanów. A tu trzeba działać delikatnie, jeśli chce się jeszcze pomieszkać na tym najpiękniejszym ze światów.

Skupił się. Ostrożnie rozszerzał aktywność, aż poczuł pierwsze muśnięcie pola. Wycofał się lekko. Było nieregularne, jak zwykle przy dużym podnieceniu rozmówców. Pozostanie groziło wykryciem próby włamania. Czekał dłuższą chwilę, po czym znów delikatnie zacieśnił pierścień, aż ponownie napotkał strefę. Teraz podążył za nią, a gdy wracała, powoli cofnął się do miejsca, gdzie kontakt zanikał. Powtarzał to coraz śmielej, aż ustalił w końcu amplitudę. Zestroił się z jej rytmem i poddał, jak falujący w takt jeziora zielony dywan pokwit. Nadszedł czas właściwego działania.

Już pierwsze odkrycie zaszokowało go tak bardzo, że omal nie zapomniał o niebezpieczeństwie. Miał tylko nadzieję, że nie zorientują się i nie zauważą jego nieostrożności, nie mieli przecież wprawy. W innym przypadku już by było po nim. Ale oni nie mogli być groźni. Oni nie mieli nawet warstwy zewnętrznej, to Tabbi chroniła ich swym polem. Oni byli valami.

*

"Iti..." – już zasypiał, gdy odebrał myśl Danaskee. – "Odpowiedz".

"Co się stało? Czemu mnie budzisz?" – był trochę zły, sen przyszedł z trudem, wrażenia długo nie pozwalały zmrużyć oka.

"Wybacz, Iti. Muszę ci powiedzieć. Coś działo się w czasie naszej rozmowy. Zdawało mi się... Nie wiem, może się mylę".

"O co chodzi?"

"Miałam dziwne uczucie. Nie... to chyba złudzenie... Przepraszam, śpij" – wycofała się.

"Jakie uczucie? Mów jasno!" – próbował jeszcze dotrzeć do niej, lecz już nie odpowiedziała.

*

Miasto, które ujrzeli przed sobą, niczym nie przypominało grodów Przedgórza. Rozległy garb nabrzeża Mnethu pokrywały większe i mniejsze kopuły, na skraju rozrzucone rzadko, dalej tworzyły zwarte, rozmieszczone regularnie czworoboki kwartałów. Główne arterie zbiegały się u szczytu wzgórza. Wokół Zottor panował spory

ruch. Mijani tubylcy odprowadzali karawanę wzrokiem pełnym podziwu i szacunku. Kupcy zeqr cieszyli się wielkim poważaniem. Danaskee miała rację, nikt nie śmiał ich o nic pytać czy odezwać się choćby słowem.

Rozstali się na przedmieściu. Nie chcieli wchodzić do centrum, gdzie wśród tysięcy tornów łatwo było o przypadkowe zdemaskowanie. Gannieth Ossi wylewnie pożegnał Danaskee i skłonił się z daleka pozostałym. Odклонili się uprzejmie, tylko Jastihoreno pozostał nieruchomy. Spod oka obserwował odjeżdżającego kupca. Nagabnięty przez Vortara zbył go niezrozumiałym mruknięciem i ruszył w ślad za kobietą na poszukiwanie kwatery.

Znaleźli niedużą, opuszczoną kopułę na skraju kolonii. Od dawna nikt w niej nie mieszkał. Gruba warstwa kurzu pokrywała połamane sprzęty i włożyli mnóstwo wysiłku, by doprowadzić dom do porządku. Pragnęli odpocząć tu kilka dni, zanim wyruszą w dalszą, już ostatnią wędrówkę. Nie mogli przebywać w Zottor zbyt długo, każdy dzień w tak dużym skupisku groził ujawnieniem prawdy, lecz zmęczenie było silniejsze od obaw, tym bardziej że droga przed nimi była długa, ciężka i niepewna. Danaskee знаła trakt do Królestwa Shonnów, a szlak ku Wieży biegł gdzieś daleko od niego. Gdzie była sama Wieża Życia? To wiedzieli jedynie nieliczni: anasteulowie i przewoźnicy zeqr. Transport z pokarmem powinien wyruszyć lada dzień, przywieźli go przecież. Wystarczy wysłedzić przewoźników, a potem zaczekać, aż wróćą. W Wieży zwykle przebywał tylko samotny anasteul. Tyle wiedziała Danaskee, reszta była niewiadomą. Na dziewczynie spoczął obowiązek wytropienia

bazy przewoźników i prowadzenie obserwacji. Tylko ona mogła bez obaw poruszać się po mieście.

Jak co dzień wyszła wcześniej rano i jeszcze nie wróciła. Iti zaczynał się już niepokoić, Jasti stał nisko, jeszcze nigdy tyle czasu nie zabawiła w śródmieściu. Wyszedł przed próg. Vortar był przy zwierzętach, Jastihoreno siedział pod drzewem i naprawiał kolczugę. Iti podszedł do niego.

– Długo jej nie ma – zagadnął lornińczyk, który domyślał się, co trapi Isera.

– Miejmy nadzieję, że to dobry znak – westchnął Iti, siadając obok niego.

– Jak dotąd wszystko idzie dobrze, aż za dobrze. Ale muszę ci coś powiedzieć: obawiam się, że ktoś zna nasz sekret.

– Jak to? – Iser spojrzał na księcia z niepokojem.

– Zaczęło się już na pierwszym postoju w Torivii, pamiętasz? Po przekroczeniu granicy. Mówiłeś wtedy o Danaskee. Przez krótki moment miałem wtedy uczucie, że ktoś usiłuje wdrzeć się w nasze myśli. To trwało ułamek chwili i nie byłem pewny. Nie chciałem cię niepotrzebnie alarmować, ale rozważałem to długo i wydaje mi się, że wiem. Kupcy nas rozszyfrowali. Pamiętasz, jak zegnaliśmy Gannietha? Zastanowiło mnie, czemu wykonał tak szczelną blokadę myśli. Nic nie mogłem odebrać poza kilku słowami do Danaskee. Przecież nie miał powodu, tak przynajmniej sądziłem. Lecz Gannieth nie wiedział, że ja nie tylko w myślach umiem czytać. Shonowie tym górują nad Torivami, że mogą odbierać również uczucia. Ja to potrafię.

– Myślisz, że zdradzi?

– Dotąd tego nie uczynił. Któż może wiedzieć, jaki ma stosunek do tych spraw? Danaskee jest najlepszym przykładem. Radzę jednak związać się jak najszybciej, lepiej licha nie kusić.

Iti zamyślił się. Po chwili wstał.

– Masz rację, niebezpiecznie byłoby tu zostać. Tornowie mogą nas łatwo zlokalizować, wszak Gannieth wie, w jakim rejonie szukaliśmy kwatery. Spakujmy się. Gdy wróci Danaskee, wyprowadzimy się stąd. Rozłożymy się gdzieś w pobliżu szlaku do Królestwa Shonnów. Tak nawet będzie lepiej. I tak musielibyśmy tamtędy przejeżdżać.

Jak gdyby tylko sygnału było im potrzeba, wszyscy trzej rażno zabrali się do roboty. Nieswojo czuli się w obcym, dziwacznym mieście, dlatego podchwycili rzuczone przez Itiego hasło. Nawet Vortarowi, który niewiele rozumiał z dziejących się wokół niego spraw, udzielił się niepokój towarzyszy, bo nie pytając o nic, pospiesznie wiązał rzemienie juków i ładował je na grzbiety zwierząt.

Pierwszy odczuł to Iti. Niby nic: krótki, lekki ucisk w skroniach jak mocniejsze uderzenie pulsu. A po chwili czaszkę wypełniły ciosy niewidzialnych młotów. Dudniły ogłuszającym łomotem, tłamsząc i miażdżąc rozszarpywaną na strzępy jaźń. Już ogarniały cały mózg, już przenikały wzdłuż kręgosłupa do najdalszych koniuszków nerwów i tłukły w nie potężnym tętnem. Potworny ból wypełnił ciało, zmieniając je w rozdęty męką balon. Bo nie miał już ani mięśni, ani kości, ani trzewi, a resztką świadomości kołatała się bezradnie pod cienką, napiętą do granic wytrzymałości błonką naskórka. I cudem można nazwać, że przez ogarnięty chaosem organizm znalazło ku niej drogę zabłąkane słowo i że zostało odczytane.

– Kaptur! – raczej domyślił się sensu okrzyku księcia.

Nerwowy impuls, wysłany przez ginący umysł tam, gdzie powinna być ręka, nie został zarejestrowany w świadomości. Srebrny torneński kaptur zsunął się z włosów. Niemal równocześnie zajaśniały w słońcu dwie zbawcze aureole. Młoty przycichły. Odzyskując wzrok, najpierw zobaczył właśnie ich. Wychodzili zza sąsiednich kopuł, z obejść i kęp krzewów – jednolity srebrzysty krag. Prawie materialnie poczuł drugie uderzenie, boskie pole ugięło się pod ciosem i zaczęło rozszczepiać jak gnieciony w mocarnych cęgach orzech. Wyteżył wszystkie siły. Ucisk ustępował powoli, by nagle cofnąć się tak szybko, że świat zawirował mu przed oczami. Odetchnął głęboko. Tym razem zdołał ich odeprzeć. Popatrzył wzdłuż nieruchomego szeregu. I zrozumiał, że nie mają szans.

– Iti – usłyszał zduszony szept Jastihoreno. – Nie damy rady, jest ich zbyt wielu. Uciekajcie...

Spojrzał na pobladłą z wysiłku, zroszoną potem twarz księcia.

– Nie zostawię cię samego!

– Ty jesteś jeszcze potrzebny, ja przydam się tutaj. Ściągnę ich na siebie, potrafię nie tylko się bronić. Skończycie, gdy poczujesz gwałtowne ustąpienie Mocy. To będzie znak, że uderzyłem. Kilku z nich tego nie wytrzyma, powstanie luka... Bądź zdrów, Itijasti!

Chciał jeszcze protestować, lecz Vortar był już przy nim i, wychyliwszy się z siodła, złapał go za kark jak szczenię, po czym wciągnął na grzbiet kiseta.

– On ma rację! Masz jeszcze coś do zrobienia, zapomniałeś?

Stało się tak, jak zapowiedział książę. Chwilę później uderzyli ponownie, zdawało się, że osłona trzaśnie lada moment, kiedy odczuł cios Jastihoreno. Zobaczył, jak szereg zachwiał się niby od podmuchu wiatru. Trzech tornów na lewo od nich upadło na ziemię w konwulsyjnych drgawkach. To zaskoczyło napastników. Moc cofnęła się raptownie. Nadszedł oczekiwany czas. Spięli wierzchowce. Runęły w lukę powstałą po ataku Jastihoreno i pognały przed siebie. Jeszcze świsnęły walijskie miecze, gdy jeźdźcy przekraczali krag, i już byli poza nim. Zanim skryli się w zaułkach przedmieścia, Iti obejrzał się. Tornowie atakowali. Odebrał ten atak, lecz jakby obok, nie on był jego celem. Pojął, że to lornińczyk ściąga na siebie Moc Torivów. Gdzieś pod czaszką, przytłumione ochronną aureolą, czuł jego śmiertelne zmaganie. Ostatni obraz, jaki zapamiętał, przedstawiał kulącą się na ziemi sylwetkę księcia.

*

Danaskee szukała cały dzień. Penetrowała cierpliwie i z uporem niemal każdą piędź ziemi w kolonii, szperała myślą wśród tysięcy obcych myśli, szukała wzrokiem, dotykiem i polem. W rozpacz przyklinała siebie za tę tragiczną w skutkach zwłokę. Zwłokę, która spowodowała śmierć księcia z Lornin i zaginięcie Itiego. Gdy wróciła do kopuły, przywitał ją przerażający widok: sześciu martwych tornów, jeden konający z odrąbanym ramieniem i zwinięte w kłębek zwłoki Jastihoreno. Po napastnikach nie zostało ani śladu, odeszli, nie troszcząc się ani o swoich, ani o pokonanego księcia. Jedynym pocieszeniem było to, że nie znalazła Itiego wśród zabitych. Nie

było także Vortara oraz ich wierchowców. Istniała zatem nadzieja, że obu udało się wymknąć. Dlatego szukała.

Tamto uczucie... Dlaczego wówczas nie powiedziała o nim Iserowi? Coś kazało jej milczeć. Coś, przed czym świadomie broniła się, otwarcie głosząc swą niezależność. A jednak ona także była niewolnicą Wieży. Tego faktu nie zmieni żadna deklaracja. Była tornem. I choć darzyła Itiego uczuciem, którego nie śmiała nazwać, całym sercem była po jego stronie, a wcześniej przecież należała do Łoży, gdzieś głęboko, pod pokładami przemyśleń i prawd, krył się podświadomy nakaz: Wieżę należy chronić. Była częścią dziedzictwa przekazanego z krwią przodków. A teraz, gdy Gannieth Ossi zdradził, a jego zdrada przyniosła tak straszne skutki, cóż mogła uczynić? Miała na sumieniu życie Jastihoreno, a jeśli szybko nie odnajdzie pozostałych valów, spadnie na nią także ich śmierć. A przecież Iti...

Początkowo wpadła w popłoch. Rozpaczliwie usiłując odnaleźć ślad, kilkakrotnie naruszyła obce blokady. Zwrócono na nią uwagę. Ktoś próbował ją zlokalizować, i to nie był przypadek. Czuła to, lecz nie zważała na nic. Stała się tylko ostrożniejsza, nie popełniała więcej błędów. Gdy ochłonęła, postanowiła zaprzestać chaotycznych poszukiwań. W ten sposób tylko cudem mogłaby trafić na jakiś znak. Jak każdy torn umiała zapanować nad reakcjami umysłu z taką samą łatwością, z jaką sprawny fizycznie val panuje nad swym ciałem. Dlatego szybko przestawiła się na spokój i poczęła intensywnie szukać metody. I znalazła. Aż zdziwiła się swojej niedomyślności. Dlaczego wcześniej nie przyszło jej do głowy, że bez powodu nie opuszcza się pola walki, gdzie konają

towarzysze zwycięzców? Tornowie mieli tylko jeden powód: był nim pościg.

To stwierdzenie pozwoliło na bardziej systematyczną penetrację. Wprawdzie czekał ją jeszcze ogrom żmudnej i niebezpiecznej pracy, lecz przestała błędzić po omacku. Wiedziała, czego chce. Ścigający nie mogli stosować blokady: uniemożliwiała użycie Mocy. Wystarczyło wykryć grupę niezabezpieczonych i odnajdzie rejon, gdzie przebywają. A tam – bliżej lub dalej, ważny był kierunek – z pewnością zlokalizuje także walów. O ile zdąży.

I tak próbowała już drugi dzień. Bezskutecznie. Za to coraz częściej czuła na obrzeżu pola dotknięcia obcej aktywnej strefy. Uciekała od niej, zawężając własną, lecz to z kolei utrudniało szukanie. Znowu więc, odczekawszy jakiś czas, przywracała zakres i znowu prędzej czy później napotykała tę upartą strefę. Najpierw zaabsorbowana poszukiwaniami nie zwróciła na to większej uwagi, sądząc, że któryś z urażonych właścicieli naruszonych wcześniej pól usiłuje wykryć i ukarać zuchwalca, który ośmielił się wdrzeć w zastrzeżony prawem obszar jaźni. Jednak trwało to za długo, nawet najbardziej zawzięty osobnik dałby już spokój. A próby nasilały się. Została zmuszona do podwójnej gry, swą aktywność zaczęła przeplatać unikami przed agresją tamtego.

Obeszła już prawie wszystkie dzielnice miasta. Mimo zaaferowania z ciekawością przyglądała się życiu Zottor. Gród zbudowano w czasach, gdy tą ziemią władali Shonowie. Był ongiś największym ich skupiskiem po zachodniej stronie Wielkich Bagien, rozcinających królestwo szerokim pasem od Morza Wewnętrznego aż ku ciągnącemu się na północy Martwemu Lasowi. Tu kończył się jedyny szlak, łączący wschodnią i zachodnią

część państwa. Zottor, odwiedzane przez wędrujących kupców, kurierów i niespokojne duchy, ciekawe świata, kwitło więc i opływało wówczas w bogactwa. Po klęsce Shonnów, którzy ulegli koalicji Durlocku i Torivii w wielkiej bitwie nad Mnethem, zachodnią prowincję przejęli Torivowie, spychając pokonanych za Wielkie Bagna. Odtąd Zottor utraciło swą pozycję. Choć bowiem między obydwoma torneńskimi państwami panował teraz pokój, szlak był rzadko uczęszczany. Shonnowie zamknęli granice i pozostali w niemal zupełnej izolacji od reszty świata. Nawet dbałość o zaopatrzenie Wieży Życia, obowiązek przypisany im jako budowniczym od początku jej istnienia, scedowali na zwycięzców. Od tego czasu funkcje anasteulów i przewoźników zeqr przejęli Torivowie. I tylko ten fakt utrzymywał jeszcze autorytet Zottor.

Centrum miasta zbudowano w formie stycznych bokami wielkich prostokątów. Każdy kwartał pełnił niegdyś inną funkcję. Teraz wszystko przemieszało się: trudno było poznać, który z nich należy do przyjezdnych, anasteulów, kupców, a który zamieszkują zwykli obywatele grodu. Dlatego Danaskee tak długo szukała siedziby przewoźników, dlatego dotąd jej nie znalazła. Bolało ją serce na widok ruiny miasta. Ruiny harmonii i funkcjonalności stworzonej przez jego poprzednich władców. Bolało ją tym bardziej, że Danaskee była Shonnem. Jej przodkowie żyli właśnie tu, w zachodniej części królestwa, a po klęsce nie odeszli jak tysiące innych. Od ellarów nieliczne kolonie Shonnów trwały na ziemi ojców zapomniane przez obecnych suwerenów, tworząc hermetyczne, ukryte na pustkowiu enklawy. W jednej z takich kolonii urodziła się Danaskee. W niej rosła, wychowywana w czci dla wielkiego niegdyś narodu, silnego i mą-

drego, a tak upokorzonego przez wyrzutków z Durlocku. Tu też poznała ideę Łoży. Wpojona przez otoczenie nienawiść do Durlocku została wzbogacona o nowy element. Pojęła, że źródłem spadających na jej naród nieszczęść jest boska Wieża. Niełatwo było ogarnąć to umysłowi kształtowanemu w kręgu jej czcicieli, odrzucić utrwalony w podświadomości dogmat. I Danaskee nie udało się zapanować całkowicie nad instynktem, bo choć długi czas rozterek i wahań zaowocował w końcu pełną entuzjazmu akceptacją ideałów Łoży, niekiedy krew przodków bywała silniejsza niż rozum. Tak jak wówczas, gdy przemilczała...

Gdy dorosła, Łoża wysłała ją na pogranicze. Dostała zadanie i wypełniała je. Czuła się potrzebna, tym bardziej że trafiła na Solliriona, który jak wielu Toriwów z pogranicza podzielał jej nienawiść do Morv. Tu bowiem, na granicy życia i śmierci, przynależność plemienna zacierała się, stawała się nieistotna wobec pierwotnych praw Tui. Poszukiwacze nie dzielili się na Shonnów i Toriwów, w walce z pustynią wracała pradawna jedność rasowa. Sollirion nigdy nie pytał, kim była. Pracowali razem, razem spędzali dni i noce, dzielili strawę i łożę. Aż do chwili, kiedy pojawili się przybysze. Wówczas stało się realne spełnienie marzenia ukształtowanego na potajemnych spotkaniach Łoży, tak pasjonującego dorastającą dziewczynę. Marzenia o uwolnieniu tornów od brzemienia Mocy. Ten młody val o małym, prymitywnym umyśle zafascynował ją wielkością świętokradczego celu, w którym nagle zobaczyła spełnienie własnych idei. Poszła więc za nim, wiedziona podszeptem intuicji obudzonej raptem w jej chłodnej jaźni. To, co w niej powstało, potrafiliby może nazwać tornowie Pierwszej Fali przyby-

wający niegdyś z gwiazd, by dać początek rasie. Ją zdumiewało i niepokoiło budzące się uczucie. Do tego jego obiektem stał się nie mądry torn, lecz dziki, krwiożerczy mieszkaniec Przedgórza. Tak mówili o valach jej współplemieńcy, a opinię tę potwierdzały sporadyczne kontakty z Minnami. Powszechnie darzono valów wzgardą, nie zmieniały tego nawet podania o dawnym przymierzu w Lornin. Były one tylko pięknym mitem z wymyślonymi bohaterami. I oto nagle obiegowa opinia została zburzona, przybysze wcale nie przypominali drapieżnych zwierząt. Wielu znanych Danaskee tornów bardziej zasługiwało na to miano. Tym śmieiej pozwoliła zapanować nad sobą nowemu, intrygującemu uczuciu, tak różnemu od więzi łączących ją z Sollirionem.

Skąd te wszystkie myśli? Co sprawiło, że wróciły wspomnienia wyparte przez nawał bieżących wrażeń? Jakiś element towarzyszący poszukiwaniom nieodparcie kojarzył się z tamtym. Znów szukała. Rozszerzała pole miękko, zręcznie prześlizgując się między blokadami. Nigdzie nie trafiła na myśl bez zabezpieczenia czy choćby na ślad, że kiedyś taka była. I wtedy, niespodzianie, bez żadnego wcześniejszego sygnału, usłyszała swe imię:

"Danaskee!" – rozpoznała to wołanie, choć nie od razu potrafiła pojąć, w jaki sposób było możliwe w tym miejscu i czasie.

"Danaskee, odpowiedz!"

Teraz zrozumiała, skąd to skojarzenie z przeszłością. Poznała ten sam impuls, którego unikała. To wołał Sollirion. Nie odpowiadała. Nie wiedziała, czy może odpowiedzieć. Już sam fakt zjawienia się Solliriona w Zottor budził lęk, nie wróżył nic dobrego. Pożegnała się z nim, nie wyjaśniając nic, a on łatwo pogodził się z jej odej-

ściem, jakby od dawna tego oczekiwał. A teraz jest tutaj. Czego może od niej chcieć?

Znów go odbierała:

"Wiem, że jesteś, Danaskee. Dotykałem twego pola. Chcę cię ratować. Legion Derinnosa Hae ściga valów i ciebie. Ich już prawie mają, o tobie wiem tylko ja. Gannieth wyjawiał mi wszystko, ale nie bój się. Wiem od dawna, że jesteś z Łoży. Dopóki byłaś ze mną, patrzyłem przez palce, teraz jednak są oni... To stało się niebezpieczne, bardzo niebezpieczne. Odezwij się, Danaskee, muszę cię odnaleźć..."

Ledwie powstrzymała się od pytania, skąd się tu wziął. Bo niemal mu uwierzyła. Powstrzymało ją niejasne podejrzenie, znów intuicja... Cofnęła pole. Nie chciała dopuścić, by Sollirion w ślad za myślą dotarł do niej swą strefą. I tak, cofając się, przemknęła obok czegoś niespotykanego w tak dużym skupisku tornów. Rozpoznała je momentalnie, ostatnio przecież towarzyszyło jej stale. Pole bez zabezpieczenia.

Popełniła błąd.

"Iti!" – w chwilę potem zdała sobie z niego sprawę, lecz myśli zawrócić nie mogła.

W sekundzie otoczyły ją obce pola. Na próżno umykała, pozostał jedyny kierunek. Do wewnątrz. Tornowie zamykali pierścień, pozostawiając drogę jednemu z nich, który opasał ją szczelnie, z bezduszną precyzją zacieśniając pętlę strefy. Ze zdumieniem i zgrozą poznała w nim dawnego współnika. Jeszcze nie chciała pojąć, co ją czeka.

"Sollirion, nie..." – rozpaczliwie uczepiła się nadziei.
– "Wzywałeś mnie, Sollirion..."

Nie usłyszała odpowiedzi.

Wówczas go zobaczyła. Samotny stał na szczycie kopuły. Znaczyło to, że legioniści Derinnosa są jeszcze daleko, że ich pola jedynie wspomagały akcję Solliriona. To była jej szansa. Raptownie otworzyła blokadę. Opór był krótki, Sollirion nie spodziewał się ataku. Patrzyła, jak miękko zsuwa się z kopuły zatrzymany w pół gestu zdziwienia, może dziecinnej obrony... Zniknął jej z oczu. W wyobraźni zobaczyła jego kontakt z ziemią: trochę jak muśnięcie wirującego piórka. I znów widziała go na szczycie, i znów nierealnie, powoli przeginał się do tyłu, by sfrunąć z niego, jak gdyby odcieleśniony przez Moc. Czas zamknął się w okrąg, sekwencje powtarzały się w obłąkanym, niekończącym się tańcu.

Było jednak coś silniejszego od szaleństwa, zmalretowana wyobraźnia podsunęła ostatni ratunek. Zza powracającej bez końca sceny umierania Solliriona wypłynęła poważna twarz, oczy, dla których niszczyła swą torneńską osobowość. On jej potrzebował. Jak zdjęty urok zniknęły obrazy wiru. Odzyskała świadomość, a pierwszą myślą było wspomnienie dotknięcia jego pola. Valowie znajdowali się blisko, przecież cofała się wtedy. Musi ich odnaleźć przed siepaczami Hae. Odnajdzie ich, pamięta rejon, gdzie się to zdarzyło.

Nie musiała długo szukać. Gdy zwinęła pole i opuściła zaułek, w którym dopadł ją Sollirion, wyszli zza rogu. Nie poznali jej. Uśmiechnęła się, widząc szybko odkrywana głowę i rozpalające się czarne włosy Itiego. Podniosła przyjaźnie dłoń, ostrza opadły ku ziemi, a oblicza valów rozpromieniły się radośnie i z ulgą. Czasu na powitanie mieli mało. Torivowie zbliżali się, czuła to wyraźnie. Po śmierci Solliriona stracili kontakt z jej polem, teraz szukali go usilnie i byli na dobrej drodze. Bez słowa

kiwnęła ręką. Posłusznie ruszyli za nią, rozumiejąc widocznie, jak niebezpieczna jest najmniejsza nawet zwłoka. Poczuła wdzięczność, bo ani w połowie nie byli świadomi zagrożenia.

Legion utworzył kordon. Znała ten sposób walki. Stosowano go, gdy przeciwnik nie został zlokalizowany, ale jego rejon można było opasać. Teraz będą zaciskać pierścień, systematycznie zmniejszając jego średnicę, aż trafią na szukaną strefę. Metodę cechowało wyjątkowe okrucieństwo, dlatego posługiwano się nią tylko wtedy, gdy inne sposoby zawiodły. W zamykanym kordonie nie przetrwa żadne pole: ani przyjazne, ani wrogie. Okolica nie była tu zamieszkała gęsto, lecz i tak skazano na śmierć kilkadziesiąt jeszcze tego nieświadomych istnień.

Kierowała się na wschód. Nie miała sprecyzowanego planu, chciała, by do ostatecznego rozstrzygnięcia doszło jak najbliżej traktu do królestwa. W razie szczęśliwego ocalenia większa będzie szansa opuszczenia Zottor. Poza tym pozostanie na miejscu ułatwiłoby tylko akcję przeciwnikowi. Znalazła sposób, gdy czuła już niemal dotyk kordonu. Byli na skraju miasta. Zza pobliskich kopuł wyłoniły się wierzchołki drzew okalających ujście Mnet-hu. Tam zaczynał się szlak.

Wezwała Isera. Nie było już potrzeby zachowania milczenia, wejście w kontakt z polami było sprawą paru chwil.

"Nie odzywaj się, zrobisz, co ci powiem. To jedyna szansa. Załóż kaptur. Kiedy poczujesz moje uderzenie Mocą, natychmiast go zdejmiesz i ruszycie galopem w stronę tamtych drzew. Jeśli legioniści staną wam na drodze, zabijcie ich. Zanim otrząsną się po moim ciosie,

powinniście wyrwać się z okrażenia. Most na Mnethu nie jest strzeżony, a za rzeką już tak łatwo was nie znajdą".

"A ty?" – ucieszyło ją to pytanie, choć padło wbrew jej nakazowi.

"Nie martw się o mnie. Jeżeli zdołam, podążę za wami, jeśli nie..." – nie dokończyła. Straszny ucisk w skroniach był znakiem, że ich odkryto.

Uderzyła. Cios był skuteczny. Kordon załamał się i, nim ponownie połączył pęknięte ogniwa, zobaczyła jasny płomień rozpalonych słońcem włosów. Valowie dźgnęli piętami wierzchowce. Pobiegła ich śladem. Nie musiała błądzić, wiódł ją jakby wyrębany szlak, z którego zboczyć nie sposób. Z tyłu i z boków smagały ją uderzenia pól. Były nieskoordynowane, dlatego jeszcze żyła. To znaczy żyło jej ciało, jakimś zwierzęcym instynktem pracę jedyną wolną drogą. Mózg palił się żywym ogniem, na próżno próbowała przeciwdziałać blokadą i pulsowaniem strefy. Po chwili zaniechała beznadziejnej obrony, z jej pola zostały okruchy niszczone z pełną precyzji nienawiścią.

Minęła zabudowania. Tu zobaczyła efekt swego ataku: kilka ciał wijących się w agonii lub leżących nieruchomo, już martwych. Niektóre spływały krwią, tym śmierć przynieśli valowie. Ich samych już nie było widać. Biegła dalej, czując na twarzy coraz silniejszy chłód idący od wody. Wpadła na most. Tu minęła jeszcze jedno zwłoki, most był jednak pod strażą. Na szczęście valowie nie stracili głowy. Jej skołatany umysł nie odczuł różnicy, a przecież od jakiegoś czasu nie była już atakowana. Ciągłe biegła, coraz częściej potykając się i podpierając rękami, coraz jaśniej widząc, że wkrótce nie podniesie się po kolejnym upadku. I gdy znów wstała i ruszyła na-

przód z przerażającą pewnością, że to już ostatni wysiłek, że nie przemoże ponownego ataku słabości, chwyciły ją nagle silne ręce i znalazła się w objęciach Itiego.

*

Kłëska. Powszechna, druzgocąca kłëska. Od stóp Smoczyc Gór po brzegi Morza Wiatrów umierali Iserowie. Na progach domostw, broniąc z determinacją tego, czego ocalić już nie mogli, w gęstwinach lasów i stepowych jarach szukając cienia nadziei w beznadziejnej ucieczce – wszędzie, gdzie dopadły ich triumfujące sfory sług Mocy. Durlock zawładnął krajem i władał nim w sposób bezwzględny i okrutny, jakby za jedyny cel inwazji postawiono przed armią całkowitą eksterminację zwyciężonego ludu.

Nad morze krwi, w której utonęła ziemia, wznosił się ostatni szczyt – samotna wyspa: Irvion. Resztki tych, co zdołali ująć nawale, stanowiły jej załogę. Oto co zostało z wielkiego Księstwa Iserii. Kaprys zwycięzców pozostawił stolicę nietkniętą. Bo też i zdobywać jej nie było komu. Tornowie po bitwie pod Kormem nie pojawili się więcej, zlecając dokończenie dzieła swym wojownikom, a ci nie kwapili się zbytnio do szturm na potężne mury, woląc plądrować bezbronne państwo. Najeźdźcy ograniczyli się jedynie do zamknięcia twierdzy w szczelnym pierścieniu, słusznie rozumując, że wiecznie bronić się nie będzie, a głód i choroby zdobędą ją za nich.

Z bezsilną rezygnacją Oteiron patrzył z baszty na tyśiące ognisk, rozrzuconych po okolicznych polach. Patrzył codziennie. Większość czasu spędzał na murach, wypatrując cudu, który nastąpić nie mógł. Był komen-

dantem twierdzy, został nim samorzutnie, z chwilą, gdy przekroczywszy bramy stwierdził, że poza nim wśród niedobitków nie ma nikogo z wyższych dowódców. On sam ocalał dzięki temu, że w momencie nadejścia tornów znajdował się poza centrum bitwy, zaangażowany w potyczkę z odwodem eneików. Tornowie skoncentrowali Moc na tronie armii, lekceważąc widocznie nieistotny w ich mniemaniu fragment walki. W ten sposób przeżyła większa część podległych mu oddziałów, stanowiących dziś jedyną zorganizowaną siłę w zbieraniu, jaką była załoga Irvion. Ocaleli także dlatego, że Oteiron nie czekał na ostateczne rozstrzygnięcie. Widok srebrnego oddziału zgasił w nim waleczność, zbyt długo dowodził, by wierzyć w ratunek inny niż ucieczka. Bez skrupułów zawrócił swe chorągwie. Rycerze przyjęli rozkaz z wdzięcznością, oni też dostrzegli, co zagroziło głównym siłom.

Wycofali się w pośpiechu. Eneikowie nie ścigali ich nawet, wysłali jedynie za nimi chmury strzał, od których ten i ów z uchodzących jeźdźców jeszcze pochylił czoło ku karkowi wierzchowca lub rozłożywszy ręce, wypadł z siodła. Potem skryły ich zarośla. Przeczekali w nich noc i następny dzień, już nie żołnierze, ale stado przerażonych istot.

Wieczorem Oteiron zdołał doprowadzić pułki do porządku, po czym rozesłał patrole. Wróciły szybko i niewiele brakowało, by zniknęła z trudem przywrócona karność. Ich relacje były straszne, straszniejsze niż można było przypuszczać. Bitwa skończyła się, iserska armia przestała istnieć. Byli jedynym ocalałym ugrupowaniem, poza nimi tylko pojedynczy oblakani lub na wpół oblą-

kani wojownicy krążyli po okolicy, na widok jezdnych kryjąc się lękliwie wśród olbrzymich wałów trupów.

Kilku z nich żołnierze schwytali. Oteiron rozumiał ten powodowany litością odruch, choć wiedział, że większą przysługą dla owych nieszczęśników byłoby zabicie ich na miejscu. Nieliczni bowiem zdołają przeżyć, do końca życia nie odzyskując władz umysłowych. Pozostałych czekała śmierć w męczarniach. Oteiron chodził między nimi, zaglądał w twarze, szukając znajomych. I znalazł. W pierwszej chwili go nie poznał: zmięty, żywy łachman, roztrzęsiony i bełkocący słowa bez sensu, płoszący się na każdy gwałtowniejszy ruch. Asti.

– Gdzieście go znaleźli? – zapytał żołnierzy z patrolu.

– Niedaleko stąd – odrzekł dowodzący grupą podoficer. – Siedział nad ciałem jakiegoś wielmoży.

– Co to za wielmoża?

– Nie wiem, nie przyglądaliśmy się. Zabraliśmy go siłą, ledwo zdołaliśmy oderwać go od zwłok. Kto to jest, pułkowniku?

Oteiron jeszcze raz popatrzył w nieprzytomne oczy starca.

– To jest... to był największy wśród panów księstwa, ojciec księcia i naczelny wódz.

– Asti!? – w głosie żołnierza zabrzmiało niedowierzanie. Spojrzał w twarz obłąkanego i pokręcił głową. – Co też Moc potrafi uczynić z najpotężniejszych – westchnął.

Oteiron coś sobie przypomniał.

– Zaprowadźcie mnie w to miejsce. No, tam do tych zwłok – powtórzył zniecierpliwiony, widząc zdziwienie rycerzy.

Nie omylił się. W rdzawym pyle stepu, pokryte zakrzepłą krwią, leżały zwłoki księcia Anutajastiego. Z jego pleców sterczał pierzasty bełt. Wyciągnął go i zrozumiał. Na grocie, ledwie widoczne spod szerniałych skrzepów, odnalazł wygrawerowane malutkie słońce. Urządzili mu pogrzeb. Może nie taki, jakiego godzien był władca, jednakże z pewnością lepszy od tego, który uczyniły później poległym hangi i stepowi padlinożercy.

Ruszyli w drogę. Cel mógł być jeden: stolica. Oteiron wiedział, że to, co jeszcze zostało ze zbrojnych oddziałów księstwa, zbierze się właśnie tam. Nie przypuszczał, że będzie aż tak źle, że jego niespełna dwutysięczny korpus okaże się główną siłą kleconej naprędce armii. Jego przemarsz wzbudzał popłoch wśród pewnych siebie zdobywców, a radość i nadzieję w dręczonych rodakach. Czuł swą bezsilność. Cóż bowiem znaczy kilka rozbitych wrogich sotni, czy nawet starcie z powierzchnią ziemi rozłożonego obozem pułku Minnow, wobec powodzi śmierci rozlanej po całym kraju.

Szedł za nimi pościg. Szybko dotarła do nieprzyjaciela wieść o idącym korpusie i robiono wszystko, by go zatrzymać. Oteiron kluczył więc jak goniony zwierz, zapadał nieraz na długie dni w nieprzebyte jary i spieszył się. Kierował się do stolicy, błagając Mau, by pozwoliła mu zdążyć. Dotarł do Irvion, gdy pierwsze regimenty ghotów rozpoczynały oblężenie twierdzy. Z marszu uderzył pancerną pięścią w zaskoczone szeregi i przeszedł przez nie jak wichura, prawie bez strat. Dopiero gdy brama zamknęła się za ostatnim jeźdźcą, na przedpolu rozległo się wściekłe wycie i ghoty runęły za znikającym w murach wojskiem. Wkrótce musiały odstąpić, bo z blarek spadł na ich głowy deszcz pocisków z proc i kusz.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było przekazanie rodowi Jasti jego patriarchy. Nie usłyszał słów wdzięczności, przywitało go puste spojrzenie księżnej Jastite i milczenie młodszych rodu, zebranych w wielkiej sali tronowej. Odczuł to jak zniewagę i wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Dopiero później, przemyślawszy wszystko jeszcze raz, znalazł usprawiedliwienie: tak wygląda upadek. Potęga rodziny, której równał się tylko bliźniaczy ród spod znaku Rotha, rozsypała się w gruzy po niesławnej śmierci Anutajastiego i obłąkaniu jego ojca. Klęsce rodu towarzyszyła ruina rządzonego kraju. Jeszcze trzy kari pozostały do początku traut, a Jasti nie ma już władcy w Iserii, jeśli w ogóle można mówić w ten sposób o zamkniętym w sześciokacie murów ostatnim skrawku wolnej ziemi...

Doszedłszy do takich wniosków, Oteiron poczuł się zwolniony z przysięgi wierności upadłemu rodowi. Nie zwolnił się natomiast z obowiązku służenia ojczyźnie, choć nie widział już szansy jej ocalenia. Dlatego twardą ręką objął dowództwo załogi Irvion, przywrócił dyscyplinę i posłuszeństwo wśród zdemoralizowanego rycerstwa. Jego autorytet został wzmocniony orężem podległych mu pułków: czarno-żółtego i książęcego Jasti. Cień opozycji w osobie wiernego rodowi dowódcy pałacowej gwardii zdławił jednym rozkazem. Kazał go strącić z Wieży Straceń, gwardię rozwiązał, a gwardzistów wcielił do chorągwi. Dał też wojsku ideę. Uczynił to z intuicją godną wytrawnego przywódcy: stworzył legendę. Jej żywym, choć nieświadomym tego bohaterem stał się obłąkany starzec, Asti. Przedstawił go jako rycerza poświęcającego siebie dla ocalenia księstwa, co było tym wiarygodniejsze, że niezbyt odległe od prawdy. Umiejętnie podsycany wrodzony patriotyzm Iserów przemienił

się w fanatyzm, którego epicentrum stanowił były regent i wódz naczelny. Teraz Oteiron zyskał pewność, że jeśli twierdza padnie, nikt z jej załogi nie ugnie karku w geście poddania.

Odebrał Astiego rodzinie i rozkazał otoczyć troskliwą opieką. Nie, nie był aż tak cyniczny, by zrobić to wyłącznie dla swych planów. Bolało go to, co się z nim stało, bolało tym bardziej, że nie zapomniał łączącej ich niegdyś przyjaźni. Ród nie mógł mu zapewnić należnego szacunku, dla rodu Asti już nie żył.

W ten sposób Oteiron odzyskał spokój. Kpiną byłoby stwierdzenie, że z tym spokojem patrzył w przyszłość. Przyszłość przestała istnieć, bowiem już teraz mógł zabawić się w proroka i bez pomocy misterium ofiarowania opowiedzieć ją ze szczegółami. Oteiron był spokojny, ponieważ wiedział już, co jest mu przeznaczone. Jedyne, czego pragnął, to umrzeć z godnością, i teraz miał pewność, że to właśnie osiągnie. A jednak, gdy patrzył w dół, w stronę obozu wroga, nie mógł opanować bezsilnej złości. Cóż bowiem może być bardziej uwłaczającego dla nawykłego do decydowania o swym losie przy pomocy miecza rycerza niż poczucie absolutnej niemocy.

Jakaś wrzawa u stóp schodów wiodących na mury wyrwała go z zamyślenia. Zaniepokojony odwrócił się. Postawił tam wartę, by choć na chwilę pozostać sam. Najwyraźniej ktoś próbuje mu tę samotność zakłócić. Usłyszał podniesione głosy strażników i jeszcze czyjś, którego nie rozpoznał. Wartownicy prowadzili przybysza na górę. Z grymasem gniewu popatrzył w stronę wyłaniających się z cienia sylwetek. W zapadającym zmierzchu nie rozróżnił rysów intruza. Dopiero kiedy wyszli na szczyt, zdziwiony rozpoznał Giveena.

– Co sprowadza tutaj wielkiego sługę Mau? – zapytał, hamując złość.

– Pułkowniku... – stary kapłan z trudem łapał oddech. Dawno nie był zmuszony do takiej wspinaczki. – Czcigodny Asti...

– Co z nim? – Oteiron żywo podszedł do przybyłego.

– Umiera... – głos Giveena zadrżał. On wiedział o roli starego wodza w dziele Oteirona, sam pomagał ją tworzyć. A teraz z takim wysiłkiem odbudowane morale armii może zawalić się przez tę jedną śmierć.

– Asti umiera – powtórzył cicho Oteiron. Poczul ukłucie w sercu. Odchodzi stary druh... – Czy to nieuniknione? – zapytał szeptem.

– Niestety tak. Rozumiesz, co to znaczy? – kapłan zniżył głos.

W tym momencie dotarło do pułkownika, o czym Giveen myślał od początku.

– Chodźmy do niego – ruszył w dół po schodach. Kapłan podążył za nim.

– Oteironie, jeśli on umrze...

– On nie umrze – rycerz zatrzymał się gwałtownie. – Jemu nie wolno umrzeć!

– A jeśli?

– Powiedziałem: jemu nie wolno umrzeć. Rozumiesz?

Giveen z namysłem oglądał swoje dłonie. Potem kiwnął potakująco głową.

– Tak, masz rację – powiedział. – Jest tylko jeden problem, tamci – spojrzał na stojących ciągle u szczytu schodów wartowników.

Oteiron poczuł przypływ obrzydzenia. Nie znosił takiego załatwiania spraw. Lecz kapłan miał rację, nikt nie może wiedzieć o śmierci Astiego.

– Załatwię to – powiedział krótko. Miał nadzieję, że nie będzie zmuszony nic robić, że regent przeżyje i żadne działania nie będą konieczne.

Od pierwszego spojrzenia zorientował się, że łudził się daremnie. Nieliczne już nitki łączyły ciało Astiego ze światem. O zniszczonej przez Moc duszy trudno było nawet mówić. Czyż to, co wypełniało jaźń, godne było jeszcze tego miana?

Giveen odprowadził stróżującego przy Astim sługę ołtarza. Sam również dyskretnie usunął się w cień kolumnady, pozostawiając Oteirona z umierającym. Pułkownik podszedł do łóża. Asti miał zamknięte oczy, oddychał szybko i płytko. Grube krople potu wystąpiły mu na czoło i ściekały strużkami na płótno podgłówek.

– Słyszysz mnie? – spytał cicho, pochyliwszy się nad chorym.

Asti nie zareagował. Oteiron dotknął jego ręki. Przestraszony trupim chłodem galaretowatej skóry szybko cofnął dłoń. Jakby w odpowiedzi na ów dotyk uchyliły się powieki wodza. Na pułkowniku spoczęło zaskakująco przytomne spojrzenie. Wargi poruszyły się. Nachylił się jeszcze niżej, by usłyszeć rwący się szep:

– Oteiron... Ja wiem, on żyje...

Zimny dreszcz przebiegł Oteironowi po krzyżu. Choć wiedział, że to tylko majaki rozgorączkowanego umysłu, te słowa zabrzmiały sugestywnie.

– Nieprawda, Asti, sam go pochowałem.

– Nie mówię o zdrajcy, niech jego imię zostanie zapomniane... Posłuchaj... Iseria... ma jeszcze... jednego... syna Jasti... On ją... ocali...

– O czym mówisz, panie? – teraz był pewny, że Asti bredzi.

– Nie mam już dużo czasu, odchodzę. Oteiron... musisz wiedzieć... Zatrzymaj Esighena... Teraz musisz go chronić, on obejmie schedę... w nim nadzieja... Tablice...

Nic z tego nie rozumiał. Esighen? Przecież kapitan zginął bez wieści w jakiejś tajnej misji. Zaraz, zaraz... Czyżby w ludowych bajaniach tkwiło ziarno prawdy?

– Asti, nie rozumiem. Wyjaśnij, o co tu chodzi?

Asti nie odpowiedział. Spojrzawszy na niego Oteiron pojął, że Asti nie odpowie już nigdy. Wyprostował się powoli. A więc stało się, koniec. Teraz należy jak najdłużej zachować to w tajemnicy. Szarzy to załatwią, ciało musi zniknąć.

– Giveen! – wezwał kapłana.

Starzec zbliżył się, chyląc głowę z należnym zmarłym szacunkiem.

– Kto jest następcą Esighena?

– Mollar, panie.

– Czy można mu zaufać?

– Szarzy służą władzy. Ty jesteś władzą.

– Dobrze. Każ go tu wezwać.

Niedługo musiał czekać. Parę chwil po wyjściu kapłana drzwi uchyliły się cicho i na progu stanął val w szarym płaszczu.

– Wejdz, Mollar, oczekuję cię – Oteiron skinął dłonią.

Kapitan zbliżył się do posłania. Od razu pojął, jak poważna chwila nadeszła.

– Nie żyje?

– Nie ma czasu, Mollar. Trzy sprawy mam do ciebie. Pierwszą z nich jest Asti.

– Wiem, pułkowniku. Wojsko musi mieć wodza. Nie myśl już o tym. A następne?

Oteiron z uznaniem popatrzył na niego. To dobrze, że nie musi nic wyjaśniać.

– Druga sprawa wiąże się z pierwszą. Nie jesteśmy jedynymi, którzy wiedzą. A powinniśmy pozostać.

– Kto? – to Mollar również chwycił w pół słowa.

– Rycerze Gamti i Tavver. Pełnią służbę przy północnej baszcie.

– Możesz przyjąć, że sprawa nie istnieje. Dalej?

– O tym pomówimy, jak wydasz polecenie dotyczące dwóch pierwszych. Czekają nas rozmowa. Chcę wiedzieć wszystko o misji Esighena.

*

Noc była pochmurna i wietrzna. Fale z wściekłością tłukły o kamienie urwiska u stóp skały z górującą mroczną bryłą zamku. Przez wycie wichury i huk morza dało się słyszeć skrzypnięcie zardzewiałych zawiasów. Otworzyły się ukryte drzwiczki. Na skalną półkę, wiszącą tuż nad rozfalowaną wodą, wyszły trzy ciemne postacie, uginające się pod ciężarem wielkich, podłużnych tłumoków. Spuszczono niewielką łódkę. Pakunki miękko zsunęły się na jej dno, w ślad za nimi zeskoczyli walowie. Walcząc z falami, krypa poczęła wolno oddalać się od brzegu. Kiedy Irvion pozostało już tylko ciemniejszym fragmentem horyzontu, wiosłarze odłożyli wiosła. Trzy tłumoki jeden po drugim zniknęły w czarnej wodzie. Załoga zawróciła łódź. Musieli się spieszyć, brzeg był daleko, a morze coraz bardziej niespokojne.

Na samym szczycie najwyższej wieży zamku, w ciemnej komnacie, Mollar patrzył przez okno w nieprzeniknioną czerń nocy. Nie widział nic, a jednak najwyraź-

niej na coś czekał. Chwile mijały wolno, nic nie mąciło ciszy i mroku. Wtem w oddali, gdzieś tam, gdzie szumiało morze równie czarne jak niebo, jasny błysk na moment rozświetlił oszalałe fale. Po krótkiej chwili w powietrzu rozległ się przytłumiony grzmot. Jak gdyby piorun uderzył w rozhuśtaną sztormem wodę. Mollar stał jeszcze jakiś czas, po czym odwrócił się i skierował ku wiodącym w dół schodom.

*

Ten odgłos towarzyszył im stale. Ciężkie, mlaskliwe bulgotanie wydobywających się z błota pęcherzy cuchnącego gazu. Bagno wydychało je, w powolnym rytmie opróżniało wnętrzności z nadmiaru rozsadzających je odchodów. Powietrze pełne było gnilnego smrodu, zatykającego dech i powodującego zawroty głowy. Nieco już do niego przywykli, na początku był jednak nie do zniesienia. Po pierwszym dniu zdawało się, że płuca lada chwila wypalą się do cna, a przecież tkwili tu już prawie dwa seves.

Ścieżka była ledwie widoczna. Gdyby nie ślad karawany pewnie nigdy nie zdołaliby jej odnaleźć. Teraz, zaszyci w chaszczach, siedząc niemal po szyje w lepkiej mazi, czekali na powrót przewoźników. Dopiero wtedy będą mogli ruszyć dalej bez obawy, że ktoś mógłby pokrzyżować im plany. Jeżeli tylko nie stracą z oczu drogi, doprowadzi ich ona do celu. Była jedynym szlakiem, wiodącym przez bagna i Martwy Las, a kończyła się tam, gdzie na skraju Pustyni Lodowej tornowie wzniesli niegdyś swą Wieżę Życia. I oto nadchodził czas jej końca. Co do tego Iti nie miał już wątpliwości, najgorsze wyda-

wało się być za nimi, samotny anasteul, strażnik Wieży, nie zdoła go zatrzymać.

Tak myślał w dzień. Nocą, gdy ciemność zapadała nad grzęzawiskiem, ogarniało go zwątpienie. Przecież przed nimi szmat kraju, połączyć ziemi nieznanej, na której dotąd nie powstała nogawała, a z żywych jedynie nieliczni mieli prawo i odwagę ją przemierzać. Czy temu podoła bez przewodnika, zdany jedynie na siły własne i tych dwojga dotąd mu wiernych towarzyszy? Vortar i Danaskee... On, oddany przyjaciel od pierwszych dni wędrówki, mądry tą prostą mądrością wypływającą z przeżytego czasu, odważny i niezawodny. A ona... Cóż, nie wiedział o niej zbyt wiele, tak krótko się przecież znali. Jednak jej ufał. Nie tylko dlatego, że pomogła im opuścić Zottor. Przede wszystkim powodowało nim głęboko ukryte, zaszyte na samym dnie podświadomości uczucie. Pchało go ku niej z niepojętą siłą, której nie umiał i nie chciał się opierać.

A ci, których zostawił? Czyż nie o nich mówiła Mau w swym przesłaniu? Złożyli ofiarę z przyjaźni w imię celów im najbliższych, i to on stał się pośrednim lub bezpośrednim sprawcą ich śmierci. Co bowiem kazało Tosarowi tyle oddać mu z siebie wbrew tradycji własnego narodu, wbrew zasadom, w których go wychowano? Gdyby nie decyzja o opuszczeniu Irgów może żyłby do dziś otoczony szacunkiem należnym Geue, zamiast, poświęciwszy życie, zasiąść w panteonie świetniejszym, lecz martwym... I wreszcie Jastihoreno. On poświęcił najwięcej, nie biorąc nic w zamian, przeciwnie, tracąc wszystko bez żadnego motywu, poza jednym – bezinteresowną przyjaźnią. W dodatku docenioną dopiero, gdy go nie stało.

Takie myśli trawiły duszę Itiego noc po nocy, przerywane krótkimi tylko chwilami niespokojnej drzemki. Odchodziły rankiem, gdy blade Jasti złościł świeżymi promieniami czarne oka wody, a ostra bagienna trawa poczyniała szeleścić odgłosami wstającego życia. Wtedy znów zaczynał wierzyć.

Dzień przebiegł jak inne. A raczej przewlókł się, jakby oblepiająca wszystko maź utrudniała słońcu marsz przez niebo. Trudno aby było inaczej, skoro wszystko, co mogli czynić, to cierpliwie, wytrwale czekać, nie rozmyślając, jak najmniej nawet myśląc, by aktywność pola nie zdradziła ich obecności. Co prawda w oparach bagna stygła ponoć wrażliwość nawet najtęższych torneńskich umysłów, lecz lepiej było tego nie sprawdzać.

Znużony wędrówką przez bagna Jasti dotarł w końcu na zachodnią stronę nieba, kiedy usłyszeli człapanie wielu kopyt. Momentalnie zanurzyli się w błoto, tak że tylko twarze wystawały nad jego powierzchnię jak upiorne, pozbawione ciała maski, i zamarli w bezruchu. Karawana wyłoniła się z oparu nagle, tuż przed nimi. Byli w komplecie: siedmiu przewoźników prowadzących na kantarach niemilosiernie ubłocone irmany. Grzbiety zwierząt były puste. Mimowolny podziw ośladnął Danaskee, ona wiedziała, ile męstwa potrzeba i ile szczęścia, by wrócić cało z wyprawy do Wieży. Rzadko zdarzało się, aby przewoźnicy byli w tym samym składzie, w jakim wyruszyli. Gdzieś tam, na szlaku, znaczą drogę resztki przegniłych szmat i uprzęży, kości zwierząt i tornów. To pozostałość po tych, którym się nie udało. Wieża wszak potrzebowała strawy i od pokoleń ginęli przewoźnicy, by jej ją zapewnić.

Karawana przeszła. Cichło z wolna mlaskanie bagna, mgła skryła sylwetki.

*

Wszędzie były drzewa. Setki, tysiące gęsto rosnących bliźniaczych pni o gładkiej, śliskiej korze. Stały na wysokich, wynurzających się z błota pękach korzeni jak olbrzymie owady o pajęczych nogach. Dziwne wrażenie sprawiał widok wyrastającego z bagna potężnego lasu, w którym nie znalazło się miejsca na choćby mały skrawek zieleni. Dominował ciemny brąz oraz czerni. W górze, wśród płataniny nagich gałęzi, nie było prawie widać nieba. Panowała tu cisza, nie słyszano typowego dla lasów w innych stronach szumu. Ten las był martwy.

Weszli więc przed zmrokiem. Bali się konfrontacji z lasem, krążyło o nim wiele złych legend. Na razie nic się nie działo, wędrówka przebiegała spokojnie. Również noc nie przyniosła niezwykłych zdarzeń. Spędzili ją na ścieżce, jedynym miejscu, gdzie błoto nie sięgało wyżej kolan. Dokoła nich bagno zdawało się nie mieć dna, tylko drzewa świadczyły, że gdzieś w głębinach znajduje się stały grunt. Jakże wielkie musiały być ich korzenie, zdolne utrzymać gigantyczne pnie w półpłynnym podłożu.

Nadchodzącą noc zamierzali spędzić tak samo. Na szlaku istniały podobno schroniska przewoźników, lecz dotąd na żadne nie trafili. Nie znając odległości między nimi, nie potrafili tak zaplanować wędrówki, by postoje wypadały właśnie tam. Schronisk nie było zresztą tyle, aby mogły codziennie zapewnić nocleg. Przewoźnicy również niejednokrotnie koczowali pod gołym niebem,

świadczyły o tym mijane ślady obozowisk. Zmierzch zapadał tu szybko, a rano nigdy nie ustępował do końca, gęsta sieć konarów nie przepuszczała światła do wnętrza Martwego Lasu.

Od wody ciągnęło przenikliwym chłodem. Dlatego rozkładając biwak na kolejną noc, postanowili nie dopuścić do przemarznięcia jak ostatnim razem, gdy obudzili się tak skostniali, że długi czas z trudem poruszali zeszytwniałymi kończynami. Ogniska nie sposób było rozpaścić, jedynym źródłem ciepła pozostawały zwierzęta. Wyścielili więc skórami dwie suchsze kępy i zmusili wierzchowce do położenia się na nich. Potem Vortar ulokował się pod brzuchem irmana, Iti i Danaskee między łapami kiseta. Mieli nadzieję, że do rana błoto nie przesiąknie przez skórę i przeschną nieco ich ubrania. Pomiędzy wilgoci i chłodu zasnęli szybko. A lasem zawładnęła ciemność.

Początkowo panowała zwykła cisza. Później, jakby ośmielone długim bezruchem, odezwały się głosy. Jękliwe, zawodzące, to podobne do skomlenia ślepych szczeniąt, to przypominające płacz niemowlęcia. Jednocześnie zaczął się ruch: z bagna podnosiły się mgliste nibyzjawy, bezkształtne i ulotne wzbijały się nad smugi oparu i formowały nieregularne kręgi, rozpoczynając ciche taniec. Było ich coraz więcej, w bezszelestny wir włączały się nowe, obudzone z letargu na dnie trzęsawiska, gdzie zdawały się mieć swoje leża. Już cały las drgał i mrowił się nieprzeliczonymi rzeszami białych cieni, aż pobladała od nich noc niby od smug matowego światła.

Vortar obudził się. Przez chwilę leżał, usiłując zlokalizować siebie w czasie i przestrzeni. Ciemność zaniepokoiła go. Nigdy nie zdarzało mu się budzić w środku no-

cy bez wyraźnego powodu. Wsparłszy się na boku irmana, usiadł. Mrok był nieprzenikniony, nawet pobliskiego legowiska towarzyszy nie mógł dojrzeć. A jednak... Pośród drzewami pojawiły się na mgnienie sinawe kształty. Starał się przyjrzeć im dokładniej, lecz nie mógł, były zwiewne, wydawały się złudzeniem. Wówczas usłyszał cichy jak tchnienie, płynący zewsząd szept. Przyjdź, przyjdź, przyjdź...

Włosy zjeżyły mu się na głowie. Strach był tym większy, że stwierdził nagle, iż nie panuje nad swym organizmem, który samoistnie, wypowiadając posłuszeństwo rozumowi, poddał się płynącemu z lasu wezwaniu. Chciał krzyczeć, ale nie mógł wydobyć głosu. Gardło także go nie słuchało. Bał się.

Szedł, coraz głębiej zanurzając się w błoto. Dokoła tańczyły zjawy. Zbliżały się, niemal ocierały o niego. Czuł wstręt przed kontaktem z nimi, a równocześnie wypełniała go jakaś dręcząca rozkosz. Pragnął nieomal, by bagno zamknęło się już, by przestał być tu intruzem, by jego upiorni mieszkańcy stali się ziomkami. Powoli przestała go przerażać śmierć. Z coraz większym zaufaniem patrzył na wirujące ikuas i w pewnej chwili stwierdził, że nie są tylko bezcielesnymi obłokami. Dostrzegł uśmiechnięte, piękne twarze. Tym chętniej podążył za nimi. Denewować go począł opór materii, gdyby mógł, najchętniej wzleciałby nad pętającą nogi maź i pofrunął do nich, włączył się w ich bezszelestny płas. Rozumiał, że aby móc to uczynić, powinien przejść przez czyściec topieli. Więc szedł, czując pełznący po ciele, z wolna sięgający piersi lepki dotyk błota.

Wtem, przez wabiące go głosy, przez tę hipnotyczną bezwolę dobiegło doń wezwanie silniejsze niż zew potę-

pionych. Spłoszyły się sługi Moiru. Ustępować poczęły między drzewa, zapadać w mgłę, w bagno. A umysłem Vortara zawładnęła siła, której nie mógł się sprzeciwić. I ulegając jej, zawrócił.

Danaskee zwyciężyła.

*

"Pilnuj go, Itijasti. On przyjął prośbę ikuas".

"Nie rozumiem, co się z nim dzieje. To nie ten sam Vortar, którego znam. Jest nieobecny, nie odpowiada na pytania, milczy. I ciągle spogląda w stronę lasu".

"To urok. Ikuas tęsknią. Każdy, kto tu zawita, jest przez nie wabiony".

"Myślałem, że ikuas to wymysł starców, bajarzy. Besiti często opowiadał mi o nich".

"Legendy nie biorą się znikąd. Coś daje im początek".

"Co się z nim stanie? Czy nigdy nie odzyska już równowagi?"

"Czar minie, gdy opuścimy Martwy Las. Lecz do tego czasu trzeba go strzec. One będą wracać. Co noc".

"Ale dlaczego właśnie Vortar?"

"Tego się nigdy nie wie. Ikuas mogą wybrać każdego".

"Przecież ty je odegnałaś".

"To dziwne, lecz one boją się Mocy. Mogą dopaść torna w każdej chwili, ale umykają, kiedy jego towarzysze uderzą. Moc im nie szkodzi, a jednak lękają się. Dlatego nigdy nie wolno zapuszczać się tu w pojedynkę".

Siedzieli w małej chatce z kamienia, zbudowanej na suchym pagórku, wyniesionym nad otaczające go bagno. Budynek miał – jak wszystkie budowle tornów – kształt

koła. Tylko dach wykonano z uszczelnionych darnią drewnianych bali. Pierwszy raz, od czasu gdy zapuścili się w Wielkie Bagna, mogli naprawdę odpocząć, wysuszyć się i ogrzać. Było to schronisko przewoźników, pierwsze, na jakie natrafili. Z pewnością istniało ich więcej na przebytym szlaku, lecz nie znając wiodących ku nim ścieżek, nie odważyli się szukać. Tę chatę zbudowano tuż przy trakcie, nie mogli więc oprzeć się pokusie, by w niej odpocząć, choć gdy wyłoniła się zza drzew, wiele czasu brakowało jeszcze do zmroku.

Czuć już było w powietrzu tchnienie mrozu. Zdumiewało to walów. W ich rodzinnych stronach dopiero mrok przełomu przynosił zimę. Nikt z ich gatunku nigdy nie zapuszczał się tak daleko na północ. Tymczasem tu skrzypiała pod nogami warstewka lodu, skuwająca wczesnym świtem powierzchnię błota, zatykał dech nocny przymrozek. Dni również były zimniejsze. Coraz częściej prószył wilgotny śnieg, topniejący, zanim płatki zetknęły się z ziemią. Iti dotąd nie widział śniegu. Z ciekawością obserwował spadającą z nieba biel, jak pod wpływem czarów niknącą tuż nad powierzchnią bagna i pojawiającą się znowu pomiędzy konarami jak maleńkie, wirujące duszki. A kiedy taka puszysta zjawy siadała na ubraniu czy grzbiecie wierzchowca, przyglądał się jej z zachwytem, odnajdując w jej kształtach nieznane dotąd piękno. I z żalem patrzył, jak niepowtarzalne cuda giną bezpowrotnie, uśmiercone ciepłem życia. Zapominał w takich chwilach o zmęczeniu, strachu i czyhających niebezpieczeństwach, o przyczajonym, oczekującym fałszywego kroku niewiadomym. Nawet Martwy Las zdawał się ożywać, gdy białe plamki płatków przykrywały jego ponurą czerń warstwą delikatnego puchu.

Vortar nie dostrzegał uroku pierwszych oznak zimy. Nocne spotkanie z ikuas wycisnęło na nim trwałe piętno. Choć uległ wówczas wezwaniu Danaskee, nie zapomniał. Noce spędzał bezsennie, szarpiąc więzy, którymi towarzysze krępowali go przed udaniem się na spoczynek, i z rozpaczą wsłuchiwał się w ciche, wzywające go głosy. A ikuas krążyły wokół, wabiły z nieodpartą siłą, sprawiały, że nie mogąc ich usłuchać, był coraz bliższy obłędu. Z nienawiścią spoglądał na Itiego i Danaskee, niedawnych przyjaciół, dziś śmiertelnych wrogów, odbierających mu możliwość połączenia się z wysłannikami Moiru. Nienawiść przygasła wraz z nadejściem dnia, chowała się głęboko, lecz nie gasła.

W dzień wiedział, że ulega nieznany siłom, ciągnącym go ku zgubie, że ci, którzy krępują go co noc, czynią tak z przyjaźni i troski, że zawdzięcza im życie. Wiedział, lecz nie wierzył. Gdy tylko przestawał mówić to sobie, natychmiast wypełniało go owo wstrętne, zrodzone w głębi lasu uczucie, wpojone mu tamtej nocy. To uczucie powodowało, że pragnął już tylko jednego: pójść za wzywającym go głosem. I co noc, leżąc związany jak kłoda, rozmyślał jedynie nad tym, jak następnym razem oszukać swych wrogów.

Perspektywa noclegu w schronisku przyniosła nadzieję. Vortar sądził, że czujność towarzyszy zmaleje, że uśpi ich możliwość zamknięcia drzwi i nie zostanie skrepowany. Rozczarował się widząc, że mimo wszystko nie rezygnują. Nie protestował, przestał opierać się już po kilku nocach, gdy zdał sobie sprawę z nieskuteczności oporu. Iti za nic miał jego sprzeciwy, tym bardziej że od czasu spotkania z ikuas Vortar czuł się słaby, a reszta sił jak woda z dziurawego garnka wyciekała z niego po za-

padnięciu zmroku. Wkrótce więc leżał, patrząc w sufit z sercem wypełnionym wrogością do wszystkiego, co trzymało go w świecie żywych. W schronisku zapanowała cisza. Słuchał spokojnych oddechów śpiących i postękiwania irmana za ścianą. Przyszły. Nie mógł ich widzieć, ale czuł, że są. Nie od razu usłyszał ich zew. Musiały być zaskoczone, nie spodziewały się murów. Lecz wkrótce zabrzmiał potężny, niszczący wszelkie przeszkody, natarczywie wdzierający się w jaźń i jednocześnie delikatny, aż nierealny głos. Gwałtownie zapragnął je zobaczyć, zawsze przecież krążyły nad nim zdziwione, że leży nieruchomo, zamiast dołączyć do ich kręgu. Nie odważyły się wnikać do środka chaty, może nie umiały. Tym silniej wołały go, a on czuł, że musi ulec. Ponaglany począł rozglądać się po izbie. I dostrzegł coś: nie opodał, u wezgłowia śpiącego Isera, stał jego miecz.

Ostrożnie próbował obrócić się na bok. Udało się. Przetoczył się w stronę posłania Itiego. Zamarł na chwilę, gdy ten poruszył się we śnie, po czym zaczął pełznąć w kierunku pozostawionej broni. Był już przy niej. Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie: dostać się do ostrza, nie powodując hałasu. Przyjrzał się mieczowi. Tkwił w pochwie oparty głownią o podłogę. Odwrócił się nogami w jego stronę i, manewrując stopami, zaczął przysuwać głownię ku sobie. W ostatniej chwili zdążył zamortyzować butami upadek ostrza. Odetchnął głęboko. Miecz osunął się na gliniane klepisko.

Przyczołgał się bliżej. Ugiął nogi w kolanach i przyciągnął nimi pochwę. Rękojeść znajdowała się teraz tuż przy łokciu. Przycisnął ją do boku i, prostując kolana, począł sunąć z powrotem. Poczuł dreszcz podniecenia. Miecz wychodził w ślad za przyciskającym głownię cia-

łem. Nie czekał, aż wysunie się cały. Nie miał czasu, ikuas niecierpliwiły się. A on wypełniony był pragnieniem, by tę niecierpliwość zaspokoić.

Najpierw ręce. W trosce o wygodę związane mu je z przodu, zadanie miał więc ułatwione. Zaczął żmudne piłowanie rzemienia, co chwila przerywając, by usłyszeć oddechy towarzyszy. Ale ci spali, nie przeczuwając niczego. Podejmował więc wysiłek na nowo, aż poczuł, że więzy rozluźniły się. Napiął mięśnie. Ręce miał wolne. Usiadł, dysząc ciężko. Nadspodziewanie wiele energii kosztowało go oswobodzenie dłoni, uczuł napływającą słabość. I znów, jakby dotarło do nich jego zniechęcenie, wysłanniczki Moiru ponowiły swe szept. To dodało mu sił. Niewiele pozostało do zrobienia, rozsypianie pęt na kostkach zajęło kilka chwil. Stał na nogach nieprzytomnie szczęśliwy, gotów do drogi.

Ruszył w stronę wyjścia. Nagle przypomniał coś sobie i obejrzał się. Danaskee i Iser spali spokojnie nieświadomi zachodzących wydarzeń. Nienawiść wypełniła jego serce. Oto ci, którzy tak długo, tak uporczywie starali się nie dopuścić do jego szczęścia. Schylił się i ujął w dłoń miecz. Podniósł go wolno nad głowę. Cios zatrzymał się w pół drogi. Nie mógł zwlekać, ikuas wołały coraz natrętniej. Zapomniał o zemście, broń wypadła z otwartych dłoni, a on skierował się do drzwi. Tuż za progiem puścił się biegiem. Pędził w stronę drzew, a zwiewne ikuas krążyły nad nim, szepcząc radośnie. Ich twarze pochylały się nad jego głową, witały go uśmiechem. Biegł, dopóki bagno nie zaczęło uginać się pod stopami. Odbił się od skrawka suchego gruntu i rozpostarłszy ramiona runął twarzą naprzód. Bagno objęło go miękkim, zimnym uści-

skiem i zamknęło się nad nim z cichym pluskiem rozkołysanego błota.

W ostatnim przeblysku świadomości zrozumiał, że ikuas go oszukały.

*

Wszędzie śnieg. Zlodowaciała, twarda skorupa, mająca niewiele wspólnego z białym puchem, zdobiącym obrzeża Martwego Lasu. Dawno przestała ich zachwycać ta biel. Trzęsąc się w przenikliwym chłódzie, marzyli o choćby skrawku przestrzeni innego niż biel koloru. Mróz i wiejący nieustannie wiatr, chłostający twarze ostrymi drobinami śniegu, czyniły wędrówkę trudną. Zadyмка ograniczała widoczność, tylko dzięki wykutej w lodzie rynnie nie zboczyli dotąd ze szlaku. Była na wpół zasypana, mimo niedawnego przejścia karawany przewoźników, do których obowiązków należało oczyszczanie traktu. Gdyby przybyli później, odnalezienie go byłoby niemożliwe. Przewoźnicy znali szlak na pamięć, a jednak Danaskee słyszała o wypadkach zaginięcia karawan właśnie tu, o krok od Wieży. Wiosny ani lata nie było tu nigdy, wieczna zima miała tutaj królestwo. Stąd pod koniec zuaru obejmowała we władanie resztę Loinu, by z nastaniem jas lub ziroth ponownie wycofać się w te strony.

Bardziej niż lód i śnieg mroziło serca wędrowców wspomnienie tragedii w Martwym Lesie. Ów nieszczęsny nocleg w schronisku, przerażenie, gdy zobaczyli puste miejsce Vortara i przecięte więzy. Łudząc się jeszcze, przeszukali całą okolicę. Bez skutku. Wówczas dopiero, gdy już nie dało się dłużej wmawiać sobie czegokolwiek

wbrew faktom, zmuszeni byli przyjąć je do wiadomości. Nie udało się pokonać Moiru, ikuas wygrały. Na nic zdało się szukanie winy w sobie, roztrząsanie niewykorzystanych alternatyw. Bagno zabrało swój haracz i nic tego nie mogło zmienić.

Iti jechał więc dalej z brzemieniem tej śmierci na barakach, ze świadomością, że z grona najbliższych nie został mu już nikt oprócz tej kobiety, z którą jednak łączyło go coś zupełnie innego niż z traconymi po drodze przyjaciółmi. Czy cel, ku któremu dąży, będzie wart ceny ich życia? Na dobrą sprawę nie wiedział dotąd, jak wypełnić nakazane w Tablicach posłannictwo. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie, czym może być owa Wieża Życia, którą z rozkazu bogini miał zniszczyć. A jeśli nawet tego dokona, jaki wpływ będzie mieć jego czyn na bieg historii? Ufał przykazaniom Mau, wierzył, że nie przybył tu daremnie. Były jednak chwile, gdy ogarniało go zwątpienie i czuł, że zamiar przerasta jego siły. Dopóki miał oparcie w wiernych towarzyszach, wszystko wydawało się łatwiejsze. Danaskee nie mogła mu pomóc. Była przecież tornem. To prawda, że Mau nakazała pojednanie. Czy będzie ono jednak możliwe w obliczu ruiny największej świętości tego narodu?

Przed nimi wyrosło pasmo ośnieżonych wzgórz. Zbliżał się wieczór. Wiatr ucichł i z wolna na niebo występowały gwiazdy. Na wschodzie pojawił się Roth, zabarwiający na czerwono wszechobecną biel. Horyzont pociemniał. Nie wszędzie jednak: na północy, tam, gdzie wiódł szlak przewoźników, zza wzgórz biła w niebo błada poświata. Początkowo nie rzucała się w oczy w szarówce zmierzchu, ale kiedy zapadła głęboka noc, luna stała się wyraźna. Jakby gdzieś tam, w oddali, rozpalono

olbrzymie ognisko. Pierwsza odgadła Danaskee, może dlatego, że owo światło tkwiło w niej, zakodowane głęboko w genach. Ściągnęła wodze irmana, zaskoczony Iti spojrzął na nią i zafascynowany wyrazem jej twarzy zatrzymał się również. Pojął powód w jednej chwili.

Zadrżał. Oto ukryta za wzniesieniem, jeszcze niewidoczna, wysyłała ku nim swój znak Wieża Życia. Pogonili wierzchowce. Odpłynęło gdzieś znużenie, ani przez myśl nie przemknęła chęć odpoczynku. Teraz, gdy cel był tak blisko, zniknęło zmęczenie. Pragnęli jak najszybciej dotrzeć do niego. Gnali przez noc w tumanach śnieżnego pyłu, a wzgórza były bliżej i bliżej.

*

Pojawiła się wraz ze świtem. Patrzyli ze szczytu pagórka na leżącą w dolinie budowlę, nie mogąc zdobyć się na żaden ruch. Oto przybyli. Dwa kari minęły od czasu, gdy los ustami Tablic wskazał Itiemu drogę. Dwa kari kuszenia złych mocy, dwa kari igrania z ostatecznym. W końcu spełniło się. Prawda ta powoli docierała do świadomości Isera i radość poczęła wypierać resztki wątpliwości. Dźgnął piętami kiseta i ruszył zboczem w dół.

Danaskee nie podążyła za nim. Stała jak posąg, jakby mróz ściał ją nagle w skamieniały sopel. Patrzyła na oddalającą się sylwetkę vala i coś nie pozwalało jej uczynić tego, na co zdecydowała się ostatecznie już dawno. Czym innym bowiem było pragnienie osiągnięcia odległego celu, czym innym zaś dokonanie jawnej zdrady rasy. Na rozterki było jednak za późno. Pod wpływem nagłego postanowienia smagnęła wodzami irmana.

Wieża była ogromna. Potężną, szklistą kopułę, przypominającą kształtem domostwa tornów, rozmiarami zaś przewyższającą wszystko, co zdołały stworzyć kierowane rozumem dłonie, wieńczyła strzelista konstrukcja, sięgająca, zdawało się, podstawy nieba, wbita weń jak ostrze gigantycznego miecza. Z jej szczytu biła owa jasność, którą dostrzegli nocą, teraz widoczna nawet w świetle słońca. Stali przed dwuskrzydłową bramą, zamkniętą na głucho, jakby nikt żywy nigdy tu nie gościł. Co dalej? Oto dotarli do Wieży, a ona kpiła z nich pancernymi wrotami, których nie pokona najpotężniejszy taran. Jakby w odpowiedzi na to niewypowiedziane pytanie wierzeje rozsunęły się ze świstem. Z mrocznej głębi Wieży wyłoniła się drobna postać w torneńskim skafandrze.

Był stary. Oblicze miał poorane setkami zmarszczek, plecy zgarbione jakby pod ciężarem czasu. Stał i patrzył, a oni nie mogli zdobyć się na czyn, który otworzyłby im drogę. Szacunek dla starców wstrzymywał rękę przed ciosem.

Popłynęło ku nim pytanie:

"Kto śmie zakłócać spokój Wieży? Odpowiedzcie, intruzi, anasteul tego żąda!"

Iti spojrzał mu w oczy. Dostrzegł w nich taki ogrom pogardy, że wzburzyła się w nim krew. Pojął, że anasteul rozszyfrował jego walijskie pochodzenie mimo chroniącego go srebrnego stroju.

"Ja, księżę iserski, syn boskiego Jasti, jego brat z imienia, przybyłem, aby położyć kres Mocy. Odejdź stąd, starcze, nie nastaję na twoje życie!" – słowa popłynęły same, choć jeszcze przed momentem nie wiedział, co powinien mu przekazać.

"Czy wiesz, co rzekłeś?" – torn wyprostował się z błyskiem w oczach. – "Wydałeś na siebie wyrok. Na siebie i na tę renegatkę, która w imię jakichś ciemnych intryg przywiodła cię do mnie".

Uprowadzając atak, Iti ściągnął z głowy kaptur. Widząc to, anasteul roześmiał się pogardliwie.

"Myślisz, że skoro chronią cię włosy, nikt nie jest w stanie cię pokonać?"

Sięgnął ręką do piersi. Iti dostrzegł tam czarną, prostokątną tabliczkę.

"Stalowy hufiec!" – odebrał rozpaczliwy krzyk Danaskee i jak gdyby wichura przeszła przez jego głowę. Zobaczył, że starzec słania się na nogach, z wysiłkiem próbując położyć palce na owym przedmiocie. Kierowany odruchem zeskoczył z siodła i, podbiegłszy do leżącego, końcem buta strącił dłoń z czarnej płytki. Było to już niepotrzebne. Ręka osunęła się bezwładnie. Porażony Mocą Danaskee starzec nie żył. Wieża stała przed nimi otworem.

"Co on chciał zrobić?" – stwierdził nagle, że dłonie ma mokre od potu.

"Stalowi rycerze..." – Danaskee dyszała ciężko, jakby ten desperacki atak pozbawił ją sił. – "Dzięki tej płytce anasteul władał hufcem strasznej armii. Armii niezwykłej, bo pozbawionej dusz. Nie sprosta jej ani Moc, ani miecz. Zdążyłam w ostatniej chwili..."

Pochyliła się nad starcem.

"Wybacz, wielki, musiałam cię zabić. Tego żądał los".

Sięgnęła po płytkę i oderwała ją od skafandra anasteula.

"Weź to, Itijasti. Zyskasz wojsko, którego nikt nie pokona".

Iti ostrożnie ujął tabliczkę. Była lekka, jakby nie działały na nią siły pętające materię.

"Co mam z tym zrobić?"

"Gdy położysz na niej rękę, twoja myśl będzie rozkazem dla stalowej armii".

"Dziękuję, Danaskee. Tacy rycerze będą mi potrzebni".

"Idź więc i wypełnij swą misję. Ja zostanę tutaj. Zaczekam..."

Nie zastanawiając się dłużej, wszedł do środka. Zdawało mu się, że rozumie Danaskee. Jemu pewnie też byłoby ciężko. Kroczył szerokim korytarzem. Ściany jarzyły się jakimś wewnętrznym światłem, którego źródło było dla niego zagadką. Nie miał czasu jej rozwiązywać, przerażała go obcość otoczenia, niepodobnego do żadnego ze znanych mu miejsc. Pragnął jedynie jak najszybciej znaleźć się na powrót pod otwartym niebem, w promieniach słonecznego ojca. Puścił się biegiem.

Korytarz nie rozgałęział się, ani jedne drzwi nie znaczyły świetlistych ścian. Dotarł do kolejnego zakrętu i stanął nagle zdezorientowany. Droga dobiegła końca. Korytarz był ślepy. Podeszedł do zamykającej go ściany. Była podobna do poprzednich, nie miała zamka, zawiasów ani żadnego mechanizmu, który mógłby zdradzić sposób jej otwarcia. Świeciła identycznym blaskiem, rażącym oczy, gdy zbliżył do niej twarz. Odwrócił się zniechęcony. Poczuł napływ zmęczenia. Cóż ma uczynić, by nie zawieść bogini? Dlaczego nie daje mu wskazówki, w jaki sposób ma spełnić jej nakaz? Usiadł na ziemi i oparł się plecami o ścianę, nie wiedząc, czy zostać tu jeszcze, czy przyznać się do porażki i zawrócić. Raptem stracił równowagę. Naciśnięta barkiem ściana uniosła się

bezszeleśnie, a on wtoczył się do środka. Zerwał się na nogi z mieczem w dłoni, gotów do odparcia ataku. Był w kolistym pomieszczeniu. Przez przezroczyste ściany zobaczył siedzącą w kucki Danaskee. A więc anasteul stąd widział ich przybycie.

Pośrodku komnaty stał niski postument, zwieńczony kwadratową płytą, a obok niego zydeł pokryty czymś, co przypominało nieco śliską skórę beznogiego narrija. Lecz narrije były małe, zaś obicie nie nosiło śladów szycia. Szklistą powierzchnię płyty przebiegały smugi tęczyowych błysków. Patrzył jak urzeczony na ich grę, w ogłupiałym umyśle gorączkowo szukając nazwy dla tego, co widział. Rozumiał tylko jedno: Wieża z niego szydziła! Z jego niewiedzy, jego ograniczeń i zwykłej głupoty. Drwiła z wojownika, który śmiał porwać się na nią, nie zdolawszy pierwiej zgłębić swym małym rozumem geniuszu jej twórców. Nie mogła mu tego powiedzieć, słała więc kpinę zawartą w rytmie pulsujących rozjaśnień. Fala za falą, fala za falą...

I nagle pojął: to było jej tętno. Miał przed sobą serce Wieży. Pod wpływem natchnienia zamachnął się i ciął z impetem szyderczo mrugając kolorami tafle. Coś syknęło przeraźliwie, światło pociemniało. W głębi budowli rozległ się przytłumiony huk. Poczuł, jak paraliżujący dreszcz odbiera mu władzę w ręce. Odskoczył. Usłyszał dobiegające zza ściany niskie, pulsujące wycie. Ogarnęła go wściekłość. Nie zważając na straszliwe ciosy błękitnych iskier, rąbał mieczem ów tajemniczy, broniący się uporczywie przedmiot, aż ostrze pękło z brzękiem. Potem wyszarpnął zza pasa obuch.

Zaprzestał dzieła zniszczenia dopiero wtedy, gdy ciemność zapanowała w komnacie. Postument przestał

się bronić. Z jego rozbitego wnętrza wysypały się lśniące okruchy. Zaśmiał się triumfalnie: oto zwyciężył Wieżę, nigdy już Moc nie zagrozi valom. I wtedy z opóźnieniem dotarł do niego ten dźwięk, na który w zaciętrzewieniu nie zwrócił wcześniej uwagi. Teraz, zarejestrowany w podświadomości, rozległ się w nim z całą mocą. Przerazliwy krzyk Danaskee.

Obijając się o wygasłe ściany, pobiegł do wyjścia. Dziewczyna leżała zwinięta w kłębek, jej głowa spoczywała w kałuży szybko krzepnącej na mrozie krwi, która sączyła się z nosa i uszu.

"Danaskee!" – przypadł do niej, jeszcze nie wierząc, jeszcze mając nadzieję. Spojrzały nań martwe pełne bólu oczy. Wieża umierając, zabrała ją ze sobą.

– Danaskee, nie wiedziałem... Dlaczego, Danaskee...? – szeptał, tuląc jej głowę do piersi, próbując niezdarnie powstrzymać uchodzące w niebyt ciepło jej ciała.

Czuł, że traci zmysły. Zerwał się na nogi i w bezsilnej rozpaczycy uniósł zaciśnięte pięści ku niebu.

– Czemu to zrobiłaś, o Mau! Dlaczego tak bezdusznie odbierasz mi wszystko, co kocham? Teraz jesteś zadowolona: twój głupi sługa wypełnił rozkaz, więc można go porzucić! Ale wiedz, okrutna bogini, że ja, zwycięzca Wieży, pozbawiam cię władzy nade mną. I przeklinam cię, bo zrównałem się z bogami, ja, nowy bóg, Itijasti! Od dziś wypowiadam wojnę twym prawom, bo czcić będą tylko mnie!

Niebo pociemniało, jakby niespodziewanie noc zawróciła ze swej odwiecznej drogi. Grzmot przetoczył się nad widnokregiem, z głębi czerni runęła w dół ognista iskra. Zbliżała się szybko, a on widział, że mierzy w określony ściśle punkt. W niego.

– O naiwna bogini! – krzyknął, czując nadciągającą nieuchronnie śmierć. – Myślisz, że niszcząc ciało, zwyciężysz? Mam w sobie siłę ponad twoje płomienie, mą siłą jest władza Jasti!

I rozbłysnął nagle świat lśnieniem tysiąca promieni, a Jasti olbrzymią kulą wtoczył się na nieboskłon. Noc ustąpiła, wyparta przez potęgę słonecznego światła. Nie wierząc jeszcze w ocalenie, spojrział w górę. Błękit ponownie zagościł nad głową, Jasti dostojnie trwał na swoim miejscu.

– Dziękuję, ojcie – wyszeptał.

Popatrzył na skulone u jego stóp ciało kobiety. Wydawało się, że uśmiecha się do niego zza owej tajemniczej granicy.

– Żegnaj, Danaskee, muszę iść. Mam wiele do zrobienia.

Przyłożył dłoń do płytki anasteula.

"Przybywajcie!" – popłynął rozkaz w głąb Wieży.

Poruszyły się ściany, z hukiem runęły jedna po drugiej. Z mrocznych czeluści swych siedzib poczęły wypęłzać z łoskotem żelazne potwory. Wytoczyły się przed bramę i zamarły w bezruchu, pokornie oczekując poleceń nowego pana.

Tak, teraz może wracać. Żadna siła nie zagrozi krainom walów, dopóki wierzyć będą w niego. Sięgnął do sakwy i wydobył stamtąd Yorvilla. Czarny kryształ eneków grzał mu palce, jakby zachęcał do działania. Wyobraził sobie bezkresny step u potężnych murów Irvion i zawładnęła nim tak silna tęsknota, że nie zdobył się już na choćby chwilę zwłoki. Wypowiedział zaklęcie.

*

– Oteiron! Oteiron! – gwar i krzyki wyrwały pułkownika z zamyślenia.

Miał o czym myśleć, coraz głośniejsze mówiło się wśród załogi o tornach. Władcy Durlocku widać postanowili ostatecznie położyć kres istnieniu księstwa, którego symbolem była wciąż stawiająca opór stolica. Bez ich udziału twierdza długo jeszcze mogła uragać imperium, choćby reszta kraju jęczała w jarzmie niewoli. Był zdecydowany bronić się do końca, umrzeć niepokonany, bowiem gotów był ustąpić jedynie Mocy. I oto nadciągała. Czuł się wypalony, wyzuty z wszelkich emocji. Pozostała mu tylko wierność przyrzeczeniu, które sobie złożył. I nadzieja, że jeśli kiedykolwiek jeszcze wróci valowie na zgłiszczoną stolicę Iserii, pamięć o jej obrońcach przywróci tym murom dawną chwałę.

Co jednak znaczą te krzyki? Czyżby nastąpił oczekiwany koniec? No cóż, przyjmie go z podniesionym czołem, z murów patrząc w oczy śmierci. Wstał i ruszył do drzwi.

Na progu wpadł na niego Giveen. Kapłan miał rozpaloną podnieceniem twarz, łapał spazmatycznie oddech.

– Co się stało? – przytrzymał go za ramiona.

– Oteiron... Dzieje się coś niepojętego...

– Mów jaśniej! – pułkownik potrząsnął rozgorączkowanym kapłanem.

– Dziś rano... byłem w świątyni... Posąg Mau... pękł na dwoje!

– Co?!

A więc to już rzeczywiście kres. Jeżeli nawet bogowie opuszczają swych wyznawców... Czy istnieje jeszcze jakaś klęska, która nie dotknęła dotąd dogorywającego

plemienia, pozbawionego oto ostatniego wsparcia? To przecież Mau kazała zawsze ufać wyrokowi przeznaczenia i wierzyć w nieomylność boskich racji, choćby równały się jedynie hańbie i poniżeniu. To Mau święciła ostrza ich mieczów, wznoszone w jej sprawie, a teraz... Teraz odebrano im jeszcze godność śmierci, bo dla kogo mieli umierać?

Hałas na korytarzu wzmógł się. Szybki tupot brzęczących łuską butów biegnącego wojownika rozbrzmiał tuż za zakrętem. Oteiron odwrócił się.

Zza węgła wybiegł chorąży czarno-żółtego pułku.

– Pułkowniku! – jego okrzyk był tak radosny, że Oteiron pomyślał, iż przybysz zwariował. Co bowiem innego mógł mieć do zakomunikowania, niż nadejście tornów...?

– O co chodzi, Tettes?

– Pułkowniku, wróg... ustępuje!

To niemożliwe! Co to wszystko znaczy? Pospieszenie ruszył za chorążym. Za nimi, krztusząc się i sapiąc, drepali Giveen. Tettes nie kłamał. Za murami działo się nawet więcej, niż wywnioskował z jego słów. Armie Durlocku nie cofały się, one uciekały ogarnięte paniką, jakby ostateczna klęska niespodzianie zawisła nad nimi. Patrzyli oniemiałi na pustoszące przedpole, na pozostawioną broń i tabory, na rozbiegających się w popłochu maruderów.

– Pułkowniku, tam! – Tettes wskazał na północ, gdzie grzbiet łagodnego wzniesienia przybliżał horyzont ich oczom.

Jaskrawy błysk rozjaśnił szczyt pagórka. Silny podmuch wiatru przyniósł dźwięk jakby rozbijanego szkła. Z jasnej łuny wyłoniła się samotna postać w błyszczącym stroju, dosiadająca tańczącego niespokojnie kiseta. Torn!

Tylko dlaczego tak pierzchają wojownicy Durlocku? Oteiron przyjrzał się uważniej. Ów torn nie był sam, coś jeszcze poruszało się za nim, wylewając się szeroką strugą na podzamcze. Wówczas zobaczył rudozłotą aureolę, spowijającą głowę srebrnego wojownika. Wielki Asti mówił prawdę.

Księżę Itijasti zstępował ku murom. Stalowy hufiec z chrzęstem podążał za nim.

KONIEC